Flagrodzie
Cakes.

III. I, 20, 10

13

W GRODZIE ŻAKÓW

JAN POWALSKI

W GRODZIE ŻAKÓW

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z RYSUNKAMI ANTONIEGO GAWIŃSKIEGO

WYDANIE DRUGIE

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE
POZNAŃ — LWÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ — WILNO

Printed in Poland

DRUKARNIA PIOTRA AMBROZIEWICZA
WARSZAWA, UL. JASNA 8. — 1922.

Po drodze.

Dwóch żaków wędrowało do Krakowa na naukę, spotkali się w drodze i szli razem. Na plecach każdy miał tobołek, a u boku schowany nóż do obrony w podróży. A jeśli nawet i bronićby się nie zdarzyło przed nikim, to i tak nóż mieć musiał każdy, bo cóżby to był za żak bez noża? Prędzej obszedłby się bez pióra, kałamarza i książki, ale bez noża — nigdy.

Szli zdaleka, i różnie im się w drodze działo. Tu ich podwieziono, tam zaproszono na chrzciny albo na pogrzeb, by śpiewali. — W samym Radomiu wziął ich na swój wóz kupiec, kuśnierz — i podwiózł ich aż do Iłży borami. Stamtąd szli znów dalej na piechotę.

Była wiosna, kwiecień, cały kraj pojaśniał od zieloności młodziutkiej, świeżej. Wszędzie po łąkach wykwitły, jak żar, kwiaty niezliczone. Skowronki śpiewały, lasy trzęsły się od ptasiej wrzawy, od kukania kukułek, gruchania, gwizdów, kląskań, szczebiotu. Żacy wyszli na przestronne pola, zieleniejące od młodych posiewów. Wywiodła ich droga na wzgórek, gdzie stało parę lip, całych zieleniejących w wiotkich, młodych liściach. Stamtąd widać było kawał kraju wokół, modrzejące lasy, pola, łąki, zaściełające łagodne pagórki małopolskie.

Ale chłopcy spostrzegli, że zaraz niżej ich droga się rozdwaja: jedna w prawo, druga w lewo.

— Pietrku, bracie, a teraz co? — spytał wyższy z dwóch, z litewskiego pogranicza pochodzący, rosły, niebieskooki.

— Na dwoje babka wróży — rzekł Pietrek.

— Ty się, bracie, z babami nie wódź — odparł Litwin. — Kędy to nam iść teraz?

— Rozmyślaj-że, Stachu, dobrze — rzekł Pietrek, siadając — może przecież dojdziesz swego. Ja na cię poczekam.

— Siadasz? — spytał Stach — nie chcesz iść dalej?

— A którędy? — rzekł Pietrek. — Taka dobra jedna droga jako i druga. Bądźże tu mądry! W Katonie tego niema, ani u Petra Hispana, jeno u kogoniebądź z tutejszych w głowie; byle ino przeszedł tędy, dowiemy się od jednego słowa. Tedy czekać!

To mówiąc, żak Pietrek rozwiązywał swoje zawiniątko, dobył chleb, dobył nóż, i posilał się, odkrawając małe kawałki uważnie, aby nie kruszyć.

Stach z przezorności nie słuchał, wiedział już, że Pietrek lubi prawić, a często powie coś przykrego.

Oparł się o drzewo plecami i patrzył hen, w kraj daleki, rad z tego przypadkowego wypoczynku.

— No i cóż? — spytał Pietrek po chwili. — Jasno ci już wszystko?

— E! — rzekł Litwin. — Ty, bracie, kpisz, a tu wiosna...

Przysunął się i siadł obok Pietrka. Wydobył swój chleb i począł jeść, opędzając muchy, które mu się naprzykrzały i siadały na chlebie.

— Ha! — zawołał Pietrek, wstając — video chłopem! Wnet dowiemy się.

Jakiś chłop jechał na koniu z wiśniowym prętem w ręku. Koń kopał się w piasku drogą pod górę, ku lipom. Gdy się dobrał na wierzch pod lipy, jeździec przystanął, ujrzawszy obcych.

— Którędy droga do Krakowa? — spytał Pietrek.

Chłop się zadziwił, obejrzał się na obie drogi, jakby je pierwszy raz widział.

— Do Krakowa? Jedna owo ku Iwaniskom, a druga do Opatowa... A wy kędy idziecie?

— Do Krakowa. Którędy bliżej?

— Ba — rzekł jeździec, namyśliwszy się — żeby tak na mnie, tobym se poszedł w lewo, bo jest stąd niedaleko karczma bardzo dobra w Sulisławowie...

— A na tamtej drodze? — spytał Stach.

— Tam? Tam karczmy niema, ino jacy w trzeciej wsi... A tak, ino piach.

I ruszył dalej, trąciwszy konia witką.

— Widzisz, Stachu — rzekł Pietrek, zarzucając swój węzełek na plecy — w lewo karczma, w prawo piach. Queritur, gdzie Kraków?

— Ja — odrzekł Litwin — przespałbym się tu odrobinę. Samo południe. Mówiłeś: czekać i czekać. A teraz cię przypiliło!

— Cóż wyczekamy? Z tego, co mi ten pachołek powiedział, widzi mi się, że niezbyt zboczymy, czy tędy, czy tamtędy pójdziemy. Nuże, nuże! Wstawaj, dość spoczywać! Przyjdziem do Krakowa, będziesz spał.

— Nie — rzekł Stach, podpierając się na łokciu w trawie. — Nie

żal ci to tak porzucać tych lip, tego szemrzenia? Lipy śpiewają ci nad głową, słonko cię przygrzewa, kwiatki rosną, trawa...

Pietrek słuchał, poprawiając rzemienie u trepek, aż Stach skończył podniósł swój kij z ziemi i powiedział, kpiąc:

— Toś się rozrzewnił, Stachu, nieboże, by cielę do łąki!

— Wiosno ty, wiosno! — westchnął Stach.

— Pójdź — rzekł Pietrek. — Pójdź! Jak od rana zaczniemy spoczywać, to cały dzień zmarnujemy.

Stach się dźwignął, pozbierał rzeczy, i ruszyli dalej, drogą na lewo, ku lasom niedalekim.

— Nic nie masz, coby było jako wiosna — mówił Stach. — Ani lato... choć bywa i lato takie, we żniwa... ani jesień... choć i jesień, prawdę rzec, jak te lasy zżółkną, sczerwienieją...

— Sady u was są? — spytał Pietrek z zajęciem.

— Jakżeś myślał? — odparł Stach dotknięty. — Jabłka, gruszki, śliwki...

— Wszędzie jednako — rzekł Pietrek. — Ale mówią, że w nowym świecie, za morzami, cud, jakie drzewa i co rodzą! Są takie, co mają strąki, by groch. Jak dojrzeje, spada toto na ziemię i pęka z takim ci hukiem, jakby ci działo strzeliło.

— Kto ci to mówił?

— Jeden z Krakowa. Ptaki też tam mają ludzkie głosy, a pióra niczem kwiaty. I małpy chodzą, przechadzają się, by ludzie... Mają miasto, króla...

— E! — rzekł Stach z niedowierzaniem.

— Nie wierzysz? — spytał zapalczywie Pietrek.

— Wierzę... no, wierzę... Albom to widział sam, że ich niema, bym mógł nie wierzyć? A co ci ten z Krakowa powiadał o żakach?

— Nożów nie wolno mieć ani nosić...

— Prawda? By i sto razy zakazali, tedy ja swego nie oddam — odrzekł Pietrek.

— Ani ja. I co jeszcze?

— Jeszcze... Po łacinie ino ciągle gadać trzeba, cały dzień, aż do wieczora.

— Jak? — spytał Stach — i żebrząc?

— Ktoby zrozumiał? W bursie i tylo.

Weszli tymczasem w las, już cienisty, wonny, szumiący, pełen głosów.

— Ej! — odezwał się Stach, gdy szli długo, słuchając leśnego grania. — Wykręcę fujarkę, nie wydzierżę!

— A zanocujem w lesie — rzekł Pietrek. — Iść nam trzeba, a raźno!

Nagle posłyszeli trzask gałęzi i żwawe kroki. Odrazu obaj usunęli się w zarośla, które jako tako ich skryły, i czekali.

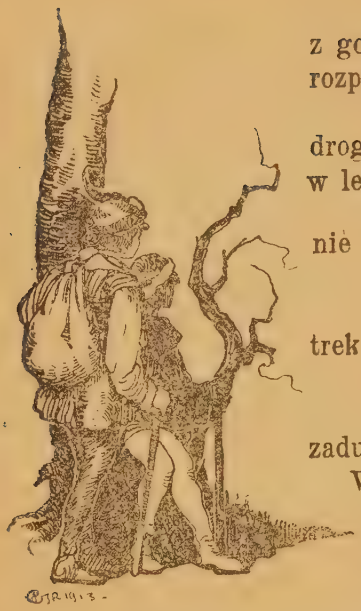

Z lasu wybiegł na drogę młody chłopiec z gołą głową, dosyć dobrze odziany, zdyszany, rozpędzony, zwinny.

Przystanął, spojrzał w prawo i w lewo, czy droga pusta, przesadził ją jednym susem i znikł w lesie.

Poczekali jeszcze chwilę. Gdy nic więcej nie było słychać, ruszyli dalej.

— Kto to był? — rzekł Stach.

— Człowiek jako my — odpowiedział Pietrek.— Cóż mu się dziwujesz?

— A ty nie?

— Niema czasu — odparł Pietrek, który się zadumał, idąc.

Wydawało się, że ciekawość nie ma do niego przystępu, gdy pomyślał, że każdy krok na piaszczystej drodze poprzez kraj zielony zbliża go nieustannie do wielkich przeznaczeń, do zdobycia wszelkiej mądrości ludzkiej w akademji i wszystkich dostojeństw później, między wielkimi tego świata.

Jak rycerze noszą swoje godła na tarczy i szyszaku, tak żak Pietrek nosił wielką dumę i pewność przyszłej dostojności w swojem młodem sercu. Ile razy zadzwonił w nią myślą, otrząsał się jak z kurzu, ze wszystkiego, co nanosiło trudne życie na jego nadzieje. Ogarniało go wtedy męstwo niezwalczone, gorączka tętniała we krwi, zdobyć, dojść, nie ustępować niczem nikomu! Być najdzielniejszym, najdoskonalszym, najwspanialszym! Okrywało go nędzne odzienie, zakurzone drogą, spełzłe od słońca i deszczu, ubogi tobołek kołysał się na plecach, ale duszę wypełniała po brzegi olśniewająca wspaniałość. Wtedy roz jaśniało mu się serce od dobroci: bronić słabych, skrzywdzonych! Wtedy twardniały mu myśli od surowości: karać złych, oddać każdemu, co mu się należy. I wzbierał cały nieubłaganą sprawiedliwością, dostojną, jasną jak słońce.

W jej obliczu truchlał z podziwu i upajał się dumą, idąc lasem, obok Stacha, który słuchał zięb śpiewających i kukania wesołego kukułki.

Wtem z poza zakrętu wysunęło się dwu konnych, i ujrzawszy wędrujących żaków, odrazu osadzili konie w miejscu.

— Widzieliście pachołka, po pańsku odzianego? — krzyknął jeden.

Nim zdążyli coniebądź odrzec, drugi, świstając biczem, zaklął:

— Niech to sto djabłów porwie! Tędy nie poleciał, bo konie pasą się z drugiej strony!

— Widzieliście, czy nie? — powtórzył pierwszy, szamocąc się z koniem, który się podrywał do biegu.

— Nie — rzekł Pietrek, odrazu bowiem zrozumiał, że to sprawa o schwytanie owego chłopaka.

A zą kim trzymać, jeśli nie za młodszym przeciw takim ścigaczom.

— No! — krzyknął ów — niech cię nie schwycę, jeśliś zełgał!

I popędzili dalej co koń wyskoczy.

Żacy poszli, oglądając się. Teraz obaj byli już bardziej zajęci zagadnieniem, co to za chłopiec? Co za ludzie go gonią?

Tymczasem wyszli na łąki i ujrzeli przed sobą wieś dużą, całą w sadach.

Dwór stał zaraz z kraju, od lasu. Dymiło się z komina, słychćа było gdakanie kur i porykiwanie krowie.

Żacy wydobyli swoje garnuszki i z dobrą nadzieją skręcili z drogi ku dworskiemu obejściu, oglądając się jeno, czy psów niema.

Ale gościnni jacyś musieli być panowie tej wsi, bo ani jeden pies nie szczeknął.

Weszli żacy na dziedziniec i zmierzali ku kuchni. Gdy już byli blisko, stanęli i odetchnąwszy, zaśpiewali razem pieśń pobożną:

Anno, matko Matki Bożej,
Nie racz gardzić prośby mojej,
Za mną się raczy przyczynić,
Tobie to łatwie uczynić.

Zaraz po pierwszych słowach wyszła gospodyni, sędziwa, wysoka tęga w sobie baba, pochylona ledwie-ledwie pod ciężarem wieku.

Żacy, dokończywszy zwrotki, przestali śpiewać, a baba rzekła:

— Chcecie jeść?

— Juści — odpowiedział Pietrek.

Baba miała twarz spaloną słońcem, oczy przymrużone, jakby ustawicznie patrzyła gdzieś daleko. Kiedy mówiła, uśmiechała się i patrzyła zgóry, bo była wysoka. Żacy ku niej podnosili głowy, mówiąc, i wydawała im się, jako stara, dobra matka, sterana wiekiem, ale bardzo spokojna i niedbała na drobne rzeczy, przytem mądra.

Żacy wyciągnęli garnuszki.

— Nie trza — rzekła gospodyni. — Jest u nas misek dość. Siadajcie, wnet wam dam wieczerzać, dzieci.

Poszła nazad. Jeszcze od drzwi się odwróciła i spytała:

— Kędy idziecie?

— Do Krakowa — rzekł Pietrek. — Do akademiej.

Nic nie odpowiedziała, poszła.

Zacy siedli na polanach przed kuchnią. Po małej chwili gospodyni zawołała przeze drzwi:

— Pójdźcie, dzieci!

Weszli, zdjąwszy czapki.

— Jedzcie, pożywajcie.

Podsunęła im na stole polewaną miskę, pełną kaszy z mlekiem.

Stach, widząc tak dobrą wieczerzę, uradował się i życzył gospodyni zbawienia i korony niebieskiej.

— In vitam aeternam amen — rzekł Pietrek, który używał swojej łaciny umiejętnie a skrzętnie, jak chłop, co ma jeden tylko postronek, a sto potrzeb nim opędzi.

— Zajadajcie, dzieci — odrzekła kobieta, dokładając każdemu po kawale czarnego chleba.

Dziewki paliły w piecu na chleb, a obok, w dzieży, przykrytej lnianym ręcznikiem, kwasiło się ciasto.

— Na naukę idziecie? — pytała gospodyni, przysiadłszy na ławie.

— Juści — rzekł Pietrek.

— A skądeście?

— Ja z Litwy — odezwał się Stach, uśmiechając się do niej.

— Tyli świat! A ten drugi?

— Z za Radomia — odrzekł Pietrek.

— Uszliście też, uszli kawał drogi niemały! A w Krakowie kiedy będziecie?

— Wiemy to? — rzekł Pietrek.

— Końmi od nas, jak droga dobra, trzy dni — powiedziała kobieta.

A widząc, jak szybko jedli, zgłodniali, dodała:

— Bieda też to, bieda, niebożęta! A matki tam kajsi pewnie oczy zapłakują.

— Ha, zato będą się potem radowały — powiedział Pietrek poważnie.

Gdy skończyli jeść, gospodyni rzekła:

— A zmówcie pacierz za Hieronima, żeby mu się dobrze działo.

— Nieboszczyka? — spytał Stach.

— Co zaś! — obruszyła się gospodyni. — Młody, jako i wy. Jeno, że ciężki czas na niego przyszedł.

— Co? — spytał Pietrek.

Pokiwała głową. Nie wiedziała, czy mówić, czy nie. Ale zmartwienie przemogło i powiedziała:

— Trzech ich jest braci na tej to naszej wsi. Jeden wojuje, ani wiedzieć gdzie... Drugi gospodarzy... Trzeci mały, samam toto wychowała, jak go macierz odumarła, stara pani... Jak wzięli radzić, jak wzięli listy pisać, to i uradzili: na naukę go, powiada, poślemy.

— Kto powiada?

— Ano: brat, Marcin, nasz pan, i z wujem, matczynym bratem, co jest księdzem w Krakowie, kanonikiem. Dziś przyszło pisanie od kanonika, pono żeby mu Hieronimka nic nie mieszkając posłali.

— I poślą?

— A poco mu to?—żywiej rzekła gospodyni.—Albo mu to w domu źle? Albo on nie pan tu u siebie, nie w swojem gnieździe? Jak mu to dziś pan Marcin powiedział, to on nic: ani słówkiem się nie sprzeciwił. Wyszedł ino i tyleście widzieli! Jak kamień w wodę! Kie się spostrzegli, ano, dalej szukać, kto żyw. Ale nie znajdą go tak snadnie, nie. Zna on tu wszystek kraj, skryje się i nie wróci, aż minie gniew pana Marcinowy. Mały pacholik, ale mądry, jak stary, swoje wie.

— Cóż — spróbował Pietrek — na naukę iść nie nieszczęście...

— Poco mu? — rzekła gospodyni. — Albo mu to tego potrza?

Jeszcze mówiła, gdy nagle z tętentem, zziajany wbiegł konny na dziedziniec, puścił konia i wpadł do sieni, krzycząc z progu:

— Margola! Dawaj, babo, siekierę, a żywo! No!

A ujrzawszy żaków, zawołał:

— Toście wy nie widzieli w lesie nikogo? Czekaj, wisielcze, jeden z drugim, niechno pan Marcin wróci! Oprawi was, że ruski miesiąc popamiętacie! A tyś jeszcze tu? — krzyknął do gospodyni. — Dawaj siekierę.

— A poco? — spytała, ociągając się.

— Taki rozkaz pana Marcinowy! Żywiej!

Wyniosła z komory siekierę, a posłaniec, wskakując na konia, rzucił słowa:

— Dobywamy Hieronimka!

Świsnął i popędził naprzełaj łąkami do lasu.

Gospodyni podniosła obie ręce do góry, oniemiała.

———

Oblężenie.

Gospodyni mówiła prawdę, że Hieronimowi było dobrze w domu i że nie miał zamiaru wyjeżdżać.

Hieronim był jak wolny ptak w lesie, w polach, w łąkach. Próbował wszystkich koni, znał źrebięta lepiej, niż ktokolwiek, i miewał doskonałe przeczucia, z którego jednolatka wyrośnie najtęższy koń kopijniczy.

Na najlepszym koniu, wielkim ogierze, karym, Wołoszynie, którego Andrzej, brat wojujący w wołoskiej stronie, przysłał raz do domu, nikt nie jeździł, tylko Hieronim. Brat Marcin, bo nie miewał czasu, a inni, bo mało dbali o to, by popróbować, czy kary Wołoszyn rozbije im głowę, czy nie.

Ale prawdziwe panowanie Hieronima zaczynało się w lesie. Las był w okół wszędzie. Ku północy łączył się z lasami łysogórskiemi. Tę stronę najbardziej upodobał sobie Hieronim i tam żył większą część swojego życia, odkąd pewnego dnia, zły bez pamięci na Marcina, który go wychłostał za jakąś przewinę, uciekł spłakany w las i biegł jak mały wściekły wilk, aż póki nie upadł i nie zasnął na miejscu.

Miał wtedy z dziesięć lat i odtąd znajomość, którą z lasem zawarł, przeszła w przyjaźń nierozerwalną, w lubienie, które trzymało chłopca jakby tysiącem włókien powoli usnutych, wiosna za wiosną, zima za zimą. Każde z nich było inne, a wszystkie znaczyły to samo: czar, który ciągnęła w siebie stara, potężna puszcza, urok niepojęty jej milczenia, gwaru, życia i pustki.

Marcin niewiele troszczył się o zabawy Hieronima, tylko raz, spostrzegłszy, że mały porwał z komory ojcowską dobrą rusznicę, odebrał mu ją i zamknął wszystką cenniejszą broń domową w swojem schowaniu, w wielkiej skrzyni kowanej.

Hieronim niebardzo się zmartwił, bo rusznica była ciężka i nie było do niej prochu. Za to sporządził sobie łuk, pierwszy trochę koślawy, po nim inne, coraz lepsze.

Z takim łukiem małym, ale doskonale zrobionym, chadzał puszczą. Polował, tropił, łowił w sidła, zasadzał się. Stawał się czujny, drapieżny,

zajadły, rączy, jak zwierz leśny, włożony do życia, gdzie o wszystkiem stanowi zwinność i wyborna sprawność każdego ruchu.

Potem nagle opuściła go ochota do polowania. Chodził po lesie, jak obcy wszystkiemu. Podnosił nieraz łuk, nakładał pierzastą strzałę i odciągał cięciwę, mierząc do jakiegobądź ptaka — lecz nagle opuszczał ręce, i szedł dalej, nie wiedząc, gdzie zawlec złą martwotę, która go opadła.

Tymczasem miał lat czternaście i pewnego dnia Marcin to sobie przypomniał. Pomyślał, że dotychczasowe nauki, które Hieronim pobierał przez rok jeden u wędrownego bakałarza, nie wystarczały, aby mu zapewnić dobre przygotowanie do życia.

Niedługo rozbierał sprawę. Wspomniał zaraz wuja kanonika w Krakowie i posłał mu ubitą sarnę, dzika, drobniejszej zwierzyny niemało i list o Hieronimie.

Kanonik odpowiedział wkrótce, że na święty Szymon będzie na jarmarku w Lublinie, a że Marcin także tam być nie omieszka, będzie można pogadać i uradzić o sprawach familji.

Po jarmarku Marcin wrócił do domu rad z rozmowy. Czekał jeno wieści z Krakowa. Tymczasem nadeszła wiosna i wkońcu przybył posłaniec od kanonika z listem.

Wyczytał w nim Marcin, że kanonik sprawy nie zapomina, że weźmie Hieronima do swego domu, najmie preceptorów, by go nauczyli wszystkiego, czego potrafią, doprowadzi do święceń i zaopatrzy przez swych przyjaciół i swoje wpływy w dobrą jaką prebendę, intratne probostwo.

„A byłliby Hieronim umysłu bystrego, do nauki sposobny a nie leniwy, obyczajów cnotliwych, tedy za boską pomocą i naszych przyjacieli staraniem, a łaską do najpierwszych w Rzeczypospolitej dostojeństw dojść powinien”.

Byłoby to nieźle, ale najważniejsze było to, żeby rzecz załatwić śpiesznie, zanim co przeszkodzi. Marcin nie namyślał się ani chwili. Wieczorem dostał list, a na drugi dzień rano kazał wszystko gotować do drogi. Wytoczono wasąg, kowano konie, dziewki prały bieliznę Hieronimową, a stara Margola, rękawem coraz to ocierając oczy, przebierała w skrzyni z szatami.

Marcin zawołał Hieronima do izby.

— Pójdźno, Hieronimie! — powiedział.— Dość bąki zbijać! Słuchaj, coć rzekę, i zważaj sobie dobrze: jest nas trzech braci, a wieś jeno sama jedna i nienajwiększa. Andrzej wojuje, ja gospodarzę, jak mi Bóg pomaga, a ty co?

Hieronim się zasępił, bo już czuł coś niedobrego. Ale przezornie milczał, utkwiwszy oczy w ziemię.

— Trza ci, Hieronimie, opatrzenie jakie należć. Mówiliśmy w Lublinie, na święty Szymon, z wujem kanonikiem jegomością. Wielką robi łaskę i przyjacielską pomoc dawa domowi naszemu, że cię do siebie wziąć obiecuje, uczyć, do stanu świętego, kapłańskiego przygotować, probostwem dobrem opatrzyć. Baczże, byś się sprawował godnie a wstydu naszemu domowi nie przyniósł.

Hieronim słuchał, spuściwszy głowę. Drgnęły mu usta, jakby coś chciał odpowiedzieć, ale nie rzekł nic.

Marcin powiedział, aby dokończyć:

— Kazałem Sebastjanowi wasąg narządzić, a Margoli, aby szmaty ci nagotowała. Jutro ze świtem pojedziesz do Krakowa. Ciepło, droga dobra, da Bóg, dojedziecie szczęśliwie.

Potem milczał małą chwilę, a Hieronim wysunął się za drzwi.

Marcin poszedł w pole. Gdy wrócił na południe, a Hieronima nie było, choć to się nieraz przydarzało, dziś uderzyło go to bardziej.

Zawołał Sebastjana, by go spytać, ale Sebastjan niepytany rzekł:

Hieronim mi powiedział tak, że do Krakowa nie pojedzie, i żeby obręczy na koła nie nabijać.

Marcin chwilę nic nie mówił, usłyszawszy tę nowinę. Potem zawołał,

— Na koń wszyscy i szukać mi Hieronima! Kto znajdzie, niech przywiedzie siłą, mocą, jak się da!

Kto żyw, skoczył szukać, a Marcin na czele.

Dość już miał tego chłopaka, który rósł jak ta dziczka w polu, co tylko kwaśne a gorzkie jabłka rodzi. Znał takich synów po szlacheckich domach, co później wyrósłszy, chodzą jak byki złe i ponure, niczego nieświadome, jeno grubych zabaw leśnych; ani to do wojennej służby ani do urzędu; wstyd, gdy się ukażą gdziebądź między ludźmi.

Targał go też gniew, że taki chłystek, który tego nic nie rozumie opiera mu się, śmie umykać i kryć się.

— No, niech cię jeno znajdę! — mówił sobie zawzięcie.

Hieronim miał swoje skrytki w lesie, których nikt nie znał. I gdy we dworze myśleli, że dopadłszy konia, zemknie gdzieś daleko, on pobiegł w las i tam właśnie zobaczyli go żacy.

Sebastjan z drugim pachołkiem, Błażkiem, pognali na leśną drogę: znali Hieronima. Wnet przyłączył się do nich Marcin. Gdy nie mógł znaleźć śladów, posłał po psy do dworu i dlatego żacy żadnego nie widzieli.

Psy łatwo wpadły na trop. Choć się zbijały inne, ale jeden czarny z białym kołnierzem, który lubił Hieronima, wytrwale prowadził, i za tym jechał Marcin z konnymi i pieszymi ludźmi.

Pies biegł długo lasem i wreszcie wyprowadził ich na zbocze, drzewa zwarte rozstąpiły się i ujrzeli tylko dąb olbrzymi wśród małej polany, samotny, wokół zamknięty stłoczonym lasem. Ale jakby rzutem

olbrzymiej siły, by nie dać się zagłuszyć i zdusić, wybujał czołem ponad wszystkie drzewa dookoła.

Pień potwornie gruby dźwigał konary, po których możnaby chodzić, jak po ścieżkach. Gałęzie, jak cały gaj dębowy, rosły z tych konarów i szumiały piętrami aż hen, ku niebu, zcicha a głęboko.

Pies się zakręcił, potem wspiął się na drzewo przedniemi łapami i szczeknął radośnie.

— Musi na dębie siedzieć — rzekł Sebastjan domyślnie.

Puścili konie i razem z pieszymi obchodzili dąb dokoła, wypatrując Hieronima w górze między gałęziami.

Ale nic.

— Leź na dąb! — rozkazał jednemu Marcin.

Wtedy nagle odezwał się głos niewiadomo skąd:

— Kto wlezie, tego zabiję!

Szedł jakby z pod ziemi.

— Hieronim! — zawołał Sebastjan.

— Gdzież on siedzi? Gdzie? — dziwili się ludzie.

— Leź na dąb! — rozkazał Marcin znowu.

— Nie leź, bo zabiję! — zawołał znowu Hieronim niewiadomo skąd.

Pachołek się wahał, ale Marcin krzyknął, zły:

— Nuże, czyś ogłuchł?

Pachołek rzucił czapkę na ziemię i wspiął się. Wylazł na pierwszy konar.

— Złaź! — krzyknął Hieronim, tym razem wyraźnie z góry.

— Zobacz, gdzie się skrył! — rozkazał Marcin z dołu.

Pachołek rozejrzał się niezdarnie, bo najmniejszej nie czuł ciekawości do ujrzenia Hieronima.

— Nie widzisz? — zapytał Marcin z dołu.

— Nie!

— Leź wyżej!

I na innych zawołał, gdy tamten się wspinał.

— Leźcie i wy!

Ale w tej chwili ów na górze krzyknął; zatrzeszczały gałęzie, których się chwytał, posypały się liście na ziemię, i zlatując od konaru do konaru, pachołek spadł na ziemię.

Wszyscy przyskoczyli.

— Zabił cię!

— Pchnął mię — rzekł pachołek oszołomiony. — Ani wiem skąd.

— W dębie musi być dziupla — rzekł Sebastjan, który uważnie opatrywał drzewo — aż do samej ziemi.

— Żywo mnie nie dostaniecie! — krzyknął Hieronim zawzięcie.

Teraz wszyscy już poznali, że głos idzie z pnia dębu.

— Zobaczysz! — rzekł Marcin groźnie. — Smyku jeden! Wyłaź mi zaraz!

— Z ludźmi brat jegomość obławę na mnie czynisz? — krzykną Hieronim. — No! kto na mię rękę podniesie, pożałuje!

Znać było, że się cały zapamiętał w swoim oporze. Marcin za to uspokoił się nagle.

— W łeb-eś sobie wrzepił, że w domu zostaniesz, ale nic z tego!— rzekł. — Wyłaź, bo ci dobrze wsypię, jak siłą dobędę.

— Dobywajcie! — zuchwale krzyknął Hieronim. — Ale kto się jeno w dziurze ukaże, tego strzałą między oczy, a wiedzą, iż dobrze strzelam!

Marcin tymczasem radził chwilę z Sebastjanem z boku.

— Głodem możnaby wziąć — rzekł Sebastjan.

Marcin machnął ręką.

— Jutro musicie jechać. Rozrąbiem drzewo.

— Hej, to go łatwiej uranić mogą, gdy rąbać poczną — rzekł Sebastjan jeszcze.

— Rąbać będą na dole — odrzekł Marcin — niech polezie w górę, to mu nic nie uczynią.

Hieronim, który musiał mieć jakąś szczelinę przy którymś sęku i widział nią ludzi, odezwał się:

— I wy to na mnie nastajecie? Ty, Grzesiu, com cię z pod byka wyciągnął? I ty, Szymek, któremum mało sto razy pomógł, jak ci się stadnina rozbiegła, żeby jej żaden święty nie pozbierał!

Ludzie się mieszali, Grześ się usunął za Szymka, a Szymek schował się za Błażeja, starego skotaka.

— Ty, Błażeju? — rzekł Hieronim. — Już mię nic nie lubisz?

— Ady lubię — odrzekł Błażej, patrząc na dąb, jakby sam pień do niego zagadał.

— No, to odejdź! Idźcie sobie precz, zostawcie mię tu w spokoju!

Marcin podszedł, coś oglądał po pniu, potem rzekł do Sebastjana:

— Skocz-że po siekierę, sam wracaj, a na wieś poślij po Jamroza i Kiełbika, niech idą z toporami.

Sebastjan już był na koniu, okręcił go i kopnął się w las, ku drodze.

Hieronim nie dosłyszał, zobaczył jeno, że Sebastjan odjechał, i zapytał:

— Będziesz mię dobywał brat jegomość?

— Wyłaź! — rzekł Marcin.

Hieronim nic nie odpowiedział. Milczeli wszyscy.

— Co komu wadzi — odezwał się znów Hieronim — że po lesie chodzę na ptaki polujący?

— Wyłaź — rzekł Marcin.

— Wylezę, ale mnie nie wyślesz brat jegomość ni do Krakowa, ni gdzie indziej?

— A juści! — rzekł Marcin. — Jutro pojedziesz do Krakowa z Sebastjanem i drugim pachołkiem.

— No! kiedy tak, to dobrze, zdrajco! Nie powiozą mnie do Krakowa, chyba trupem!

Na tem skończyła się rozmowa. Właśnie wrócił Sebastjan z siekierą.

— Rąb! — rzekł Marcin.

W dębie było cicho, jakby Hieronima już nie było w dziupli.

Sebastjan rąbnął raz, drugi, trzeci. Siekiera ledwie płytko brała korę, takie stare to było i skamieniałe dębisko.

— Rąb, rąb nieboże! — szydził Hieronim — niesporo ci pójdzie!

Ale Sebastjan się zawziął i rąbał jak człowiek uparty i pewny swego.

Słońce kładło się hen za wzgórki małopolskie i wpadało w las zukosa, żółte. Sebastjan już się trochę wrąbał w dąb. Ale nadeszli drwale ze wsi. Gdy ich topory padły na pień odwieczny, jęknęła ziemia pod ciosem. Hieronim, który się już od jakiegoś czasu nie odzywał, nagle porwał się znowu, poczuwszy, że teraz już rąbią naprawdę.

— Stójcie! Stójcie!

Zatrzymali się.

— Ten dąb będziecie rąbali? — krzyknął Hieronim. — Ludzie, obaczcie się! Równia mu nie znajdzie w całej puszczy! Nieszczęście padnie na tego, kto go porąbie! Toż to jakbyś na ojca, matkę rękę ściągnął!

Wszystko to powiedział mu kiedyś stary drwal Jacek, który teraz

trzymał pasiekę z drugiej strony lasu. Hieronimowi serce biło jak dzwon, a głowa aż się mroczyła od pędu krwi rozgorzałej.

Drwale spoglądali z otwartemi ustami na dąb, potem na Marcina.

— Ale! — rzekł Marcin. — Leda co prawi! Rąb jeden z drugim a żywo!

— Brat jegomość! — krzyknął Hieronim. — Sam każesz go rąbać? Ty sam?

— Wyłaź! — rzekł Marcin.

Hieronim poważał wiele rzeczy. Ale z całej puszczy i z całego kraju, prócz może ogiera Wołoszyna, najbardziej czcił ten dąb odwieczny. Gdy Sebastjan ciukał po nim siekierą, Hieronim śmiał się z dumą, jakby twardość dębu była jego własną siłą.

— Nie damy się! — myślał.

Ale gdy przyszli drwale i padły pierwsze ciosy, Hieronim poczuł, posłyszał dreszcz, który przeszedł odwieczne, skamieniałe drewno dębu. Było to jakby jęk przyjaciela, z wnętrzności ziemi idący. Struchlał ze zgrozy: naprawdę rozrąbią ten dąb, aby go dobyć.

— Wyłaź! — rzekł Marcin jeszcze raz.

Gdy nie było odpowiedzi, kazał rąbać.

— Wylezę! — krzyknął Hieronim.

Nie widział innego ratunku dla dębu.

— Ale dębu nikt nie ruszy, przysięgnijcie!

Wyłaź! — rzekł Marcin. — Inaczej każę rąbać.

Hieronim namyślał się.

— No? — spytał Marcin.

— Wylezę.

Posłyszeli chrobot w dębie, następnie w górze i szeleszczenie gałązek. Potem Hieronim ukazał się, cały odrapany, pokrwawiony, zwalany czarnem próchnem. Z konaru na konar zsunął się aż na ziemię. Pachniał dębowem drewnem i stał pod nadrąbanym pniem, jak ryś wzięty w potrzask.

— Pójdź do domu! — rzekł Marcin groźnie, bo już na widok zuchwalca burzył się w nim gniew głucho.— Sebastjanie, prowadź go!

— Precz! — krzyknął Hieronim. — Pójdę sam!

Spojrzał na tego, na owego. Oczy miał rozgorzałe jak żagwie. Nigdy nie był tak pełny leśnej dzikości i swobody w sobie, jak wtedy, wobec tych, co go jęli i wiedli wziętego, ale nie pokonanego, idąc za nim zdaleka.

Gdy weszli na dziedziniec, Hieronim ani raczył zauważyć, jak się zbiegła czeladź ze wszystkich kątów, jak Margola głośno ucierała nos i oczy. W zaciekłem milczeniu, skrycie bacząc na najmniejszy ruch Marcina i pachołków, szedł ku domowi.

Puszczono go do izby. Marcin skinął na Sebastjana, aby zamknął drzwi.

— Idź do komory! — rozkazał Hieronimowi.

— Nie pójdę!

— Idź! — powtórzył Marcin groźnie.

— Nie!

— Smyku... — rzekł Marcin zduszonym głosem, zbliżając się.

Zaszamotał się jak ze źrebcem, którego łowią pierwszy raz na błoniu.

Sebastjan pośpieszył pomagać. Zdyszani, we dwu, ledwie zdołali wciągnąć Hieronima do komory i zamknąć drzwi na zasuwę. Marcin założył kłódkę, zamknął, zabrał klucz. Odsapnął, poprawił ubranie i poszedł wieczerzać.

Ucieczka.

Żacy, gdy posłyszeli groźby o gniewie pana Marcina, roztropnie sądzili, że im wcześniej ruszą w dalszą drogę, tem będzie lepiej. Ale gospodyni nie tak myślała.

— Co zaś? — rzekła. — Ani zapyta o was, nie bój się! Mało to ma na głowie! Hieronima, nie może być inaczej, jeno że ujmą i wyślą. Tedy może i was razem zabiorą, jak pan Marcin pozwoli.

W duszy zaś rozważała:

— Raźniej mu, chłopiątku memu, będzie jechać z tymi żakami. Pacholęta, zda się, poczciwe...

Żacy zaś naradzali się, choć nie wiedzieli, co sobie wybrać: nocleg, strach przed panem Marcinem i nadzieję podróży wygodnej, na wozie, ze spiżą — czy też bezpieczeństwo od pana Marcina i drogę zmudną, z noclegiem niewiadomo gdzie.

— Pan Marcin nas nie będzie trapił, aliści pachołkowie... — rzekł wątpliwie Pietrek. — Chyba, że już pójdziem.

— Nie bójcie się — odparła gospodyni — puszczę was czy na górę, czy za kuchnią do komory na noc, żebyście im na oczach nie byli. Ani was wspomną!

Gdy tak radzili, wszczął się ruch i okrzyki zdziwienia na dziedzińcu: dziewki wybiegły, powychodzili skądeś tu i tam ludzie z obór, ze stajni, ze stodoły.

— Ooo! Hieronima wiodą!

I patrzyli wszyscy ku drodze leśnej.

— Żywo! — rzekła Margola — iść nie pora! Leźcie na górę, nikt was nie ujrzy. Jest tam słomy dość, spać będzie na czem. Byleście się niebardzo ruszali.

Żacy pośpiesznie wspięli się po drabinie na górę.

Wnet posłyszeli kroki na dole w komnatach, i jak Hieronima zamknięto w komorze.

— Pod nami — rzekł Pietrek.

— Trzeba go wypuścić — powiedział Stach.

— Iście. Ale niech się przódzi wszyscy pokładą.

— Wtedy gorzej będzie, bo cicho, a my miejsca nieświadomi, ciemno...

— Jak będzie, to będzie — rzekł Pietrek. — Terazby jeszcze snadniej nas chwycili i jego też.

I czekali, siedząc w ciemności.

Główna to i najważniejsza była rzecz, aby pan Marcin poszedł spać. Ale jak na złość, pan Marcin po wieczerzy wyszedł, snadź, żeby obejrzeć obory, obejście całe. Nie wiedzieć ani gdzie śpi, ani kiedy wróci.

— A gdyby przez okno? — rzekł Stach szeptem.

— Skóra cię świerzbi? — spytał Pietrek. — Kiedybyśmy jeno wyszli, jużby nas psi roznieśli, a nie bądź psów, tedy ludzie. I jeszcze najpewniej okna do komory niema.

— A jak gospodyni powie o nas?—odezwał się Stach niespokojnie.

— Jeszcze nie powiedziała — zaszeptał Pietrek — tedy siedź cicho; nie wywołuj wilka z lasu.

I namyślał się, co robić, siedząc w kuczki obok Stacha. W tem miejscu na deskach nie było gliny nałożonej, jak zwykle bywa. Widać dawniej tędy było wejście z dołu.

— A żeby wyjąć deskę? — rzekł Pietrek.

Zmacali, gdzie była przybita do belek drewnianemi kołkami.

— Kołki mocne, nie ruszyć. Twardo siedzą.

— Nożem — rzekł Stach.

— Ts... nie teraz. Posłyszą — ostrzegł Pietrek.

— Ja cicho — odparł Stach, przysuwając się do belki.

Powoli i ostrożnie zaczęli drapać nożami drzewo w okół kołków i drążyć pomału. Potem podważyli — ten i ów kołek dał się wyciągnąć. Ale deska skrzypnęła przeraźliwie.

Zmartwieli, nieruchomi, czekając, co stąd wyniknie. Ale w całym domu trwała najgłębsza cisza. Tylko w kuchni słychać było, jak dziewki swarzą się przed Margolą.

Jeden głos wołał:

— To nie ja. Tak mi święty Kapistranie dopomóż!

A inne dziewki w okół:

— A juści! Nie ona! A kto chodził po wodę?

Mało poczekawszy i gdy ich strach odszedł, znów zaczęli próbować. Teraz już lekko poszło. Jeszcze skrzypnęło raz i drugi, potem deska się ruszyła. Zdjęli ją ostrożnie, odłożyli na bok. Trochę słomy i gliny posypało się przez dziurę do izby na dole.

— Co tam? — posłyszeli szept.

— Ts... — mruknął Pietrek. — Wyswobodzim cię.

— Coście za jedni?

— Żacy, na naukę idący.

Hieronim umilkł na chwilę, zdziwiony.

— Kto was tu puścił?

— Margola, gospodyni. Ale nie czas gadać.

— Cyt — rzekł Hieronim — Marcin idzie. Czekajcie, aż uśnie.

Wszystko się uciszyło.

Marcin wszedł, wziął mały kaganek w kuchni, spojrzał, czy zasuwa do komory zamknięta i poszedł do dalszej izby, gdzie sypiał.

Słychać było, jak zatrzeszczało łoże, gdy się układał. Potem przyszedł Sebastjan, który sypiał na ławie u drzwi pańskich. Marcin go zapytał, czy wszystko gotowe.

— Gotowe! — odrzekł Sebastjan.

— Bacz, byś nie zaspał — rzekł jeszcze Marcin. — Jak ja wyjdę obroki dawać, to twoje konie już mają być zaprzęgnięte, a wszystko, co bierzesz, na wozie. Trza wam wyjechać, zanim słońce zejdzie.

— Wedle rozkazu — odrzekł Sebastjan.

Hieronim ścisnął pięści, słuchając.

— List zaszyła ci Margola? — spytał Marcin.

— Zaszyła w pas — odpowiedział Sebastjan niewyraźnie.

Potem umilkli. Wkrótce równy i głęboki oddech śpiących począł jednostajnie mierzyć ciszę domu.

— No — odezwał się Hieronim — teraz pora.

— Ty się, Stachu, wychyl, on cię chwyci za rękę i wyciągniem go — rzekł Pietrek.

Stach położył się, jedną ręką objął belkę, a drugą spuścił w ciemnię komory, jak w studnię.

Hieronim zaraz go namacał, chwycił i dźwigał się w górę, aż Stach stękał. Sapali obaj, a Pietrek zduszonym głosem powtarzał:

— Ciszej! Ciszej! — i sam także ciągnął Hieronima, jak się dało.

Wreszcie wydźwignęli go na wierzch.

— Ha! — rzekł Hieronim głosem ledwie dającym się pohamować z radości — mili moi! Wolnym!

— Teraz nas stąd wywiedź — rzekł przezornie Pietrek — by nas snadź pan Marcin nie dostał w swoje ręce.

— Pójdźcie — odpowiedział Hieronim — jeno cicho.

Powiódł ich na drugi koniec góry i usunął parę gontów.

— Ja zejdę pierwszy — rzekł — zbiorę psy i odwiodę na drugą stronę podwórza, by was nie poczuły. Wy śmiało skaczcie na ziemię, bo dach tu niski. Zaraz dalej jest płot. Przeleźcie i czekajcie na mnie.

To powiedziawszy, prześliznął się przez otwór jak kot i znikł. Po chwili żacy posłyszeli, jak mówił do psów i odchodził z niemi. Wtedy wyszli obaj na dach i spuścili się na ziemię. Płot był tuż, z desek, wysoki, kryty gontami.

Wspięli się i zeskoczyli na drugą stronę.

Tymczasem Hieronim, aby się lepiej zabezpieczyć, umyślił wpuścić psy do owczarni i tam zamknąć, zwłaszcza, że wiedział, iż nikt tak mocno nie śpi jak owczarz, choć był czarownikiem. Dopiero zamknąwszy psy, pomału i ostrożnie przeszedł dziedziniec, przesunął się przez szparę koło wrót i podążył do żaków.

— Gdzie chcecie iść? — spytał.

— Na krakowską drogę — odpowiedzieli.

— Wy idziecie do Krakowa? — zapytał, nie wierząc uszom.

— Cóż? — odparł Pietrek. — Gdzie nauka, jeśli nie w Krakowie?

— Sami idziecie, po dobrej woli?

— Iście — odpowiedzieli.

Hieronim zmilkł, i ruszyli w stronę łąk.

— A ja — rzekł Hieronim po chwili — by mnie porąbali, by mnie posiekli, tedy się nie dam.

— Dlaczego?

— Chcą ze mnie księdza uczynić—odpowiedział, spuszczając głowę.

— A ty nie chcesz?

— Ja? — zapytał — ja? Klechą być! A naco mi wtedy wszystka moja siła, moje męstwo? Pacierze mamrotać i w chłopskich brogach kopać, na dziesięcinę co lepsze snopy wyciągając!

— Ba! — rzekł Pietrek — nie każdy ksiądz na plebanji siedzi i chłopskie snopki zbiera. A biskupem być? W mieście nie bywał? Ksiąg uczonych, wina dobrego księża mają w bród. Domy piękne, ogrody, mądrze żyć umieją.

— To ty będziesz takim?

— Tak — odrzekł Pietrek. — I jeszcze możniejszym.

— Ja nie — powiedział Hieronim. — Ja pójdę wojować z bratem starszym, Andrzejem.

— Czemuś tedy nie rzekł, by cię do niego posłali, zamiast do Krakowa.

— Usłuchałby mnie to Marcin? I chciałem też zostać w domu.

— A teraz?

— Teraz?...

Szli miękkiemi łąkami. Noc była pogodna, pełna gwiazd. Lekkie opary białe wznosiły się naokoło. Głosy wsiąkały w noc. Tylko ustawicznie zdaleka, od wsi, słychać było naszczekiwania psów.

Umilkli wszyscy i szli pilnie.

— Pójdę z wami — rzekł Hieronim.

— Pójdź!... pójdź! — zawołali razem.

— Zobaczysz, jako się idzie, jako ludzi się spotyka coraz innych: dziwy, co się nieraz usłyszy! Aniby ci się kiedy w domu przyśniło, co się przecie dzieje na świecie — rzekł Pietrek.

— I kraj, jaki coraz inszy, wsie coraz inaczej budują, rzeki różne przechodzić trzeba, miasta sławne... — odezwał się Stach.

— W Krakowie, przy królu, będą wiedzieli, gdzie Andrzej wojuje— rzekł raźno Hieronim. — Byle nas Marcin nie schwytał! Będzie też zły, będzie, jak się opatrzy, żem mu się tak wymignął!... Z Krakowa pójdę do Andrzeja.

— Słuchajcie! — rzekł Pietrek, stając nagle — niedobrze nam iść teraz na krakowską drogę. Jutro, skoro się dowiedzą, że Hieronim uciekł, poślą łapać. A że z nami poszedł, pobiegą ku Krakowu...

— Gdzież tedy zostać? — spytał Stach.

— Dwie są drogi do Krakowa — rzekl Hieronim. — Jedna, którą od nas jeżdżą. Ta idzie na Iwaniska, Bogorję, Staszów, Nowe Miasto. Drugą-by należć, trza nam pójść teraz w prawo. Dalej będzie, ale bezpiecznie... Pójdziem przez Raków, Chmielnik, potem na Pińczów... a stamtąd jest wielka droga do Krakowa. Idźmy!

— Nie zbłądzisz po nocy?

— Tubym zbłądził? — odparł Hieronim. — Tu?...

Obejrzał się w okół. Najdłużej patrzył w stronę lasu.

— Idźmy — rzekł Pietrek.

Poszli.

O plebanie i o wielkiej pani.

Po południu krakowskim gościńcem szło trzech chłopców, znużonych, zakurzonych, głodnych. Przed nimi na równem błoniu leżała wielka wieś kościelna. Ale choć widzieli zdaleka dzwonnicę, wystrzelającą nad sady i strzechy chłopskie, nie słyszeli dzwonów. Był Wielki Czwartek. Dymy wiły się nad wsią tu i owdzie, smalono wieprzki, porznięte na święta.

U samego wejścia do wsi było myto. Właśnie przechodziło całe stado wołów w chmurach kurzu. Coś się tam stało, bo woły stanęły, a z przed domku mytnika biegł wrzask kłótni. Konni, jadący za wołami, z długiemi biczami w ręku, pozsiadali z koni i pośpieszyli na miejsce rozprawy, za nimi cisnęły się psy. Tylko woły, chłoszcząc się ogonami, żując trawę, porykując wciąż, czochając się to o siebie, to o płoty, stały cierpliwie i czekały swojej kolei.

Chłopcy doszli do stada i przeprawili się aż przed chałupę mytnika. Ten miotał się we wściekłym gniewie, krzycząc, klnąc, szarpiąc brodę i wywijając pięściami przed trzema czy czterema wolarzami. Był czerwony jak rak, a oczy omal mu nie wypadały.

Wolarze nie trzymali także języka na uwięzi, i nic nie zostawiali na potem, cokolwiek mieli do powiedzenia, jeno sypali wszystko, jak popadło.

Czynili zaś wszyscy razem tak wielki wrzask i takie zamieszanie, że chłopcy nie mogli zrozumieć, o co rzecz idzie. Widzieli tylko, że część wołów przeszła, a zasunięty szlaban nie puszczał reszty. Dla większej wagi siedziało na nim dwóch chłopów olbrzymich, synów albo pomocników mytnika.

Chłopcy ostrożnie, jak położenie wymagało, przysunęli się ku przejściu, i już chcieli, schyliwszy się, przejść popod szlaban, gdy mytnik skoczył ku nim jak ryś:

— Nie tykaj! Raku zatracony!

Żacy odskoczyli, a Pietrek krzyknął urągliwie, rozgniewany:

— My nie woły! Kopytkowego nie płacim!

— Przez płot przeleźmy — doradzał Hieronim zcicha.

— Hale! — krzyknął jeden z wolarzy, rzucając się na mytnika — oszalał stary wyga! Nuże, bracia, przytrzymajcie go!

Na szamotanie, które zaraz się wszczęło między wolarzami a mytnikiem, rzucili się chłopi, dotąd siedzący na szlabanie nieruchomo, i wpadli w bójkę bronić mytnika.

Baba wybiegła z chaty: i żaden, ani mytnik, ani wolarz tyle nie powiedział, ani takiego straszliwego nie narobił krzyku, jak pani mytnikowa, gdy głos rozpuściła. Tamci tymczasem tłukli się, wodząc się za czuby od studni do przyzby, a od przyzby do płotu.

Już żacy, korzystając z zamieszania, wleźli na płotek niewysoki, pleciony z łozy, który oddzielał sad mytnika od sadu chłopskiego za szlabanem, gdy usłyszeli nowe głosy, wołające:

— Hej! hej! a nie szło tędy troje pacholąt, żaków wędrownych?

Mytnikowa, ciekawa, trochę przystanęła w swojej mowie, która już i tak była długa i straszliwa. Odwróciła się ku obcym i rzekła:

— Jeden wyższy, ładny?

Hieronim wychylał się z pomiędzy gałęzi, żeby zobaczyć, kto mówi. Ujrzał Sebastjana i Szymka, konno.

Skrył się co żywo, udzielając tej nowiny towarzyszom.

— Uciekajmy! — rzekł Stach, zsuwając się na drugą stonę płotu.

— Sadem, przez rzeczkę i na łąki — mówił szybko Pietrek — tam skryjcie się w łozinie.

— A ty? — spytał Hieronim.

— Ja tu poczekam, co oni uczynią.

Baba tymczasem powtórzyła:

— Jeden z siwemi oczami?

Pietrek nie wytrzymał i dał kuksańca Stachowi:

— Toś ty jej w oko wpadł!

— Tss, pohańcze! — oburzył się Stach, targnąwszy go za nogę, bo już był na ziemi.

— Prędzej! prędzej! — naglił Hieronim, ciągnąc Stacha.

Obaj przebiegli sadem chłopskim w dół aż do rzeczki, płynącej za wsią.

Sebastjan pojął wreszcie wśród wrzasku bijatyki, co mówiła baba i krzyknął w gniewie:

— Cie, ki djabeł was opętał! Na oczy-bym ta patrzał! Byli tu, czy nie?

— A byli, byli! — rzekła baba. — Dwóch mniejszych, a jeden już sobie niczego...

Teraz Sebastjan kopnął konia i począł się przepychać między wołami razem z Szymkiem, który parł się za nim.

Pietrek tylko się chyłkiem przemknął w wielkie i gęste krzaki, i tam przypadł jak zając w trawie.

— Podnieście szlaban! — grzmiącym głosem krzyknął Sebastjan.

Wolarze właśnie zaczynali brać górę nad mytnikami. Ale wcale się nie zanosiło, by się bitwa miała wrychle skończyć.

— Zapłaćcie, panie, to was puszczę — rzekła baba.

— Żywo! — krzyknął Sebastjan, rzucając jej dwa szelążki, które chwyciła wlot. — Dawno tu byli?

— Tyle, że przeszli — odpowiedziała, biorąc się do podnoszenia szlabana.

Ale ledwie drąg się usunął, robiąc przejście i Sebastjan ruszył koniem, aby przejechać, gdy woły także ruszyły bezmyślnie i ciężko, tłocząc się jedne przez drugie ku przejściu.

Co widząc, bijący się, sczepieni w kłąb jak walczące koguty, ponieśli się kupą w stronę baby, drąga i konnych.

Mytnicy rzucili się zamykać, wolarze naglić woły, dostało się i babie, i konnym, których ściśnięto wśród wołów. Pietrek bawił się wybornie: położenie zmieniało się z wielką szybkością, a rzecz nie rozstrzygała się na niczyją stronę. Podobało mu się też, że Sebastjan już w ostatniej złości rzuca się na koniu, a nie może się wydobyć z pośród wołów, wokół chwiejących spokojnie porożem.

Nagle struchlał: tuż ujrzał starego chłopa w białej płótniance. Oparty oboma łokciami o płot, stał w swoim ogrodzie i przyglądał się bijatyce. Ani chybi, widział wszystko: jak tamci dwaj uciekli, a Pietrek skrył się w krzaki.

— Powiedzieli, że sto wołów! — krzyczał mytnik. — Złodzieje! przeszło dwieście! Poczekasz, wisielcze, jak cię do grodu pozowę! Będziesz miał! I za razy! Z wieży nie wyjdziesz, zatracony poganinie! Rozbójniki! Wisielce!

— Sto djasów niech ich porwie, a ciebie nie ostawi! — Sebastjan na to: — Puszczasz? Od czego cię tu posadzili, złe nasienie, jeno-byś ludziom otwierał, gdy ci w łapę tę łakomą wrażą, coś wycyganił? Puszczaj, psiajucho, a jak nie...

— Oj, czy uciekać nie pewniej? — myślał sobie Pietrek, jednem okiem czuwając nad Sebastjanem i mytnikami, a drugiem badając z trwogą chłopa: — powie, czy nie?.. widział, czy nie?

Sebastjan minął wreszcie z Szymkiem przejazd, gdy obejrzawszy się tuż, spostrzegł owego starca. Nie zważając na kłótnię, która znów zawrzała, ściągnął konia i spytał:

— Powiedz mi też, gospodarzu, nie widziałeś tu trojga pachołków niedużych? Bo od owych nic się nie dowie, całkiem rozum stracili.

— Ba!

— Dawno śli?

— Kie im pora była — odrzekł stary.

— Nie wytwarzaj! — pogroził Sebastjan. — Był tam młody panic, pana Marcina z Sulisławowa brat. Pańska sprawa, powiadaj, coś widział, byś źle na tem nie wyszedł!

— Ani źle, ani dobrze nie wyjdę — odrzekł chłop, — bom już taki stary, że za dom nie wychodzę nikaj.

Sebastjan kopnął konia i pognali obaj z Szymkiem dalej, klnąc.

Pietrek nie ruszał się, czekając jeszcze. Ale chłop powlókł się, bo ledwie chodził, wzdłuż płotu po drugiej stronie, aż stanął w pobliżu i niegłośno rzekł:

— Zmykajże, synu! A do wsi bezpieczniej wam nie zaglądać, bo was schwycą.

Pietrek, wdzięczny za wyraźną życzliwość starego, podniósł się, przelazł przez płot.

— Niech wam Pan Bóg... — zaczął.

— Ho! — przerwał mu stary — ucieka kto?... A niechże mu ta na zdrowie będzie. Tylo co użyje tego wiatru i słońca...

Pietrek pobiegł w dół ku rzeczce. Stach i Hieronim czekali go niecierpliwie, ukryci w łozach.

— A co?

— Pojechali dalej! — zawołał Pietrek.

— Nuże, nuże! — rzekł Stach, którego głód trapił, — do wsi co żywo! Porządna wieś, pleban być musi, dadzą nam choć suszonej ryby albo grochu.

— Ale! — odpowiedział Pietrek, — ci piekielnicy wszędzie o nas rozpytują, ani się opatrzymy, jak nas im ukażą, ledwieby nas na ulicy ujrzeli.

— Przyjdzie z głodu umierać — rzekł Stach, smutnie opuszczając głowę.

— Przyjdzie! przyjdzie!—szydził Pietrek z jego litewskiej mowy.— Takiś dorodny urósł jak niedźwiedź, a skwirczysz gorzej baby!

— Może minęli wieś — rzekł Hieronim — myślą, żeśmy gdzie niedaleko.

— A jak są we wsi?

— Słuchajcie, pójdę obaczyć — rzekł nagle Hieronim.

— Ani gadania! — odparł Pietrek. — Jeśli na kogo, to na ciebie polują. Ja idę, bo Stacha, jak jeno zagada, zaraz poznają, że zdaleka.

— Ale się wnet wracaj! — zawołał jeszcze Stach.

Pietrek pobiegł.

W krótką chwilę powrócił uradowany.

— Żywo! żywo! — zawołał Pietrek. — Wskok do plebana!

— Do plebana?

— Prędzej!

— A Sebastjan?

— Nigdziem go nie widział. Chodźcieże!

Zebrali się i poszli szybko z Pietrkiem.

Otóż w tej wsi był pleban, który wszystko robił wedle swego rozumu, co jest rzecz rzadka między ludźmi. Czego się nie tknął, to jakoś tak ułożył, że wszyscy mu się dziwowali, zdaleka i zbliska.

Teraz, że był Wielki Tydzień, pleban przygotowywał bardzo piękne przedstawienie na Wielki Piątek. Zawczasu już ponauczał chłopaków, jak mają grać i co mówić. Występować bowiem mieli w tem przedstawieniu św. Piotr, Matka Boska, św. Jan, Marja Magdalena, Nikodem, Piłat, rabini żydowscy, żołnierze, Judasz, aniołowie i djabli. Uczył ich długo, przez cały post, a tymczasem starał się, aby mieć dla nich co do przebrania potrzebne.

Był tam w sąsiedniem miasteczku rybałt*) jeden, uczący w tamtejszej szkole. Ten rybałt miał takie stroje i maszkary w swojej szkole, jakich nasz ksiądz potrzebował do przedstawienia. Pleban prosił go od zapust parę razy i bardzo usilnie i z naleganiem, aby mu tych strojów pożyczył. Ale ani prośby, ani gniewy, ani groźby, nic nie trafiało do ucha rybałtowego, i jak przedtem byli przyjaciółmi, tak teraz stali się wrogami dla tej sprawy. Pleban się zawziął, i maszkary sobie nagotował, podostawał skąd mógł. Ale miał gorzki żal i gniew do rybałta, i przemyśliwał, jakby się na nim pomścić i dać mu uczuć, iż sobie szkaradnie postąpił.

Aż tego rana chłopcy przybiegli do niego z wiadomością, iż rybałt konno gdzieś jechał, w karczmie we wsi stawał, i że pod wieczór wracać będzie, obiecywał.

Pleban, pilnie ich wysłuchawszy, wnet obmyślił, co mają czynić. Kazał chłopakom na popołudnie się zejść, stroje co najstraszliwszych djabłów między siebie rozebrać, jeszcze im różne garnce żelazne i kociołki rozdał i inne poprzynosić polecił, i z tem wszystkiem wybrać się mieli do lasu nad drogą.

Właśnie w czasie tych przygotowań na plebanji przyszedł tam Pietrek.

— U mądrego nie masz nic zbytniego! — powiedział pleban, zasłyszawszy, iż trzech żaków w podróży o nocleg go prosi. I kazał Pietrkowi co żywo swoich przyjaciół przywieść, by ze wszystkimi do owego lasu na zasadzkę poszli.

Skoro przyszli na plebanję, już wszyscy byli gotowi. Dano im także jakieś płachty czarne i czerwone, i blachy i pałki w ręce, i ru-

---

*) Śpiewak.

szyli wszyscy razem ścieżką poza sadami, za plebanem, który prowadził. Szli jakiemiś drogami polnemi, obrosłemi tarniną, która już kwitła bielutko. Cicho szli, tylko garnki żelazne i blachy pobrzękiwały, i chłopcy, ciesząc się, trącali się i umawiali, jak się dobrze zabawią, aż im się oczy świeciły.

Przyszli do lasu, ciągnącego się wzdłuż drogi, którędy rybałt do swego miasteczka miał wracać. Tu wśród gęstych zarośli wszyscy poubierali się. I aniołowie, i apostołowie, i święci, każdy za djabła albo straszną maszkarę. Istny sejm piekielny, bo niektórzy mieli i rogi, i pyski straszliwe przyprawione.

Tak sprawieni, zaczaili się blisko drogi między zaroślami, że ich nic widać nie było, ktoby od drogi patrzał.

— Teraz — powiedział im pleban, przechodząc koło nich, bardzo rad — leżcieże cicho jak ryby, aż zobaczycie, że Banek jedzie. (Tak się nazywał ów rybałt). Gdy już prawie do nas dojedzie, tedy wszyscy wrzaśniecie społem i wyskoczycie ku niemu na drogę, bębniąc w kociołki i blachy, co je macie, i wrzeszcząc, i za nim pogonicie, iżby mniemał, że djabli są.

Chłopacy ledwie słuchali, wypatrując tylko, czy nie jedzie rybałt, i pleban sam też, usadowiwszy się w krzaku, wyglądał.

Gdy tak cicho leżeli, Pietrek nie mógł wytrzymać, i śmiejąc się, zaszeptał do swoich towarzyszy wpół zduszonym głosem:

— Oj, zgraja-ci to, zgraja! Jak wypadną, to nie jeden rybałcina, ale i całe wojskoby się nastraszyło.

— Zobaczymy, jakiego ma konia — odpowiedział mu Hieronim szeptem. — Jeśli młody, to poniesie, a jeśli stary, a mądry, to nic. Ja, żebym jechał na Wołoszynie, co jest u nas, i żeby sto djabłów na mnie wyskoczyło, tobym nie uciekał, ani onby się nie spłoszył.

— E, jeśliby prawdziwe djabły... — zaczął Stach.

Ale nagle urwał, bo Pietrek aż się nawpół podniósł, tak patrzył na drogę. Porwał się i Hieronim, a między zaroślami przeszedł ruch i szeleszczenie mocne; wszyscy się gotowali.

Drogą nadjeżdżał zdala rybałt, ale nie sam. Jechało z nim dwu jeźdźców, których żacy odrazu poznali: Sebastjan i Szymek.

Pleban poruszył się i psyknął na swoich chłopców:

— Czekajcie!

Jezdni zbliżali się coraz więcej, niczego się nie spodziewając.

Rozprawiali głośno, Sebastjan wyrzekał, że się musi tłuc po drogach.

— Szukaj wiatru w polu! — mówił.— A gonić ich mam, by i do samego Krakowa.

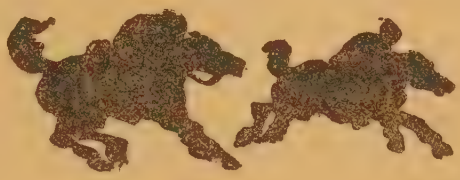

Już dojeżdżali do zarośli... Wtem z wrzaskiem, z waleniem w blachy i kociołki, wyskoczyły straszne wiły z krzaków i rzuciły się ku jeźdźcom. Konie skoczyły: ci, zachwiani trochę w siodłach, hamowali je, nic nie rozumiejąc, o co idzie, aż widząc pędzące za nimi z wrzaskiem djabły, w okropnym popłochu puścili konie do ucieczki ścisnąwszy im jeno boki nogami ze strachu.

Konie poniosły ich jak oszalałe. Sebastjan miał najlepszego, poleciał na czele, pognał jak ptak. Za nim Szymek. Rybałt miał narowistą i złą kobyłę, ale niebardzo płochliwą. Ta więc najpierw, uskoczywszy, poczęła wierzgać jak szalona, ale rybałt, upadłszy jej na szyję, przyczepił się jak kleszcz, i ryczał ze strachu, podskakując jak wór za każdem wierzgnięciem. Djabły, waląc w swoje blachy i kotły, niby z piekielną kapelą pędziły ku niemu, wyprawiając dziwne skoki. Wtem kobyła porwała się, i dawszy parę susów i jeszcze parę razy wierzgnąwszy, popędziła za tamtemi końmi, z rybałtem bardziej umarłym niż żywym na grzbiecie.

Djabły trochę pogoniły za nią, ale widząc, że znikła w zakrętach drogi, wróciły się, upadając niemal ze śmiechu, w zarośla, i tam zdejmowały swoje maszkary i odkładały swoje cymbały i kotły.

Pleban stał wśród nich, i rad bardzo śmiał się do łez, i chwalił przez śmiech:

— O moje djabły, moje djabły! Jakże wy dobrze zagracie! Jakże wy dobrze jutro zagracie! Na me gardło, ani w samym Krakowie tak grać nie zdolą, jako wy umiecie!

Potem, wszystkie rzeczy zabrawszy, poszli na wieczerzę. Wszyscy bardzo byli weseli, i gdyby nie był Wielki Tydzień, byliby śpiewali. Ale nikt z nich ani wiedział, że trzej nowi byli ze wszystkich najbardziej ucieszeni, gdyż niespodzianie im się udało przepłoszyć swoich ścigaczy.

Trzej żacy dostali kaszy na oleju z grzybami na wieczerzę i poszli spać na siano do stodoły. A na rano pleban kazał im do kościoła wcześnie przyjść i pozamiatać, bo chciał, żeby mu do mszy służyli, będąc uczeńszymi od jego chłopaków ze wsi.

— Dzwonić nie będziem — rzekł im rano, gdy się gotował do mszy — bo Wielki Piątek. Dzwonnik, już od wczoraj, pijanica, w karczmie pod ławą wypoczywa. Nuże, wychodzim. Podaj albę... Kapę wywróć, bo tamta strona od święta; nie widzisz, że czerwona? Na dziś dobra i ta.

Kapa miała podbicie stare, ciemne, z fioletowej kitajki i wyglądała żałośnie, jak przystało.

Zaraz po mszy miało się zacząć przedstawienie u grobu, urządzonego z boku w kościele. Napchało się ludu co niemiara, tak że ci, co grać mieli, ledwie mogli się do grobu docisnąć.

Msza się zaczęła. Ledwie ksiądz dokończył „Introitus,“ poczęło napływać ludzi jakichś nie tutejszych. Dworscy jacyś w szumnych szatach. Wnieśli kobierczyk, posłali; na nim klękła pani, bardzo widać dostojna.

Tymczasem kiedy przyszła kolej na czytanie pasji, pleban począł ją czytać po swojemu: jak huknął „Quem queritis?”, to aż cały kościół zadrżał. Ale jak trzeba było odpowiedzić: „Jesum Nazarenum”, to mówił najciszej jak mógł. W ten sposób szła dalej ta pasja.

Pani się zdziwiła, bo jak na niewiastę, nieźle się znała na tych rzeczach. Ale nic, słuchała do końca, choć coraz jej się gorzej wydawał taki sposób czytania. Żacy także spoglądali jeno na siebie z podziwem, bo nigdy tego nie słyszeli: zawsze Chrystus mówił cicho w pasjach, a żydzi głośniej.

Kiedy nabożeństwo się skończyło, ksiądz zapowiedział przedstawienie i niemało go to cieszyło, że będzie na niem miał takich słuchaczy możnych.

Przecisnąwszy się przez tłum do grobu, wszystko raz jeszcze obejrzał, sprawdził, że wszyscy są, i dał znak, aby zaczynano.

Z żaków jeden tylko Pietrek miał grać, bo się bardzo napraszał i mówił, że u siebie w swojej parafji grywał. Wczoraj bardzo mu się spodobała rola djabła. Djabłów, którzy mieli Judasza porywać, było już kilku, ale widząc Pietrka ochotę, dozwolił mu pleban przyłączyć się do nich i pokazać, co potrafi.

Stach i Hieronim umieścili się blisko sceny i patrzyli z wielką przyjemnością, czekając na widowisko i na zjawienie się Pietrka.

Wtem na scenę wyszło dwu grających, jeden przedstawiał Jezusa, a drugi Marję. Żegnali się ze sobą w Betanji. Jezus miał pójść do Jerozolimy na Paschę.

Marja. Synu Jedyny, anielskie kochanie,
Dokąd się śpieszysz, żydom na wydanie?
Jezus. Wiesz, Matko miła, wiesz z Ducha Świętego,
Iż mam wypełnić wolę Ojca mego.
Marja. Masz tysiąc, Synu, sposobów zbawienia,
Swój lud odkupić, z Bogiem zjednoczenia.
Jezus. Ten, Matko, sposób od wieków przejrzany,
Przez ten gniew Boski będzie ubłagany.
Marja. Baranku cichy, synaczku kochanie,
Nie daj się wilkom srogim na szarpanie.
Jezus. Matko kochana, Matko ulubiona,
Luboć ma dusza smutkiem przerażona,
Przyjdzie mi jednak dla człeka miłości
Dać swoje ciało podrapać do kości.
Marja. Możesz się schronić od złośliwej ręki,
Jakoś kamiennej uszedł niegdy męki.
Jezus. Uszedłem, Matko, lecz była przyczyna:
Wtenczas nie przyszła mej śmierci godzina.

Tak oni mówili. Matka błagając, a Jezus łagodnie jej odmawiając. Tłum w kościele słuchał i nie zwodził z nich oczu. Tylko westchnienia ciężkie podnosiły się, bo byli to ludzie biedni, chłopi i inni ubodzy słabi, którzy znali, jak okrutne i srogie jest życie i dobrze rozumieli mękę tych dwojga na scenie. A ci grali dobrze: śliczny chłopiec, grający Marję, miał łzy w oczach, tak się przejmował, a ów, co grał Jezusa, ściągał brew i mówił spokojnie i nieulękle, jakby szedł na prawdziwą śmierć, i choć bladł, strachowi ani wahaniu nie ustępował.

Po tem pożegnaniu w Betanji następowała część druga i nowi aktorzy wystąpili przed grób.

Byli to dziwnie i wspaniale przybrani arcykapłani i rabini żydowscy. Ci rozpoczęli naradę, jak postąpić wobec Chrystusa, który lud burzy a im się opiera. Z zajęciem słuchali widzowie tej krótkiej narady, gdy wtem przecisnąwszy się między najbliższymi sceny słuchaczami, wszedł między rabinów straszny i dziwnie ubrany aktor w rudej, długowłosej peruce na głowie, z sakwą przez plecy i kijem w ręku.

Był to Judasz, i nim się odezwał, już go wszyscy w kościele poznali. Teraz skłoniwszy się, przedstawił się rabinom:

Jam jest apostoł Judasz, ze dwunastu owych
Niezbożników, albo też uczniów Jezusowych,
Który mnie swem kuglarstwem przywabił do siebie,
Obiecując zapłatę kiedyś tedyś w niebie.

A mnie co tam do nieba! czekajże ty nieba!
A teraz klep z nim nędzę, nie jadaj i chleba.
Tylkośmy w Galilejskiej Kanie mieli gody,
Raz pić i jeść: a teraz na każdy dzień głody.

Potem za 30-ci srebrnych groszy obiecał im pomóc w ujęciu Chrystusa.

Ze zgrozą patrzyli na to widzowie, jakby o tem pierwszy raz słyszeli. Teraz ucieszeni rabini posłali po wojsko, które tuż stało w postaci sześciu chłopaków z dzidami. Ci odeszli razem z Judaszem, rabini usunęli się, a na scenie zaczęła się część trzecia. Wystawiono krzyż, do którego uwiązany był chłopiec przedstawiający Jezusa. Marja i niewiasty, stojąc pod krzyżem, żałośnie płakały i narzekały. Marja mówiła:

Synku, bych cię nisko miała,
Nieco bych ci wspomagała,
Twoja głowa krzywo wisa, tąć bych ja podparła,
Krew po tobie płynie, tąć bych ja utarła,
Picia wołasz, picia bych ci dała,
Ale nielza dosiąc Twego świętego ciała.

Te słowa były wzięte z dawnych misterjów i wszyscy je znali tak dobrze jako i pacierz.

Tu aniołowie poczęli śpiewać: „Stała Matka boleściwa".

Było to miejsce najsroższe z całego widowiska. Tymczasem nadszedł Józef z Nikodemem, których przedstawiali dwaj poprzedni żołnierze. Bardzo szybko odwiązali ukrzyżowanego i wśród lamentu niewiast i śpiewu aniołów, wzywając widzów do skruchy i żalu, złożyli go do grobu.

Wszystko to szło bardzo szybko i trwało nie więcej jak godzinę. Teraz nastąpiła wielka scena z Judaszem, bez której nitkby nie odszedł i nie uwierzył, że widowisko naprawdę skończone.

Rudy Judasz znów się pojawił na scenie, ale zgnębiony i zrozpaczony.

Nieszczęśliwa godzina! bogdajże mię była
Pierwej straszna piekielna mara udawiła,
Niźli do tego przyszło: wszak mam powróz w ręku,
Zawadzę nim o gardło już na lada sęku.

Wtem zewsząd wpadły djabły, a po zwartej ciżbie widzów przeszło pełne zadowolenia i podziwu szemranie. Djabli, bardzo dobrze przebrani, z rogami, z ogonami, z widłami w rękach, z ogromną ochotą, i sprawnością rzucili się do dzieła. Jedni Judaszowi podsuwali powróz, drudzy wyprawiali wkoło dzikie skoki, aby nastraszyć trochę widzów zwłaszcza młodszych i głupszych.

Djabeł starszy wołał:

A witajże, Judaszu, nasz stary katana!
Jak ci to przyszło na to? Pocoś zgubił Pana?
A jużeś zdechł, Judaszu? Czyli jeszcze żyjesz?
Jeśliś omdlał, tej smoły trochę się napijesz!

Stach i Hieronim odrazu poznali między djabłami Pietrka, choć miał maszkarę na sobie okropną, rogi czarne na łbio, ogon z zakręconego powrósła, z kitą z wiórów umaczanych w smole na końcu i wielkie widły w ręku, a skakał tak rześko i ostro, i tyle broił, co żaden z djabłów.

Tym razem była to już ostatnia scena, i gdy wyszedł epilog, i zakończył przedstawienie krótkim wierszem:

A teraz wam dziękujem za to zgromadzenie,
Niech wam będzie Jezusa męka za zbawienie.

Widzowie ruszyli się i poczęli tłumnie wychodzić. Żacy i chłopcy mieli dużo do roboty, aby wszystko po przedstawieniu złożyć, ale widząc, że zbyt przytem dokazują i broją, pleban wszystkich odesłał precz, a sam został tylko z trzema wędrownymi żakami, nad którymi stał pilnując, czy dobrze składają.

Tymczasem pani, wyszedłszy z kościoła, odeszła ze swoimi ludźmi do karczmy, gdzie stanęła dworem, przejeżdżając. Ale wnet przysłała po księdza, aby przyszedł, że chce z nim pomówić.

— Ano! — rzekł ksiądz, — niewiasta bogobojna, a dobrem doczesnem pobłogosławiona...

I wraz się zebrał, rzuciwszy okiem, czy żacy porządnie wszystko złożyli. Poszedł, a chłopcy za nim.

Weszli do karczmy, gdzie tłoczyła się ciżba ludzi. Pani siedziała przy stole zasłanym biało lnianemi obrusami. Ledwie ujrzała plebana, rzekła:

— Tragedja wielce mi się podobała, i dobre o niej mieć musiałeś staranie i pilność, ale gdzie-żeś to jegomość tak się nauczył mszę odprawiać?... I to na taki dzień jako dziś, kiedy lud wszystek powinien być w świętej pokorze i prawie w prochu się kajać? Aliści słysząc mszę, jako jegomość ją odprawiasz, niema tak mocnej pobożności, by szkody nie odniosła.

— Jakże to jejmość? — spytał pleban.

— Jakto! — pani na to — pasjęś mówił na wspak temu, co dobry obyczaj nakazuje. Kiedy Pan nasz, Jezus Chrystus mówi, wrzeszczysz by w lesie, a kiedy Kaifasz, albo Piłat, albo żydzi, to szepczesz, by panna młoda. Tak-li to być powinno? Tak-to ma proboszcz czynić?... Sprawiedliwieby uczyniono, gdyby ci tę plebanję odjęto, a samemu, jako srodze błądzisz jaśnie ukazano.

Kiedy pleban wysłuchał jej do końca:

— To jest, coś mi powiedzieć miała jejmość? — rzekł. — Na mą duszę, jakoże to prawdę powiadają, iż wielu ludzi jest, którzy o rzeczach radzą, co ich ani kęs mało nie rozumieją. Zda mi się, że umiem officja tako dobrze jak i każdy inny, i chcę, iżby wszyscy wiedzieli, że Panu Bogu tako dobrze służę w tej parafji, wedle jej stanu, jako i w jakiejbądź innej o sto mil stąd. Wiem ja to dobrze, że inni plebani śpiewają pasją całkiem inaczej i łatwieby mi było śpiewać ją jak i tamci, bym jeno chciał. Ale oni to błądzą, nie ja. Bo zważ: godziż się to, by zdrajcy żydzi odzywali się tako głośnie, jak pan nasz Jezus Chrystus?...

Nie, nie! Dobrze to sobie jejmość zapisz, że w mojej parafji jeno Pan Bóg sam ma panem być i będzie, póki mego życia. Inni u siebie niech się rządzą, jako im się zda...

Pani, to usłyszawszy, nie wiedziała zrazu, co rzec. Dała mu spokój, rzekła tylko:

— Prawdziwie, jegomość nie w ciemię bity, i dobrze mi to powiadano. Alebym nie uwierzyła, bym sama nie widziała.

Potem zaprosiła go na śniadanie. Wnieśli zaraz wielkie misy z grochem na oleju i gotowanemi rybami. Pani, że była dobra gospodyni, dostrzegła trzech żaków za plebanem i kiwnąwszy na nich, spytała:

— A wyście co za jedni?

— Do Krakowa na naukę idziem — rzekł Pietrek. — Żacy jesteśmy.

— Ejże, — odezwał się starszy dworzanin — czy to nie te pacholęta, o które wczoraj tak się dopytywali dwaj jezdni?...

„By do Krakowa — powiadali — a gonić ich będziem, póki nie schwytamy.“

Pietrek, słuchając, mienił się na twarzy i ukradkiem spojrzał na towarzyszy. Stach cały się zapłonił, Hieronim zaciął usta, a oczy mu błyskały jak stal z pod spuszczonych rzęs.

— A juści! — rzekł drugi, — powiadali, że jest między nimi jeden panicz ze Sulisławowa.

Wszyscy patrzyli na żaków, czekając, co powiedzą. Pietrek potrząsnął głową, i dalej wypierać się śmiało, jak święty Piotr:

— To nie my! Nie z Sulisławowa idziem, a z innej strony.

Ale pani niebardzo się tem zajmowała, czy to ci sami, czy inni.

— Podwieziem was — rzekła — dość ich z nami jedzie kręciwąsów, darmozjadów, niech się choć tym pacholętom ubogim te podwody jako przysłużą po drodze.

— Zła to sprawa, jejmość — rzekł starszy dworzanin — jeśli ci umykają, coś spsociwszy.

— Żacy, nie dając po sobie nic poznać, jak ich to bardzo obchodzi, czekali, co odpowie pani. Szczęściem, pani już się uparła przy swojem, zwłaszcza, że był Wielki Tydzień i pełna była chęci uczynków miłosiernych.

— Co mi waść prawisz — odrzekła, strzepnąwszy ręką — ubogie oto scholarze idą na naukę. Bój się wasze Boga, każdemu w zęby tak zaglądać, jako koniowi złemu na jarmarku. Pojadą z nami. Niech ich kucharz weźmie na swoją podwodę.

Wejście do Krakowa.

Słońce zachodziło hen za Wisłą, za pagórki pociemniałe, w niebie jasno-złotem, gdy dwór, przy którym trzymali się żacy z Hieronimem, dojeżdżał do stolicy wielkiego miasta, starodawnego i słynnego wszędy Krakowa. Jak złota korona świeciły niezliczone wieże w cichem powietrzu, smukłe, górne, wystrzelając ponad miasto stłoczone w dole, za murami. Te mury, te baszty grube, bramy okazałe, sklepione pod wieżycami, coraz wyraźniej występowały, im bardziej się zbliżali.

Wjechali Sławkowską bramą. Wozy ledwie się wlokły środkiem ulicy, taki był ścisk. Ludzi pełno: mieszczanie, mieszczki, chłopi z okolicy. Tu żołnierz, tu kupiec obcy w cudzoziemskim stroju, tam przeciska się w tłoku konno jakiś jeździec zdrożony, może posłaniec z dalekich województw północnych, albo południowych?... Przejeżdża kupka konnych, zbrojnych — kto wie, gdzie jadą?... Pańska, złocona kolebka, zaprzężona w siwe konie — może do króla na zamek?

A cóż dopiero, gdy spojrzeć na domy spiętrzone, na owe godła, co je mieszczanie radzi nad drzwiami wyobrażają: więc tu lew, tam baran, ówdzie dzwon, albo lilje — gdzie niegdzie mały święty z kamienia, a przed nim lampka i wianuszek kwiatów. Do sklepów tłoczą się ludzie; krzyk, gwar wszędzie.

Żacy patrzyli, oglądali się, ile im oczu starczyło. Hieronim tak zatopił się w widowisku, że ocknął się jak ze snu, gdy go ktoś począł usilnie targać za nogę. Spojrzał: to Pietrek i Stach, już na ziemi, szli przy wozie. Kucharz, z którym się już pożegnali, przebierał w sakwach i wyciągnął kawał wędzonki i sporą kiełbasę, a potem chleba pół bochenka. Podawał to żakom z wozu, oni brali i dziękowali.

Hieronim zsunął się z wozu i we trzech zapuścili się w tłum.

Byli wreszcie w Krakowie! Teraz świat stał przed nimi otworem. Wszystkim trzem biło serce, gdy szli pierwszy raz krakowską ulicą.

Skręcili w pierwszą boczną uliczkę, by się wydobyć z tłumu i rozejrzeć, co robić.

— Trzeba spytać, gdzie tu jest bursa Wszystkich Świętych — rzekł Stach. — Tam Litwa mieszkać zwykła.

Właśnie przechodził jakiś mały żak ulicą, nucąc pod nosem, roztargniony:

Jezus Judasza przedał za pieniądze nędzne,
Bóg Ojciec Syna wydał na zbawienie duszne...

— Nawspak śpiewa — rzekł półgłosem Stach.

Żaczek spojrzał na nich.

— Jakże to? — rzekł Pietrek — u was Jezus Judasza przedał?

Żaczek cały się zapłonił, aż pod włosy, które miał jak len jasne i uśmiechnął się, nie wiedząc narazie co odpowiedzieć.

— Gdzie tu jest bursa Wszystkich Świętych? — spytał Pietrek.

— Wyście obcy? — spytał żaczek, nabierając śmiałości.

— Obcy. Powiedź nas, bo nie znamy nic miasta.

Chłopiec zawrócił i poszli.

— Ja już znam — rzekł. — Ale zrazu tom ciągle jeno błądził.

— Tyś z Litwy? — spytał Stach.

— Z Litwy — odpowiedział, cały się rumieniąc,

— I ja — rzekł Stach. — A skądeś?

— Z Pienian, w wileńskiej diecezji.

— Ja z Brześcia. Tośmy rodacy. Jako cię zwą?

— Jerzy.

— Jakże ci tu, Jerzy, się widzi? — spytał Pietrek. — Trudno się uczyć?...

— Cóż, — rzekł mały — jak na naukę posłali?... Trzeba, trudno czy nie...

— A w bursie jak?

— W bursie? Są dobrzy, są i źli. Czasem pobiją...

— Mówią, że jeno po łacinie gadać rozkazują?

— A tak, bardzo srogo. Ale jak wyjdziem na miasto, albo wieczorem, to już każdy po swojemu mówi.

— Znasz ty tę bursę Wszystkich Świętych?

— Jakże? — zadziwił się. — Przecieć tam mieszkam.

— A! — ucieszył się Stach — mów, jakie tam porządki? Jestli miejsce jeszcze? Przyjmą nas?

— Miejsce jest — rzekł mały, — ale nie przyjmą was, nim nie wpiszecie się u rektora. Potem dopiero.

— To pocóż tam iść? — spytał Pietrek, zatrzymując się.

— Senior dobry — odparł Jerzy — spróbować nie zawadzi. Przyjmie was może na tę noc, a jutro się zapiszecie...

Tymczasem minęli parę ulic.

— Już zaraz — rzekł Jerzy. — Jeno na Mazurów nic nie mówcie, bo senior jest Mazur.

Nagle stanął, nasłuchując.

— Ej, czy to aby nie nasi kędyś się biją?

Słychać było zmieszaną wrzawę kłótni gdzieś w innej ulicy.

Jerzy puścił się biegiem, a z nim nowi żacy. Zawrócili w jakąś boczną uliczkę, całą w płotach, z za których wyglądały zielone drzewa ogrodów. Tu i owdzie stał dom murowany tuż przy chodniku, a z okien wyglądały głowy zaciekawionych bójką mieszkańców.

Bili się z krzykiem i wrzaskiem zmieszaną kupą scholarze z jakimiś pachołkami, okazałymi sługami jakiegoś możnego pana lub bogatego księdza.

Nowoprzybyli wpadli w bitwę, mały Jerzy rzucił się jak kogutek, który wielkiemu psu do oczu skacze. Stach zaraz wziął się za bary z pachołkiem jakimś, dyszącym jak zły niedźwiedź, czerwonym jak rak. Rozerwali ich inni bijący się; znów się dopadli. Pietrek nie miał ochoty bić się, trzymał się z kraja i tylko, gdy który pachołek nadarzył się pod rękę, walił po nim. Hieronim za to rzucił się jak w rozhukane stado, które trzeba poskromić: tłukł, jak popadło, na prawo i lewo, sam obrywając najgorsze razy. Wnet był na czele i wszyscy go widzieli. Obok niego drugi scholarz, wyższy, smukły, bił się najdzielniej. Przytem żartował i dogadywał. Gdy spostrzegł, jak Hieronim dobrze staje, coraz go chwalił:

— Dobrze! Dobrze! Tęgo po nich!

Naraz Hieronim uczuł, że go raniono w rękę. Cofnął się z bitwy, bo mu drętwiał łokieć.

W tej chwili nadbiegło dwu nowych pachołków, wpadli między bijących się, poczęli ich rozdzielać, tłukąc na prawo i lewo.

Już Hieronim chciał rzucić się na nich, gdy bitwa się rozsypała: scholarze rozbiegli się, ich przeciwnicy wycofywali się roztropnie, skromną gromadką podążając do wylotu ulicy.

— Miejskie pachołki! — wołali żacy, rozbiegając się.

Miejscy pachołkowie tymczasem dopadli paru żaków, i to co mniejszych, i trzęśli ich porządnie, napominając:

— A spokojnie! A rozchodzić się!

— Puszczajcie! — rzucił się na nich ów, co był przedtem obok Hieronima.

Zaraz i inni zbiegli się na ratunek kolegów.

— To tak porządku w mieście pilnujecie?— krzyczał wódz burdy.— Tamci nas wyzywają, a wy na nas napadacie, ich zaś puszczacie?

— Oni zaczynają! — wtórzyli żacy.

— Ale! — odezwał się któryś z cofających się sług pańskich — myśmy ta wam bić się nie radzili!

Hieronimowi krew lepiła się na ręce, ściekając między palcami. Spostrzegł to ów przywódca żaków, i pociągając go na środek ulicy, zawołał:

— Do krwie ranion! Rozbójniki! Zapłacicie dobrze! Łotry!

— To nic — rzekł Hieronim, broniąc mu się.

— Cicho jeno! — rozkazał mu tamten.—O nich idzie, nie o ciebie.

— Ranion! Ranion!—przedrzeźniał któryś z pańskich sług. — Chudzina! A nastawia się sam, byle co złapać i zaraz piszczeć: porąbali mię! mamo!

— Zbóje!—odpowiedział tamten z chłodną pogardą.—Jutro u rektora inaczej zaśpiewacie

— A bez tego to się nika, nigdy nie obejdzie — rzekł jeden z miejskich pachołków, ocierając ręką czoło i pokazując na scholarza, trzymającego Hieronima za rękę.

— Lepiejby dla was było, byście nie tak często z nami się spotykali—rzekł ów.—Dość mamy bijatyki!—Teraz, by nas najlżej kto ruszył, wnet do rektora będziem podawali.

Rozchodzili się wszyscy.

— Ci najgorsi — mówili żacy między sobą. — To ich pan tak ich szczuje.

— Jaki pan, taki kram.

— Księże sługusy!

— Jutro do rektora podasz na nich; jak się zwiesz?

— Hieronim.

— Jutro podamy rano skargę. Rektor już im pokaże, scholarzy rąbać!

— A ty sam, Samuelu, wołałeś: bez broni! rękami! — rzekł jeden.

— Ba — odrzekł dowódca burdy—bym był wiedział! Ktoby zgadł, że takie zbóje? Widzi, że my się rękami bijemy, a sam, łotr, nóż wyciąga. No, do drugiego razu! O zbóje, zbóje!

— Oni zawsze! — rzekł Jerzy z siłą.

— Ale rektor im zada bobu! Poskarżysz się, zobaczymy.

— Jakże się poskarżę, kiedym nie żak? — rzekł Hieronim.

— Tyś nie żak? — zawołali scholarze jeden przez drugiego, zdumieni.

— On jeszcze nie wpisany — wyjaśniał Pietrek — jako i my. Dzisiajeśmy przybyli, we trzech.

— Ale się zapiszesz wnet? — zapytał Samuel.

Hieronim ruszył ramionami.

— Nie wiem.

— Nie na naukę tuście przyszli?

— Na naukę — odparł Stach.

— Bacz — powiedział Samuel — jak się wszystko składa. Te pachołki najgorsze są z całego miasta. A ich pan, ksiądz Czarnkowski, sąsiaduje ze szkołą Wszystkich Świętych.

— To on ich judzi—odezwał się ten i ów,—jak w zeszłą środę.

— Nad złego sąsiada nic nie masz gorszego.

— Teraz—mówił Samuel od złośliwości ich już wytrzymać trudno.

— Porąbać! — zawołał zawzięcie mocny, krępy scholarz, z ostremi oczami czarnemi, zwany Rafałem.

— Nie sztuka! — odparł Samuel mimochodem. — Trzeba ich przycisnąć tak, by ani pisnąć nie śmieli. Tylko który ruszy kogo z naszych: do rektora z nim!

— Zapisz się, zapisz! — doradzał Pietrek Hieronimowi, cały przejęty wielkiem znaczeniem jego roli.

— Najlepszą sprawę byśmy mieli—rzekł Samuel. — Bo my biliśmy rękami jeno, a oni bronią. A to rzadsze jest niż można pomyśleć.

— Nawet nie wiem, czyli kiedy tak było za ludzkiej pamięci — powątpiewał Rafał.

Hieronim milczał, aż któryś ze scholarzy odezwał się obelżywie:

— Beanus! Jest nad czem dumać!

Hieronim nie wiedział nawet, co za straszliwą obelgą szkolną było to słowo. Ale Samuel, odwracając się, rzekł dobitnie:

— Sameś bean! On tak stawał jak mało który z was, a ty co mu przytykasz?

— Pójdźmy do Włocha! — odezwały się głosy. — Tam będziecie radzili.

— Pójdźmy, pójdźmy! In vino veritas.

Przyśpieszyli wszyscy kroku i po chwili zbiegli jak huragan po schodkach do piwnicy, gdzie miał winiarnię Włoch, Wiktor Genueńczyk.

W winiarni.

Scholarze zaroili się po piwniczej sklepionej izbie, zasiadając ławy, popychając się. Odrazu posypały się żarty, krzyki, śmiechy.

— Wina! wina! — wołano zewsząd.

— Co to dzisiaj za młodzi — zaszeplenił jakiś starzec, wyschły jak jabłko w suszarni, odsuwając się z niesmakiem.— Przypomnij sobie, wasze, jak to bywało za naszych ojców, za króla Olbrachta, za króla Aleksandra... za starego króla Zygmunta... a teraz...

Jego towarzysz spokojnie kiwał głową, wpadłszy w pewien rytm, którym zarówno przytakiwał gorzkiemu głosowi starego, jak i kołysał własne swoje dumanie. Stary, upiwszy z czarki wina, wytarł cienkie pomarszczone wargi i spojrzawszy zgryźliwie to na tych, to na owych, znów począł wyłuszczać różnicę, którą dostrzegał między temi a dawnemi czasy.

Genueńczyk tymczasem i sam nosił wino i posyłał z niem pachołka swego, czarnego niemal jak murzynek.

— Węgierskiego! — wołał Rafał.

Stach i Pietrek, jako nowi, powinni byli stawiać.

— Ty sześć groszy, ja sześć groszy, to dwanaście — rzekł Pietrek pocichu, śpiesznie. — Postawimy im dwanaście kwart wina...

— Ej, — rzekł Stach przezornie — a jeśli to nie z naszej bursy, trzeba będzie znów bursakom stawiać i seniorowi osobno, drugi raz. A skąd wziąć?.

— Skąpcze! — szepnął Pietrek — nie maszto z dziesięć grzywien na sobie.

— Sss... Ty nie wiesz... Ja szukam księgi... mnie i to mało, jak kropla w morzu, a tu tyle, tyle trzeba, by ją znaleźć...

— Co? Co? — zapytał Pietrek zdumiony, nic nie rozumiejąc.

— Potem ci powiem, nie teraz — odrzekł Stach, żałując, że tyle już wygadał.

— Daj choć trzy grosze — napierał Pietrek, którego zaczynała ogarniać gorączka zabawy.— Ja już dodam resztę.

Stach pokręcił głową.

— Gorzej dać trzy, niż sześć — rzekł. — Brzyćko.

— To jakże?

— Już niech będzie sześć — rzekł Stach znękany. — Postawimy dwanaście kwart!

— Cóż wy nowi?.. — zawołał jeden ze scholarzy. — Pójdźcie! A może stawiacie?...

— Iście! Jakże inaczej! — podniósł się hałas, gdyż wszyscy się ucieszyli z tej gratki. — Wina, wina stawiajcie!

„Dum bibo wino
Stat mihi kolano krzywo".

zaśpiewał któryś.

— „Piwo", nie „wino!" — poprawił go inny. — Wałkoniu! Poetyka nie wieszli, co mówi?

— Stawiamy dwanaście kwart! — zawołał Pietrek.

— Vivant! — krzyknięto. — W górę ich! Trzy garnce! Vivant!

— Gospodarzu! Dwanaście kwart! – krzyczeli inni. — Płacą zaraz dobremi pieniędzmi!

— Pokażcie! — rzekł Włoch nieufnie, ale dobrą miną pokrywając swoje wątpliwości, by nie urazić klientów.

Pietrek sypnął na stół dwanaście groszy.

— Węgierskiego! — zawołał.

Gospodarz zgarnął starannie pieniądze i posłał swego pachołka przynieść wina.

Małe, dymne lampki ledwie rozświetlały twarze skupione wokół nich nad stołami. Olbrzymie cienie skakały po niskiem sklepieniu, po szarych ścianach.

— Zamkną bursy! — przypomniał wśród wrzawy któryś.

— Do bursy z winem! — zakrzyczeli inni.

— Nie, nie! — opierał się jakiś żak z kąta— to nie to samo, bursa czy piwnica.

— Pachnie mu rózga — odpowiedziano.

— Zostać, zostać! Dobra myśl jeno w winiarni! — krzyczeli drudzy.

Wyrwała się pieśń:

„In tabernis quando sumus,
Nescimus quia sit humus,
Ibi nullus timet mortem
Sed pro Baccho mittunt sortem".

Ale już gromada zakręciła się wokół przyniesionego wina, i podchwytując pieśń hulaszczą, zabierała wino i wyprawiała się na schody. Za nią pchała się reszta, jak pszczoły za matką.

— Zostań — rzekł Samuel, przytrzymując Hieronima — chcesz? Musimy pomówić, gdy oni wyjdą.

Hieronim skinął głową i siedział, czekając, co Samuel mu powie. Tymczasem wziąwszy od pacholika wody i zwilżywszy szmatkę, ocierał sobie krew zaschłą na ręce.

Samuel milczał, obracając na stole czarkę z winem. Dopiero gdy ostatni ze scholarzy wyszli na ulicę ze schodów, rzekł, podnosząc głowę i patrząc w oczy Hieronimowi:

— Widzę, żeś ani tchórzliwy, ani wałkoń światem się włóczący — czegóż przeto nie chcesz się do szkoły jakiejkolwiek zapisać, nauk przejść? Przecież to każdemu i przystojniej, i godniej w życiu, gdy wie, co i jak jest. A jeszcze, gdy od twego zapisania tyla sprawa i takie zwycięstwo naszych zależy.

— Klechą nie będę, — odrzekł Hieronim. (Samuel się żachnął) — Wam radbym się przysłużył, kiedy tyle o tem trzymacie. Ale śpieszno mi dalej iść, i nie chcę zwlekać.

— Każdy, myślisz, kto w szkołach był, księdzem będzie — zawołał Samuel.

Hieronim takie prawie miał przekonanie. Inaczej, pocóżby tracili czas na śmiertelnie nudną pracę uczenia się łacińskich słów i reguł.

— A medyki? — rzekł Samuel. — A prawo? Wielu się wyświęca, ale ilużto takich jest, co się uczą, by potem czy u dworu pana jakiego, czy przy królu chleb dobry mieć? A bakałarze? A mało to takich jest, co nauki tu przeszedłszy, dalej jadą, w świat — do Włoch, do Niemiec, do Paryża we Francjej, dla samej nauki... Kraje one dalekie oglądają, i wiedzą prawie wszystko, co wiedzieć można... Ani pomyśleć, co oglądać można po świecie szerokim...

Samuel skończył mówić zcicha, oczyma widząc jakby owe cuda odległe, pod innem słońcem, niebem, z cudzą mową, innym obyczajem.

Hieronim słuchał go — i nieznana mu nigdy tęsknota poczęła go ogarniać: zdawało mu się, że widzi wieczorem, w niebie rozgorzałem od zachodu słońca, klucz żórawi ciągnących ze skrzypotą śpiewną hen, na zachód, ponad krajami. Obłoki na niebie były jak złote wyspy, jak góry różane, a błękit między niemi jak morze olbrzymie, po którem można żeglować do cudnych światów, dalekich, dalekich.

Odetchnął głęboko i było mu, jakby miał teraz jakieś światło ukryte w sobie, i jakby mu przybyło siły. To mu się trafiało nieraz. Myślał wtedy, że rósł nie wiedząc o tem, a w owej chwili nagle uczuwał, że mocy mu przyrosło. Mniemał, że tak będzie zawsze i nieraz bawił się, myśląc: do czego też to dojdzie? Będzieli taki jak Waligóra, jak

Wyrwidąb w starych bajkach? Starał się poznać, jaki będzie później, patrząc na dorosłych ludzi: ale wszyscy wydawali mu się za słabi.

Samuel pierwszy ocknął się z chwilowego milczenia, błysnęły mu żywiej oczy i powiedział:

— Kędyż się śpieszysz? Gdzie ci do tyla pilno, byś ani chwili tu zostawać nie miał?

Hieronim pomyślał, że jednak lepiejby nic nie mówić. Ale gdy spojrzał na jasną, dziwnie kształtną twarz Samuela, na oczy bystre, świeże, uważne, błękitne i gorące jak czyste niebo w samo południe, spuścił głowę i zastanowił się, czy temu nie powiedzieć? Podobał mu się Samuel, ciągnęła go nadzieja przyjaźni z nim, którego wszyscy żacy słuchali, choć on tego od nich nie żądał. Przytem był starszy, mógł mieć lat ze szesnaście, to także ważyło.

— Brata mam starszego, Andrzeja — rzekł wreszcie.— Ten wojuje, gdzie? nie wiem nic, na wołoskiej granicy, alboli na Ukrainie... Dowiem się na zamku, tam będą wiedzieli. Do niego chcę iść.

Nie pożałował, że powiedział, widząc jak zajęły te zamiary Samuela.

— Co tam będziesz czynił? Jakże tam dobijesz się, tyli świat, bez konia, bez towarzysza?

— Przecież dobiję się! — odrzekł Hieronim. — Co będzie, to będzie.

— Ciężko będzie — rzekł Samuel. — Znam ci to już. — A ojcowie z domu tak cię puścili?

— Gdzieby!—żachnął się Hieronim, nieco stropiony tem, że Samuel bierze i jego, i jego brata, i jego ojców za takich chudopachołków, którzy tak mizernie syna w drogę wyprawiają.

— Ojców niemasz, pomarli. Braci jeno mam dwu.

— I ja mam brata starszego, Macieja — rzekł Samuel. — Tenci we Włoszech jest, w Padwie. I ja tam pojadę; poślą mnie ojcowie, gdy tu dobędę jeszcze lat ze dwa.

— Znasz, powiadasz, jako to jest, tak bez konia kędyś się dostawać? — spytał Hieronim.

— Bez konia, nie, alem raz, małym jeszcze, sam do dom jechał mil ze dwadzieścia. Powieźli mnie do wuja, w Wielkiej Polsce. Przyszło jak raz na ten czas powietrze. Wuj mnie na podwodę tę samą wsadził, ludzi dał, wysłał do domu. Przyjechalim do miasteczka Koła. Tam ludzie marli jak muchy. Pomarli i moi. Zostałem sam. Ani drogi wiem, ani kędy się obrócić, co począć. Ale nic. Groszy trochę było. Kupiłem owsa, siana, nałożyłem na wóz, i dalej jadę. Konie tom karmił, ale sam tom ledwo z głodu nie zamarł. Jako mnie te konie dziwnie dowiozły, to już nie wiem, ani nikt inny, chyba Pan Bóg! Ludzie pokazywali drogę, ale mi się zda, że te konie więcej rozumiały ich, słuchając, niźli ja.

— Że ci nikt koni ani woza nie odjął!

— Powietrze było. Ani nikt się do mnie przysiąść nie pytał, widząc, jak się wleczem, by trupia podwoda. A może i boska opieka nas chroniła.

— Długoś tak jechał?

— Wiem to?... Niedziel ze trzy, może dwie. Potem jużem myślał, że zamrę. Niech też te konie idą, gdzie im się widzi, niech też idą, gdzie im się spodoba. Leżałem na wozie w barłogu, co napół przegnił, ze słomy, co w nią wszystkie deszcze lały. Aż tu konie stają. Ja i oczu nie otwieram — nie warto. Słyszę, że wiatr szumi jakosi dziwnie. Patrzę: drzewa, ale rzadkie, nie jak w lesie. Znów leżę, jak niemocny. A wóz wciąż stoi. Wtem, jak ci coś nie zaskomli! Na wóz się dobiera, skacze. Włazi i na mnie! I liże, i skomle, i przypada; patrzę: aż tu nasz pies — Obal! Myślę: tom ja w domu! Tu już i drzewam rozpoznał, co przy drodze, nim wjechać we wrota. Wrota były zamknięte. Zewlokłem się z wozu, otwarłem. Konie ruszyły; jak te szkapy się zarobiły, chudziny! Wtedym się dopiero obaczył, kiedym je tak ujrzał ruszające z wozem, jak ledwo nogami włóczyły. Chciałem zawrzeć bramę, alem jak i siadł, nic już siły we mnie nie było. Jakbym zasnął. Potem się zbudziłem, to jużem był na pościeli i matka przy mnie, i wszyscy... Płakali, a jam się bardzo dziwił. Ale bo oni myśleli, żem już tam gdzieś zamarł, daleko.

Samuel umilkł, uśmiechając się niewyraźnie do dawnych tych czasów.

Hieronim powiedział:

— Szkoda, że mnie się tak nie zdarzyło.

Potem powrócił myślami do swoich spraw, i rzekł:

— Teraz przyszedłem tu do Krakowa na piechotę, i bardzo dobrze. Podwożą po drodze. A jeszcześmy nie szli wielkim gościńcem, co na Miechów, Chęciny, Kielce, jeno przez Pińczów. Teraz zaś pójdę wielkim gościńcem, nic się nie zbijając z drogi, prosto do Wołoch, albo na Ukrainę. Bylem się dopytał, gdzie jest Andrzej.

— A on cię przyjmie dobrze?

Hieronim zamilkł, uderzony tem pytaniem, którego wcale sobie dotąd nie zadawał.

— Jak przyjmie, to przyjmie — rzekł. — Ale do Marcina, zdrajcy, nie wrócę.

— Co? — zdziwił się Samuel.

— Mam drugiego brata — odpowiedział Hieronim niechętnie — który doma gospodarzy. Od tegom poszedł i nie wrócę.

Samuel dorozumiewał się teraz, o co idzie. Patrzył na Hieronima z tem większem zajęciem.

— A nie będzie cię ten Marcin szukał? — spytał ciszej.

— Posłał — rzekł Hieronim.— Mają mnie ścigać by i do Krakowa.

— O! — wykrzyknął Samuel mimowoli. — To na ostre!

Hieronim się uśmiechnął, rad.

— Temu to i śpieszyć się muszę. Zaraz jutro pójdę na zamek.

— Nie radzę ci — odezwał się głos z boku.

Hieronim się rzucił, spojrzał. Siedział w mroku jakiś człowiek spokojny, mając sporą lampkę wina przed sobą, podparty łokciem na stole.

— Dlaczego? — porywczo spytał Samuel.

— Ba! — rzekł tamten — jeśli ów, co szuka, niegłupi, to na zamek najpierw da znać do podstarościego, i w mieście na ratusz, by pachołkowie miejscy zważali.

— W takiem mrowiu żaków i scholarzy kto go znajdzie? — powiedział Samuel.

— Iście, nikt. Ale dlatego też na zamek, w samą lwią paszczękę leźć nie powinien.

— O! — rzekł Hieronim napół do siebie — jakżeż tedy się dowiem?

Nieznajomy uśmiechnął się i bynajmniej nie ruszając się, tak jak był z podpartą brodą, powiedział:

— Przyjaciół, krewnych nie masz?

Hieronim spuścił głowę i nic nie odrzekł. Trudno, o wuju Zieleńskim kanoniku niebezpiecznieby było mówić tu, w Krakowie, gdzie musiał być znany.

— Nie?... — rzekł ów. — Tedy przez innych, którzy mają znajomych w zamku i w królewskiej chorągwi, trzeba się dowiadywać.

Mówił jasno, spokojnie. Hieronim uchylił się, by go widzieć w świetle. Zobaczył, że ma bladawą twarz, bez zarostu, cienkie, wyraźne brwi czarne i jasne oczy siwe, mądre, pogodne, któremi patrzył prosto w niego. Na głowie miał aksamitną czapkę, która zasłaniała czoło. Nie wydawał się zdrajcą, prędzej sprzymierzeńcem. A może nawet był to ktoś znaczny? To także mignęło w myśli Hieronima, gdyż tamten miał w sobie jakąś dostojność i swobodę, a także nacisk w głosie lekki, spokojny.

Hieronim rzekł:

— Nikogo nie znam.

— Tych, co znam, teraz tu nie masz — powiedział Samuel i umilkł.

— Przyjdź kiedy do mnie—rzekł obcy po chwili.—Nie wiem ci ja ani przed czem uchodzisz, ani co cię wiedzie. Ale o brata się dowiedzieć pomogę. Bywają różni ziemianie, dworzanie i rycerze w naszej oficynie. Przez nich może się czego dowiemy.

Hieronim żywo chciał wyrazić swą wdzięczność. Ale pierwszy raz poczuł się dzikim: ani słowa nie mógł znaleźć. To go zmieszało. Zarumienił się cały i bąknął:

— Prawdziwie... Nie wiem...

— Ludzka rzecz jest — rzekł tamten — sobie wzajem ułatwiać, co można. Gdyśmy tu razem na tym padole się zeszli, mielibyśmy jeszcze utrudzać sobie życie? Homo homini res sacra.

Scholarze go słuchali, ale on to mówił raczej do swojej lampki z winem, patrząc, jak przez nią przenikało światło, czerwone od wina, by krew.

— O jakiej oficynie wasza miłość mówiłeś?—spytał Samuel jeszcze.

— Przyjdźcie do drukarni Mikołaja Szarfenbergiera — rzekł obcy— i pytajcie o mistrza Pawła.

— A! — rzekł Samuel.

Gdy wyszli na ulicę, było już koło ósmej i zupełnie ciemno. Tu i ówdzie przechodził ktoś z latarnią, napełniając hałasem swych kroków całą ulicę.

Kraków spał.

Szli śpiesznie do mieszkania Samuela na Szczepańskiej.

— Znasz-li go? — spytał Hieronim.

— Nie — odparł Samuel. — Alem nie myślał, że będzie w oficynie drukarskiej.

— Ani ja — rzekł Hieronim. — Widział mi się ktoś znaczny.

Sprzedaż noża.

Kiedy Hieronim na drugi dzień ruszył na poszukiwanie towarzyszy w stronę bursy, do której wczoraj wieczór poszli z winem, spotkał Stacha i Pietrka, jak z niej wychodzili, aby iść do rektora akademji i zapisać się na uczniów.

Stach już sobie zapewnił mieszkanie w bursie, bo jak mówią, „kruk krukowi oka nie wydziobie", a w tej bursie bywali zawsze sami Litwini i Mazury: ludzie zdaleka, od tych z Małopolski, Wielkopolski i Śląska całkiem różni. Dokuczano im w Krakowie i wyszydzano, dręczono, wyśmiewano za ich mowę i za wszystko, co w nich było odmienne. Coraz to rektor miał do sądzenia sprawę o przedrzeźnianie mazurskiej mowy, o bitwy z Litwinami. Oni też za to trzymali się między sobą i stawali jeden za drugim.

Pietrka przyjąć nie chciano; twierdził, że sobie już coś do niego upatrzyli.

— E, bracie! — śmiał się Stach — sameś im swoich rogów ukazał: Ów ten scholarz do ciebie z mazurska, a ty mu wytwarzając odpowiadasz: tko? ja? I zarazeście się pobili.

— Jak, jak? — zapytał Hieronim rozśmieszony.

— Nie wiesz? Mazury nie mówią kto, jeno tko—objaśnił mu Stach.

— Dobrze ci się śmiać! — rzekł Pietrek nachmurzony — a ja gdzie teraz pójdę?

Zaświstał ze smutkiem, i machnąwszy ręką, jakby odżałował swego, powiedział:

— Może też to palec boski, który mnie do lepszych rzeczy przeznacza; a nuż profesor jaki weźmie mnie do się, za usługi? Da miejsce do przespania, jeść...

Już mu zabłysły oczy ciekawością przyszłych losów, i pogodził się zupełnie z tem, że go w bursie nie przyjęto.

— A ty, Hieronimie, coś zamyślił? — spytał Stach.

— Wpiszesz się? — żywo spytał i Pietrek, porzucając swoje myśli, przypomniała mu się bowiem wczorajsza przygoda.

— Wpiszę — odrzekł Hieronim — spróbuję. Będzie-li źle, tedy pójdę do Andrzeja.

— A mieszkać gdzie będziesz?

— Nic nie wiem — odpowiedział. — Pieniędzy nie mam.

— Masz-li co sprzedać? — spytał Pietrek.

— Sprzedać?... Mam nóż bardzo dobry, ale...

— Nóż? — zawołali — pokaż! pokaż!

Stanęli w zaułku, i Hieronim, sięgnąwszy pod suknie na piersi, odczepił nóż w pochwie, wyjął go i pokazał.

— O, o, o! — odezwali się obaj żacy z podziwem.

Pochwa była z twardej skóry ziarnistej, misternie okuta srebrnemi ozdobami. Ale dopiero nóż sam! Ze stali tak błękitnej, jak wielkie wody przy pogodnem niebie, a giętkiej tak, że koniec klingi przygiąwszy, niemal do rękojeści przywieść się dawał. Rękojeść też była srebrem suto ozdobiona.

— O, o! — pwtarzali, oglądając — o, o!

— Sprzedasz go?—spytał Pietrek. — Niceś nam nie mówił, że masz nóż taki czysty.

— Tego dnia, com miał z domu jechać, dała mi go gospodyni razem z pasem — rzekł Hieronim. — Ale noszę go pod sukniami, bo poco nim ludziom w oczy świecić?

— Za to można dobre pieniądze wziąć—powiedział Pietrek, kręcąc głową z podziwem.

Hieronim schował nóż i poszli dalej, bo trzeba było śpieszyć się do rektora.

Było rano, i na ulicach roiło się od żebrzących żaków. Nędznie odziani, w stare i brudne suknie, z garnuszkiem w ręku, szli, mrucząc pieśni nabożne i oglądając się na drzwi i okna mieszczańskich kamienic i domów.

Inni, widać pewni swego, stali nieruchomo przed temi lub owemi drzwiami czekając, aż gospodyni wychyli się i weźmie od nich garnek, a potem im go odda pełny. Wydać też było mieszczki, wychodzące do małych żebraków. Czasem wychodziły małe dziewczęta, czyste, różowe, uśmiechnięte, gładko uczesane.

Pełno było gwaru na całej ulicy.

— Widzisz — rzekł Stach — jaki tu dobry naród. Bez nich ani połowa tych żaków tuby nie wyżyła.

Hieronim, spoglądając na nędznych chłopców, słysząc ich pieśni żebracze, niewiele miał ochoty robić tak jak oni i być między nimi.

Weszli do Collegium, ale sapientia, czyli bedel akademji, prawa ręka i nieodzowny sługa rektora, powiedział im, że dziś do wpisów się nie przyjmuje.

To wygłosiwszy, ponuro i groźnie przemierzył ich oczyma, i dodał, wygoloną brodą ruszywszy w ich stronę:

— Nie wiesz-li, jeden z drugim, że takie odzienie studentom nie dozwolone?

Przystanęli i spojrzeli po swoich ubiorach, a sapientia, przyszedłszy bliżej, ukazując palcem to na ich stare kaftany, to na wytarte spodnie, gadał surowo, jak prokurator w sądzie do sąpierza:

— Tunikę masz mieć! Czarną, nie inszą! A że teraz pozwolili i na krótką, co się topieniakiem zowie, tedy i taką możesz mieć. Myckę masz nosić, a nie ową czapkę świecką, dworską jako ta, z ogonami na uszach! Tak się teraz studenci nosić chcą, jak im jeno pycha poszepnie: a to na buro, a to na zielono, a to na czerwono... ba, i na żółto. Rękawy rozcięte, jak u dworzan, aż cała ręka wyłazi; drugi znów się ubierze, że podobniejszy do żołnierza, niż do scholarza. Na mycce, co jest rzecz duchowna, i w poszanowaniu być powinna, złote wstążki i piórka czepiają: tfu, Sodoma i Gomora! To wam mówię: srogo i ciężko za to was karać będziemy, jeśli się pobożnie nosić nie będziecie, na czarno i gładko, jako o tem ustawy są, szesnaście lat temu, anno domini 1533, przez nas wydane.

Odsapnął, i jeszcze coś chciał mówić, ale Pietrek, niby struchlały, z głupia frant, spytał:

— Domine sapientia, dadzą-li nam to odzienie w akademji, czy tylko pieniądze na kupienie?

Sapientia, ćwik stary, nie wierzył w Pietrkową naiwność i pokorę, i huknął z obrażoną godnością:

— Mnie się będziesz, raku jeden, pytał? Do krawca idź, niecnoto! Nuże, wartko! Pieniądze -- a juści!

— Srogo krzyczy, chodźmy! — szepnął Stach przezornie.

Wyszli znów na ulicę; Pietrek rozbawiony, przedrzeźniał sapientię, podskakując do czapki Stacha.

— Wyskub piórka, Sodomo! Gdzieżeś ich nabrał, rozpustniku?

— Pódź precz! — bronił mu się Stach, zasłaniając swoje piórka nad uchem zatknięte.

Szli ku rynkowi, aby tam sprzedać nóż Hieronima.

Otóż był wtedy wielki jarmark, i do mnóstwa zwykłych kramów, któremi wielkie, główne gmachy w rynku były obstawione, przybyły jeszcze nowe budy i kramy i mnóstwo rozmaitych handlujących. Żacy szli i przyglądali się, oszołomieni gwarem, krzykiem, ruchem, ale już patrzyli na miasto, jak na swą dziedzinę, gdzie maluczko, a będą się czuli, jak ryba w wodzie.

Szli, a tu ich przekupki wołały: ta do sera, ta do chlebów, ta do obwarzanków, ta do kiełbas. Mieli jeszcze jedzenie, które im dał pański kucharz, gdy się z nim żegnali, to też nic nie kupili, ale aż im ślinka szła do tych smakołyków.

Od strony kościoła Panny Marji stały kramy niskie, drewniane, tworzące między sobą długą i wąską uliczkę, zwaną maclochem. Tam to kupczyli nożownicy i płatnerze, i handlarze wszelkiego żelaziwa. Żacy przecisnęli się do maclochu i widząc kram płatnerski z samego kraju, przysunęli się ku niemu. W ciemnej głębi siedział kupiec, a na deskach wytartych i błyszczących od długiego użytku, rozkładały się z przodu różne rodzaje mieczów, noży. Z góry zwisały od niskiego daszku zbroje lśniące, łuki, kołczany ze strzałami.

— Panie kupcze! — zawołał Pietrek — nóż kupisz?

— Pokaż — odrzekł kupiec, nie ruszając się z głębi.

Hieronim wydobył swój nóż i ruszył nim ku światłu, nie wyjmując z pochwy, tylko, aby błysnęły srebrne okucia.

Teraz kupiec uznał, że warto się dźwignąć i sapnąwszy wstał i przystąpił do lady. Był to człowiek gruby, czerwony, zdyszany ustawicznie, z miękkiemi policzkami i obwisłemi powiekami.

Wziął nóż, wydobył, przesunął palcem po ostrzu, i nic po sobie nie dając poznać, czy mu się ta broń podoba, czy nie, spytał:

— Ile chcesz?

Hieronim spojrzał na Pietrka, a Pietrek na Hieronima.

— Dwadzieścia dukatów — rzekł Pietrek zuchwale.

Pewny był, że nóż nie jest wart ani ćwierci tej sumy bajecznej, i chciał pokazać kupcowi, że się zna na handlu i umie się targować. Ale nóż był wart rzeczywiście koło dwudziestu dukatów, z powodu rzadkiej stali i kunsztownej oprawy.

Kupiec przeto, uderzony tak słuszną oceną, ale widząc zarazem, że ma przed sobą nieobytych z miastem żaków, pokręcił głową i rzekł:

— Bierz go tedy i idź gdzie dalej szczęścia próbować! Nikt ci tyle nie da!

— A ile pan kupiec da?

— Hm... hm... — zamruczał kupiec — trzy dukaty!

Hieronim, który sądził, że skoro Pietrek powiedział dwadzieścia, należy mu się dwadzieścia, zawołał z gniewem, zarumieniony:

— Trzy? O zdrajco!... Idziem dalej!

I chwyciwszy nóż, odwrócił się żywo. Ale kupiec nie chciał puścić takiej gratki, mając nadzieję, że przecież kupi, choćby miał nawet dać i połowę ceny, i krzyknął:

— Postój mało! Czekaj! Dam ci pięć!

Hieronim, ani słuchając, chciał iść dalej, ale Pietrek go pociągnął za rękaw i przytrzymał, szepnąwszy, że trzeba się zgodzić.

Jeszcze Hieronim stał niepewny co czynić, gdy stojący obok i oglądający z miną znawcy miecze na ladzie, kuso ubrany człowiek, zaśmiał się głośno i powiedział drwiąco:

— He, he! Żeby do żydów na Kaźmierz poszedł, toby takusieńko za zastaw dali!

— Jakem Krupka! — krzyknął kupiec, czerwieniejąc z gniewu — pójdziesz mi stąd, ty powsinogo, hultaju? On się na szlachetnej broni będzie znał! A juści, tyle co koza na pieprzu! Zabieraj się stąd, nuże! Bym na pachołka nie zawołał!

— Wołaj! wołaj! — odpowiedział ów — niech cię ratuje co żywo!

Widząc go tak pewnym siebie, żacy z zajęciem mu się przyglądali. Miał twarz chudą, całkiem wygoloną, tak że nie możnaby poznać wieku. Pomarszczona nie była, tylko fałdzista i bardziej ruchliwa, a tak się te fałdy składały, że wyglądał to jak wesoły kozioł, to jak owca przestraszona, to znów jak lis chytry i sprytny. Oczka siwe i drobne łyskały mu pod powiekami, zawracając z jakąś rozkoszą i rozbawieniem od człowieka do człowieka, od rzeczy do rzeczy. Miał czapkę starą i wytartą, z obwisłemi na uszy klapami, i równie stare i zniszczone ubranie.

Widząc spojrzenia żaków nie bez podziwu na siebie skierowane, powiedział do Hieronima z namaszczeniem i opiekuńczą powagą:

— Nie oddaj, nie oddaj, aż ci dwadzieścia dukatów zapłaci.

Kupiec Krupka huknął pięścią w deski, aż miecze zadźwięczały.

— Precz mi stąd, hultaju, wałkoniu!

Ten zatarg zwrócił uwagę innych kramarzy i cisnących się w maclochu kupujących.

Zaczęli stawać jak na widowisku, a inni kupcy odzywali się z sąsiednich kramów:

— Co tam się stało? Złodziej?

Drudzy zaś, którzy słyszeli, o co poszło, wołali do Krupki:

— Wypędź go precz, hultaja, wydrwigrosza!

Bo każdy brał odrazu stronę współtowarzysza, przeciw jakiemuś przybłędzie nieznanemu, buntującemu gości.

Między widzami objaśniano sobie głośno, o co idzie.

— To frant! — mówiono — ten, co frantowskie sztuki na jarmarku pokazuje.

Ponieważ powołaniem franta jest bawienie tłumów pospólstwa, tak jak błazna rozweselanie króla i możnych, przeto cisnący się wokół widzowie, nim jeszcze co usłyszeli, już się śmieli, czekając chciwie, co frant na tłustego kupca wymyśli. Frantowi zaś tego tylko było trzeba; gdy uczuł tak wielu widzów wokół siebie, zabrał się do rzeczy. Po krótkim namyśle powiedział do kupca poważnie:

— Kmotrze miły, krakowskim targiem: niech będzie po połowie.

Czem mnie darujesz, tego tobie połowicę oddam: ja wałkoń? Tedyś ty hultaj. Ja hultaj? Tyś wałkoń!

Krupka, nie słuchając, rzucił się w wąskie przejście, zastawione w połowie lady, z pięścią ku frantowi.

Ten przysiadł, zręcznie odskoczył i wrzasnął:

— Pokuś słowy, niż sięgniesz do głowy!

Widzowie cieszyli się, kupiec krzyknął srogo na żaków, a pohamowawszy się co do franta, gdyż nie uchodziło z nim się bić, zwrócił się do nich:

— Zabierajcie się stąd precz!... Kradziony ten nóż i widzieć go nie chcę!

— Co? — zawołał Hieronim, jak raniony lew. — Co? Kradziony?!.

I bez namysłu rzucił się ku kupcowi. Ten już był za ladą, a widząc wściekłość Hieronima, cofnął się jeszcze dalej i wykrzyknął:

— Niech ci będzie i nie kradziony, jeno twój własny — ale czego chcesz?... Idź precz!

Bał się, że w tym ścisku coś mu naprawdę skradną.

Stach, który nie lubił awantur, pociągnął Hieronima za rękaw, aby iść już dalej, ale Pietrkowi bardzo się spodobał frant i ani myślał odchodzić.

Frant tymczasem, jakby nic nie zaszło, zaczął spokojnie targować się z kupcem, biorąc w obronę sprawę żaków. Wreszcie kupiec rozzłoszczony, znękany wesołością widzów, przybity dowcipami franta, dał

piętnaście dukatów. Pietrek chciwie zgarnął pieniądze i wręczył Hieronimowi. Ale frant rzekł:

— Litkup mi się patrzy od was. Przyjdźcie pod wieczór do winiarni Pyrnusza pod zamkiem.

— Słuszna jest rzecz! — zawołał Pietrek, co i Hieronim także potwierdził z gotowością:

— Przyjdziemy w wieczór!

Mieszkanie.

Dostawszy pieniądze za nóż, Hieronim uczuł się bogatym, jak król. Na co nie spojrzał, to mu się zdawało już jego. Najpierw zaraz o parę kramów dalej kupił sobie prosty, ale dobry nóż żelazny, prawie półtora raza większy od tamtego. Następnie udali się do kramów z odzieżą, i tam wybrał sobie topieniak, czyli krótką tunikę z czeskiego czarnego sukna, i myckę, jakiej używali żacy. Natychmiast ubrał się w to, i wyglądał jak student prawdziwy.

Teraz trzeba było pomyśleć o mieszkaniu. Zbliżało się też południe. Stach musiał wracać do bursy, namawiając Hieronima i przepowiadając mu, że go przyjmą.

Ale Hieronim ani chciał o tem słyszeć, by iść do bursy w taką niewolę. Zdawało mu się, że za tyle pieniędzy może żyć wygodnie i swobodnie, wynająwszy mieszkanie gdzieś na mieście. Odrazu też zaprosił Pietrka ze sobą. Stach odszedł, a oni dwaj poszli szukać mieszkania w jakim mieszczańskim domu.

Idąc tak, ujrzeli piękną kamienicę wysoką i z jasnemi oknami, ochędożną i bogatą.

— Tu radbym mieszkać — powiedział Hieronim.

Pietrek odradzał, dom wydawał mu się za porządny. Ale Hieronim zakołatał do drzwi. Otworzyła im dziewczyna i spytała, czego im trzeba. Słysząc, że chcą tu mieszkać, bardzo się zdziwiła, ale poszła powiedzieć panu.

Był to dom prokuratora, czyli adwokata przy miejskim sądzie krakowskim. Ten adwokat był już stary, ale przemyślny i chciwy, jak mało który inny, a przytem skąpy jak rzadko.

Dowiedziawszy się o żakach, posłał do nich swego ucznia, aby się przekonał, co to za jedni. Uczeń jego już był bakałarzem, czyli zdał pierwszy egzamin w akademji, bakalaureat, ale na prokuratorskiej służbie tak wychudł, jak sucha szczapa, a taki był niewyspany, że oczy ledwie mu się otwierały.

Wyszedł do żaków i spytał mdłym głosem, patrząc im na ręce:

— Coście przynieśli?

— Mieszkać tu można? — spytał Hieronim.

Zaspany bakałarz odpowiedział:

— Możecie przynieść prosię albo baranka, tuczonego kapłona, parę kurcząt, gęś, wkońcu choć sera gomółkę. Ale z pustemi rękami nikt tu nie wchodzi, bo dla takich niema jegomości w domu.

— Bartoszu, quem ego! — krzyknął prokurator, słysząc to przez otwarte drzwi. — Nie widzisz, dudku, że to nie do sądu?

— A co mają przynieść? — spytał bakałarz, odwracając się.

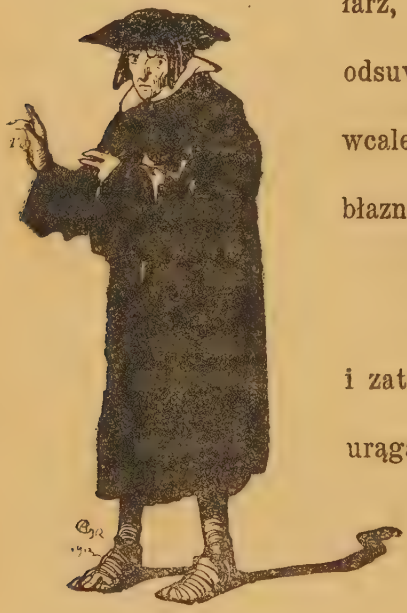

— Obaczym — rzekł prokurator, i wstał, odsuwając z hałasem krzesło.

Wyszedł, a ujrzawszy dwóch chłopców, wcale nie bogato wyglądających, zawołał:

— Bartoszu, dudku, oczu nie masz?... Ci błaznują, a ty ich słuchasz? Precz, żebraki!

I zamykał drzwi.

Ale Pietrek, obrażony, krzyknął:

— Szczekuła stary!

Prokurator udał, że nie słyszał tej obelgi i zatrzasnął drzwi, a żacy poszli dalej.

— Każdy szczekuła ze skóryby obłupił — urągał Pietrek. — To jest rodzaj jaszczurczy, najgorsi z ludzi. A widziałeś, jak ten chudy nam na ręce patrzył? Ci tylkoby brali.

— Inni są lepsi? — spytał Hieronim wątpliwie. — Gdzieby teraz pójść?...

— Mnie się widzi do kupca — rzekł Pietrek — bo to jest rodzaj spokojny i bezpieczny, i niema tego złego nałogu, co prokuratorzy, że każdemu w łapy jeno patrzy. Chodźmy do kupców.

Teraz pytali najpierw dzieci na ulicy, albo kobiety w oknach, czyj jest dom, zanim zakołatali.

W jednym z kupieckich domów wkońcu im powiedziano, że jest miejsce.

Mieszkała tam wdowa, Agnieszka Kleczewska. Ta przyjrzała się żakom i spytała, który to chce u niej nająć mieszkanie. Usłyszawszy, że Hieronim, powiedziała, że go przyjmie. Myślała bowiem, że jeśli to Pietrek, to go nie chce, gdyż musi być łobuz, jakich mało.

Ale Hieronim, spytawszy, czy mu da izbę osobną, oświadczył, że chce, by Pietrek z nim został.

Wdowa popatrzyła na Pietrka i pokręciła głową.

Pietrek, dotknięty tem, zawołał:

— Cóż pani tak kręcisz głową? Myślisz, że nie będę księdzem, a może i biskupem?

Ale wdowa, nie ujmując nic przyszłym jego godnościom, widziała w nim narazie małego żaka i wierutnego łobuza. Była jednak miękkiego serca i westchnąwszy, rzekła:

— Niech zostanie tydzień na próbę. Ale, byłliby psotny, pójdzie precz!

I zaprowadziła ich na dziedziniec, a stąd odkrytemi schodkami na poddasze, gdzie otworzyła małą izdebkę, z oknem na dach. Zaraz z pomocą żaków i służebnej zakrzątnęła się koło urządzenia tej izby. Wnieśli tam pryczę drewnianą, potem służebna poszła z żakami napchać siennik słomą. Jeszcze przyniesiono dwa zydle i stołek, mogący służyć za niski stół — i mieszkanie było gotowe.

Dom Agnieszki Kleczewskiej stał przy cichej ulicy, niedaleko od parafjalnej szkoły Wszystkich Świętych. Był to dom taki, jak wszystkie inne mniejsze miejskie domy. W rynku domy były murowane, wysokie, piętrzyły się rzędami okien coraz wyżej, ozdobione były kolorowemi cegłami, rzeźbami, słupkami, framugami rozmaitemi, odrzwiami rzeźbionemi w kamieniu. Ale w uliczkach na uboczu stały domy mniejsze, drewniane, podobne do dworków na wsi, mające ztyłu dziedziniec, przy którym były składy towarów, stajnie, warsztaty. Za dziedzińcem bywał zwykle ogródek.

Żacy odrazu zbadali całe otoczenie, zobaczyli, gdzie jest stajnia gdzie składy, gdzie psy na uwięzi, gdzie piwnica. Gdy tak oglądali wszystko, ujrzeli siedzącego na ganku wysokiego i tęgiego dorodnego młodzieńca, jak się im przyglądał z wielkiem zdziwieniem i niemal przestrachem, ale mimo to nie ruszał się z miejsca.

Pietrek trącił Hieronima:

— Patrz-no, jak się ten nam dziwuje.

— Musi być tutejszy.

— A właśnie raczej obcy, skoro nie wie, żeśmy teraz tutejsi.

I postąpiwszy ku młodzieńcowi, spytał go:

— A co tu robisz, młody panie?

Ten poczerwieniał, chciał odpowiedzieć, ale się zająknął, zaciął i ze srogo zmarszczonemi brwiami krztusił:

— Ty... ty... ty...

Był to syn wdowy Agnieszki z pierwszego małżeństwa, Kasper. Miał on ten błąd przyrodzony, że gdy się rozgniewał, zaczynał się jąkać i nie mógł ani słowa wyrzec, dopóki z gniewu nie ochłonął. Matka, widząc tę jego właściwość od dzieciństwa, sądziła, że gdyby go wiele uczono na pamięć wierszy i przemów, możeby to ten jego błąd jakoś załagodziło. Dała go więc za poradą przyjaciół na naukę do kościoła św. Florjana na Kleparzu. Tam go wyuczono bardzo dobrze służyć do

mszy i śpiewać wszystkie psalmy i hymny, które są w użyciu przy nabożeństwach. Ale niezupełnie mu to pomogło, bo choć w kościele nigdy w niczem się nie zająknął, zato w domu po staremu, ilekroć w gniew wpadł, odrazu słowa mu stawały dęba w gardle i tylko oczyma straszliwie toczył, nic nie mówiąc, krztusząc się i srożąc nadaremnie, aż póki czego kościelnego sobie nie przepowiedział. Teraz też tak było, aż, nie mogąc głosu dobyć, nagle krzyknął:

— Beatus vir, qui timet Dominum! — (co znaczy: błogosławiony mąż, który się boi Boga, jak się zaczyna jeden psalm). To mu zaraz ulżyło i jął łajać:

— Precz mi, kuglarze! Czego tu łazicie? Czego upatrujecie? Precz!

Żacy patrzyli na niego, jak na nadzwyczajne dziwowisko, nie ruszając się z miejsca.

Wtem wybiegła wdowa, jego matka, i zaczęła mu wyjaśniać, że przyjęła tych żaków na mieszkanie, bo izby stoją puste po czeladnikach. On znowu się zaciął tak, że nic powiedzieć nie mógł.

Żacy tymczasem usunęli się z przed ganku, widząc jakiegoś czeladnika, który na nich kiwnął. Słyszał on ich rozprawę z Kasprem, i gdy podeszli, opowiedział im, jaką właściwość miał Kasper, gdy się rozgniewał.

— To dziwadło! — zawołał Pietrek ucieszony. — I cóż, zawsze-li tak psalmy zaczyna, kiedy chce łajać?

— Nie zawsze, czasem i ze mszy sobie co powie.

Pietrek, słysząc to, cieszył się, jakby jaką rzadką zwierzynę ugonił.

Poszli się zapisać i zaczęli chodzić na wykłady. Były wtedy cztery wydziały na uniwersytecie: wydział sztuk i filozofji, czyli artes, prawo, medycyna i teologja. Najpierw trzeba było przesłuchać wydziału artium. Potem zdawało się bakalaureat, i wielu na tem poprzestawało. Inni zaś szli potem na któryś z trzech pozostałych wydziałów.

Na wydziale artium uczono astronomji, matematyki, geometrji, filozofji, łaciny i greki, i objaśniano pisarzy dawnych, łacińskich. Profesorowie tam uczący zwykle byli najubożsi i ledwie nieraz wyżyć mogli. To też radziby wszyscy co rychlej przejść na profesorów teologji. To był wydział najwyższy i najbogatszy. Dochodziło się zaś do niego tylko według dawności służby — sami starcy. Ci teologowie rozdzielali między siebie tłuste beneficja, które posiadał uniwersytet, do nich należały dochody kapituły św. Florjana na Kleparzu. Należeli oni do kollegjum, zwanego większem, collegium maius, od czego i nazywali się kolegami większymi — collegae maiores. Ubodzy profesorowie kollegjum mniejszego, koledzy mniejsi, czasem dostawali się na uroczyste obiady kollegjum większego. Wtedy sadzano ich na ostatniem miejscu; ale oni i tak umieli cenić zaszczyt, który ich spotkał, a zresztą

wiedzieli, że kiedyś i oni przejdą na owe pierwsze miejsca, gdy ci, co na nich teraz siedzą — umrą.

Wydział prawny i kollegjum prawnicze, czyli iuridicum, znajdowało się na Grodzkiej ulicy, tam gdzie dzisiaj jest stary budynek, zawsze jeszcze tak zwany, choć już nie prawo w nim się mieści.

Medycyna zwykle słabo stała. Wykłady jej odbywały się w różnych salach kollegjum większego.

Trzej żacy, zapisawszy się, oczywiście chodzili na wykłady najniższe. Ale Hieronim wnet się przekonał, że niedość umie łaciny, i przeniósł się do parafjalnej szkoły Wszystkich Świętych. Znał ją, bo tu Stach mieszkał w bursie, a także chodził tu mały Jerzy z Pienian, który ich pierwszy w Krakowie prowadził przez miasto.

Rektorem tej szkoły był kantor przy kościele WW. Świętych.— Krótko on trzymał swoich uczniów, którzy go przezywali Łyskiem z powodu łysiny, ale bali się, bo był pochopny do kija.

W izbie szkolnej, natłoczonej żakami, ciasno siedzącymi na długich ławach, przechadzał się Łysek, groźnie spoglądający, z giętkim kijem w ręku. Żacy obkuwali przepisy Katonowe, pouczające ich o przeróżnych obowiązkach, cnotach i przygodach życia. Trzeba było umieć Katona moralne zdania na wyrywki, po łacinie. Aby to lepiej uczniowie rozumieli, dodali mądrzy magistrzy i polskie krótkie wiersze, które także trzeba było znać na pamięć.

— Pax, djabłęta, pax! — powtarzał grubym basem magister, chodząc tam i z powrotem, gdy jeden uczeń recytował zdania Katona.

— Ej, ty Maćku z Szydłowca! — wołał nagle — cicho siedź, a nie mów nic!

Ten Maciek był to rosły i wielki chłopak, burzliwy i niespokojny.

— Szydłowita, powiedz dalej! — rozkazał Łysek, widząc, że Maciek się kręci, i dla przykładu dosięgnął go laską przez innych.

Nuż Maciek mruczeć bez wytchnienia:

— Mutuum dato, cui des videto — rad pożyczaj tylko człeku dobremu, ale patrz, by nie każdemu. Beneficii accepti memor esto. Ad praetorium stato — bądź wdzięczen daru wziętego, rad stawaj u ratusza sądownego. Utere virtute. Iracundiam tempera — cnoty na każdy czas pożywaj, od wszelkiego się gniewu wstrzymaj! Trocho lude. Aleas fuge— póki młody, cygawę graj, kart, warcabów, kostek niechaj.

Hieronim, przestraszony taką uczonością, spytał swego sąsiada najbliższego, Tomka z Pacanowa, czyli Pacanowity:

— Wszyscy wy to tak dobrze wiedzieć musicie?

— A ino! — burknął Tomek, spojrzawszy nań z pod płowej czupryny. — O! aż dotąd! — i pokazał mu na książeczce.

Ale magister huknął:

— Pacanowita! Praeceptum nobis lege!

A że w izbie jakiś rumor znów się zaczynał, więc mocno zakołatawszy kijem w którąś ławkę, krzyknął groźnie:

— Pax, djablęta!

— Sameś łyse djablę — warknął jakiś żak blisko Hieronima.

Inni śmieli się w kułak. Pacanowita zaś, bąkając, czytał dalsze przepisy z książki:

— Con... vi... vare... raro. Quod... satis est... dormi. A rzadko bądź godownikiem. Co potrzeba tylko sypiaj.

— Bene — rzekł magister. — A patrz w książkę drugi raz.

Książkę ten i ów miał, ale nie wszyscy.

Magister mówił:

— Co się wykłada: bankietów nie czyń, nie szalej. Co grosz masz, to go odłóż, zamiast u przekupki na rynku pierniki kupować.

Tak lekcja szła dalej. Katon była to książka, od której się zaczynała nauka w wiekach średnich i na początku nowszych. Wszyscy chłopcy całej Europy: od Anglji, przez Francję, Hiszpanję, Włochy, Niemcy aż do Polski, na której się Europa kończyła, uczyli się z tego Katona. Wydawano go od czasu wynalezienia druku niezliczoną ilość razy w całej cywilizowanej Europie.

— Vino te tempera! — wołał mistrz. — Jakobyś rzekł: nie bądź pijanicą! W pijaństwie jest studnica wszelkiego złego.

A żacy powtarzali:

— Słowo z przysięgi chowaj, a wina miernie pijaj.

Hieronim wytrwale wkładał się w nauki. Jedna geometrja i śpiew nie były zbyt nudne. Resztą mierziła go nieznośnie. Było mu duszno, trudno, ciasno. Nie wiedział, co mu tak dolegało: wszystko. Ale co miał począć? Było w tem jednakże coś, co go trzymało. Sam nie zakosztował jeszcze prawdziwej, pięknej nauki, ale wokół niego latały w powietrzu, jak puchy wiosenne, jej światła, jej echa. Ciągnęło go i trzymało to życie miejskie, tak żywe, tak barwne, tak odmienne od wszystkiego, w czem żył dotąd. Jakoś mimowoli przypominały mu się dawne lekcje wędrownego bakałarza. Wprędce umiał Katona, i to tak dobrze, jak najlepsi z jego kolegów.

Sprawa z Kasprem.

Samuel, gdy się dowiedział, że Hieronim wpisał się, ucieszył się i żaraz począł nalegać, aby się rektorowi akademji poskarżył na owych pachołków, iż go ranili. Ale Hieronim obruszył się:

— Już mi się prawie zgoiło! Com to, baba?... Żebym się o taką rzecz żałował, zamiast tych zbójów pobić?

— Tak się nie robi — przekładał mu Samuel — prawo od tego jest, aby ich pokarało.

Szli ulicą, i Hieronim rozglądał się po tem, co się działo, zamiast odpowiadać. Wkońcu rzekł:

— Pieniać się nie lubię. I skarżyć się nie lubię.

— Nie znasz prawa! — zawołał Samuel. — Żebyś wiedział, jakie ono jest sprawne, a jak każdą rzecz wyrozumieć potrafi i rozeznać, by najwięcej splątaną, takbyś nie mówił.

Wtem zatrzymały się koło nich dwie dziewczyny, mieszczki.

— To ty, Samuelu! Nigdy nie przychodzisz! — zawołała młodsza, biorąc Samuela za rękę i śmiejąc się. Była wzrostu tego niemal, co Samuel, wyższa od Hieronima.

— A, Bietka... — rzekł Samuel. — Kędy idziesz?

— Do naszego ogrodu na piaskach z Magdzią — odpowiedziała.

Hieronim odwrócił oczy, jak ukłuty. Jak można tak się śmiać ciągle i tak mówić, jakby się śpiewało? Bietka miała oczy bure, bardzo jasne, jak bywa piwo marcowe, i śmiejące się usta, czerwone jak mak. Ale nawet się nie widziało, jak wygląda: tak biegła z niej wesołość, roześmianie, tak jasno było w jej oczach. Hieronim, nie patrząc, słyszał ciągle dzwoniący głos Bietki:

— Przyjdź-że, Samuelu! Nigdy nie przychodzisz!... Jak mi Bóg miły, nie byłeś u nas od Wielkiejnocy. Tylko snać do kiełbas i jaj rad zaglądasz, a jak ich nie masz, to już o nas zapomniałeś. Przyjdziesz?

— Czasu miałem mało — tłumaczył się Samuel zakłopotany.

— Ale teraz przyjdziesz?

— Przyjdę...

— No! — zawołała Bietka. — Nie zapomnij! Bo jakbyś zapomniał, to cię na oczy widzieć nie chcę. Pójdź, Magdziu.

I obie ze służebną poszły żywo dalej.

— To Bieata, córka medyka — rzekł Samuel, jakby się tłumacząc przed Hieronimem. — Ci, co żebrzą, wiedzą, jak miłosiernego serca są w ich domu. Ona sama zwykle daje.

— Jak ma! — mruknął Hieronim niechętnie.

Potem spytał, rozpogodziwszy się:

— Skąd ty znasz tego medyka?

— Leczył mię — odrzekł Samuel. — Tedy skarżyć na pachołków nie chcesz?

— Nie! Już mi daruj.

— Jać nie mam co darowywać! — zawołał Samuel — nawet czyście to, i podoba mi się, że się skarżyć nie chcesz. Tego mi jeno żal, że takąbyśmy raz dobrą mieli sprawę przeciwko tym pachołkom Czarnkowskiego. No, ale ich jeszcze kiedy przyciśniem!

Hieronim nie przypuszczał wtedy, jak prędko będzie miał sprawę przed rektorskim sądem, i jakie ważne zmiany pociągnie ona za sobą. Zaczęło się od figlów, ale skończyło nie na zabawie.

Mianowicie Pietrek, odkąd dowiedział się o dziwnem przyrodzeniu Kaspra, syna wdowy Agnieszki, nie miał chwili spokoju w domu i poza domem.

O Kasprze tylko ciągle przemyśliwał, dziwował mu się, ustawicznie nad nim medytował; tak jakby w nim się na śmierć i życie rozmiłował. Najwięcej w tem było ciekawości: coby Kasper zrobił, gdyby go przestraszyć? Jaki psalm-by wtedy mówił? A gdyby rozsrożony, nic nie wykrztusił, udławiłby się, czy nie?

Tak Pietrek rozmyślał, i aż go piekło, żeby popróbować jakiej sztuczki z Kasprem. Tak go pilnie doglądał, tak za nim wysyłał swój

słuch po całym domu, że wiedział wkońcu wszystko i znał każde Kasprowe stąpnięcie, wszystkie zwyczaje.

Otóż Kasper lubił dobrze zjeść i dobrze wypić. To go czyniło ciężkim i małomównym, że w domu to wszystko miał. Bo inna jest rzecz biesiadować z przyjaciółmi, przy stole ozdobnie nakrytym, różami zlekka zarzuconym, wiodąc rozmowę, owe dysputy długie i nadewszystko miłe, uczone a dowcipne, dobrej myśli zarówno jak mądrości pełne — a co innego, w kącie siadłszy, od innych plecami się zastawić i dobroci jedzenia i picia doświadczać, grubo i łapczywie, jak wilk albo pies, który co porwawszy, najpierw w kąt niesie, gdzie się ukrywszy, dopiero to zjada. Tak i pan Kasper za nic sobie miał ludzką rozmowę i ozdobność jej, a daleko więcej smakował w winie i mięsie, w miodzie, piernikach i orzechach, gdy go nikt nie widział przy tem zajęciu, i nikt, ani nawet spojrzeniem, mu nie przeszkadzał. Lubił bowiem wygodę i nieruchomość na miękkiem siedzeniu.

Pewnej niedzieli, wnet jakoś po przybyciu żaków do wdowiego domu, pani Agnieszka, pięknie ustrojona, ze swemi dziewczętami służebnemi i z czeladzią, wybierała się do kościoła i namawiała syna, by wyszedł razem z nimi. Ale on się ociągał, gderał, poziewał — mówił, że przyjdzie później, zaraz, tylko się przystojniej ubierze, a tymczasem prosił, by nań dłużej nie czekano i by sami szli.

Pietrek słuchał tego wszystkiego ze swego okienka. Widział, jak wszyscy poszli, a Kasper został. Przyczaił się nieruchomo, słuchając co będzie robił Kasper na dole. Słyszał, jak chodził leniwie po izbach, włócząc ociężale nogami. Potem stanął: coś zachrobotało, coś stuknęło.

Ciekawość nie dała Pietrkowi ustać: cicho i lekko zbiegł na dół i wśliznął się do ciemnej sieni, jak kot, który słyszy myszy. Tu daleko więcej słyszał, a przez drzwi otwarte do izby widział także choć część szaf i ławek i róg stołu.

Ujrzał po małej chwili, jak Kasper przyniósł sobie talerz, na nim pół pieczonego kapłona. Poszedł i znów przyniósł zielonej sałaty i białego chleba. Wszystko to ustawiał na stole i Pietrek widział to dobrze. Poszedł jeszcze i przyniósł szklankę rzniętą wielką i cynowy dzbanek od wina. Ale zajrzał do dzbana i skrzywił się szkaradnie: widać mało znajdował w nim wina.

— Ba, ba! — zamruczał, i obejrzał się za kluczem do piwnicy. Nie był wymowny, ale Pietrek w lot zrozumiał, co Kasper czynić zamierza, i uradował się, przeczuwając jakąś dobrą sposobność do psoty, nad którą tak sobie już głowę suszył.

Jakoż wnet Kasper z kluczem w ręku i z dzbankiem wszedł do sieni i skierował się prosto do klapy z desek, zakrywającej wejście do piwnicy. Postawił dzbanek, otworzył kłódkę, podniósł klapę i zlazł na dół schodkami, zabierając ze sobą dzban.

Macał coś w piwnicy i stąpał po piasku: wreszcie natknąwszy się na beczkę, której szukał, zaczął postękiwać i ciężko sapać, widać nie mógł jakoś sobie z nią dać rady.

— A nuż mnie zawoła do pomocy? — pomyślał Pietrek, i głośno odkaszlnąwszy: hem! hem! z hałasem niby wszedł do sieni.

— A kto tam? — zawołał Kasper z piwnicy.

— To ja, Pietrek student.

— Pójdź jeno tu! — odrzekł Kasper zdyszany — bo nijak tej baryłce nie mogę poradzić. Niech ją licho — stęknął.

Pietrek do końca nie dosłuchał i już był na dole. W lot obejrzał niską piwnicę: miała jedno malutkie okienko od dziedzińca, z którego szło skąpe światło, rozłożone blademi pasmami na wilgotnych ścianach i na czarnych baryłach, ułożonych jedna na drugiej pod ścianą.

— Pójdź-no — powiedział Kasper, nachylony nad wielką baryłką— zajdź mi z prawej strony i weź dzbanek.

Baryłka ta, wielka i ciężka, stała sama jedna w ciemnym kącie, a Kasper chciał ją położyć, by natoczyć z niej wina.

Dziurę do toczenia miała w denku, Kasper już wyjął czop i założył inny, w którym tkwiła drewniana rurka do spuszczania wina. Ale sam nie mógł położyć beczki, bo jednocześnie trzeba było trzymać dzbanek pod rurką, by wino nie płynęło w piasek.

— Trzymaj dzban pod rurą, a ja ją położę — rozkazał.

Pietrek zręcznie podstawił dzbanek i w miarę jak Kasper kładł beczkę, on obniżał dzbanek, do którego wnet zaczęło ciurkiem płynąć ciemne i pachnące wino.

Słodko westchnąwszy, gdy już beczka leżała, Kasper przyszedł zastąpić Pietrka przy trzymaniu dzbana. Pietrek odsunął się i czekał. Już mu błysnęła myśl, co ma zrobić.

— Dosyć — powiedział wkońcu Kasper, utoczywszy pełny dzbanek, i zamykając wielkim palcem otwór rurki — weź dzbanek i odstaw, żebyśmy go nie przewrócili.

Pietrek wziął dzbanek, zaniósł w drugi kąt i postawił tam na jakiejś beczce.

— Teraz pójdź tu, podniesiemy ją.

— A sam nie podniesiesz? — spytał Pietrek.

— Jakże podniosę, kiedy ręki odjąć nie mogę, żeby wino nie szło— popędliwie odparł Kasper.

Tego tylko trzeba było Pietrkowi.

— A gdzie jest czop? — zawołał nagle.

Czop wcale jeszcze nie był potrzebny, aż jak się beczkę postawi do góry denkiem i można będzie wyjąć rurkę. To też Kasper, jak stał wpół zgięty, trzymając otwór palcem, tak tupnął nogą i krzyknął:

— Nie o czop się kłopocz, wardęgo, jeno chodź dźwigać!

Pietrek, jakby nie rozumiał, kręcił się wkoło, szukając.

— Czop, czop! Gdzie się podział? Gdzieś go położył? Gdzie to czop?

Tu już Kasper nie mógł wytrzymać, a jeszcze krew mu do głowy napływała, bo był schylony prawie do ziemi.

— Pójdziesz tu? — krzyknął — wartko!

Pietrek odskoczył:

— Czopa niema! Jakże bez czopa? Czop! Czop!

Kasper tupnął nogą i już oniemiał. Otworzył usta i krztusił:

— Ty, www...

— Jej, jej! — krzyknął Pietrek niby przerażony, i wyskoczył do sieni po schodkach, wołając: dusi się! dusi się!

Nikogo nie było, i wiedział, że nikt tak się odrazu nie zjawi. Ucichł i słuchał, a Kasper sapał i krztusił się w piwnicy, aż odezwał się:

— Confitebor tibi Domine in toto corde meo.—Czekaj, piekielniku, jak cię złowię!

Pietrek dusił się ze śmiechu.

— Laetabor et exultabo in te—ze skóry obłupię!

Wtem drzwi od ulicy skrzypnęły, Pietrek wionął za pakę, która stała w sieni i skrył się.

Wróciła gospodyni z kościoła sama jedna. Zdziwiła się, że niema syna, a wszystko otwarte stoi, ale aż się przestraszyła, ujrzawszy przygotowane jedzenie na stole.

— Nic innego, jeno nieszczęście!—zawołała.

Zajrzawszy do izb, że syna nigdzie niema, wybiegła do sieni i na dziedziniec, wołając:

— Kaspruś! Kaspruś!

Kasper tymczasem w ostatniej złości silił się coś krzyknąć, ale nic nie mógł, aż nagle zaśpiewał z piwnicy:

— Miserere mei Domine!...

Wdowa, przestraszona tym grobowym głosem i nie mogąc poznać skąd szedł, wbiegła do sieni.

— Pójdź, matko, do wina! — zawołał Kasper, i zaklął, póki mu tchu starczyło.

Tu już poznała, że głos idzie z piwnicy i spostrzegła, że klapa jest otwarta. Ale bała się zejść, bo była w swoich świątecznych strojach, więc tylko zaglądała z góry i pytała:

— Cóż tam, że nie wychodzisz? Co się stało?

Kasper chrapał i sapał, nic nie odpowiadając, aż matka, gdy się jej oczy oswoiły z mrokiem i zrozumiała, że syn dobrał się do najlepszego wina, krzyknęła:

— Ty szkodniku, gorzej wilka! Tom poto to wina za drogie pieniądze kupowała, poto go oszczędzała, na twoje własne wesele! Czekaj, pijanico bezbożny, czekaj łakomcze!...

— Et cum spiritu tuo — amen! — nagle ryknął jej Kasper, ciągle zgięty. — Puszczę palec, to wszystko wino w piasek pójdzie!

Tymczasem nadeszły dziewczęta, i wdowa posłała je, by pomogły Kasprowi w piwnicy, a sama poszła się przebrać.

Ledwie dziewczęta zeszły, Kasper je tam zostawił przy winie, a sam, choć był ociężały, w dwóch skokach wpadł do sieni, i prosto do Pietrka.

Pietrek nie spodziewał się tego — krzyknął z przestrachu i jak mysz przed kotem rzucił się do izby, bo tam mu było najporęczniej. Kasper za nim, Pietrek za stół — Kasper zamachnął się, zrzucił co stało na stole. Z brzękiem, szczękiem posypało się to po podłodze. Pietrek, bacznie zważając na każdy ruch Kaspra, jak w tańcu, myślał, jakby tu się dostać ku drzwiom, żeby wypaść na ulicę, nim czeladź nadejdzie. Buchnął nagle pod bok Kasprowi, ten rzucił się, chwycił za szafkę, gdzie stały różne naczynia szklane i krzyształowe, i padł jak długi na ziemię, a szafka na niego z brzękiem nieszczęśliwych szkieł, tłukących się w drobne skorupki. Na to weszła wdowa. Pietrek mignął koło niej, jak zając, i wypadł na ulicę. Ona załamała ręce i zaszlochała, widząc swoje szkła potłuczone.

Kasper, tu i owdzie skaleczony szkłami, ryczał, jak tur, ze wściekłości, wdowa płakała, i tak ich zastały dziewczęta i czeladź. Dostało się każdemu, ale wśród gniewu, łajania, odgróżek i płaczu wreszcie przerosła wszystko wściekłość na Pietrka i na Hieronima, na wszystkich żaków.

Tymczasem Hieronim o niczem nie wiedział, bo wedle obowiązku był na nabożeństwie w kościele WW. Świętych.

Kiedy wracał z kościoła do domu, zboczył ze zwykłej drogi i rozminął się w ten sposób z Pietrkiem, który chciał go uprzedzić o zaszłej zmianie stosunków. Wszedł więc Hieronim do sieni i spokojnie zmierzał na dziedziniec, by iść do swojej izdebki. Wtem wypadł Kasper z izby bocznej, czerwony jak rak, pokrwawiony i rzucił się ku Hieronimowi. Za nim wdowa z krzykiem i płaczem, i dziewczęta także płaczące.

Hieronim uskoczył przed Kasprem w kąt. Nie rozumiał o co, ale widział, że będzie bójka. Chwycił jakiś drążek, jakąś baryłkę i pchnął ją od ściany w nogi Kasprowi. Kasper już go łupnął pięścią, wtem baryłka potoczyła mu się pod nogi, potknął się i, przewracając się po niej, jakby żywa była i niosła go na sobie, padł opodal.

Wdowa tymczasem krzyczała:

— Jużcim mówiła, że mi ten zbój szkody narobi! Pójdź a obacz szklenice, co mi potłukł! Syna mi uranił!

Hieronim, nic nie rozumiejąc, zastawił się drągiem, jak mieczem, a Kasper już się porwał i biegł ku niemu.

— Oszaleliście wszyscy, czy co? — zawołał Hieronim. — Cóżem wam uczynił?

— A ty, Kasprze, wzdzierż się ode mnie, bo i ja bić umiem!

Ale Kasper popędził do izby i wrócił z mieczem. Wrzasnęły dziewczęta, widząc, że to nie przelewki, a nawet gospodyni, na chwilę zapomniawszy o swoich potłuczonych cudnych szkłach, wyciągnąwszy ręce, zaczęła krzyczeć na niego, by dał pokój, że to gardłem zapłaci i t. d.

Kasper jednak, rozjuszony, nic nie zważał i szarpał się między matką a dziewczętami, by go puściły. Skoczył do Hieronima: Hieronim sprawnie, nie tracąc głowy, podbił mu wzniesiony miecz swoim drągiem. Miecz dźwięknął i poleciał w kąt, a Kasper, z rękami rzucił się naprzód. Hieronim, nie żałując, walnął go drągiem raz i drugi, Kasper go mimo to dopadł, obaj padli na ziemię. Skłębili się, i któryś charczał. Wdowa poznała, że to Hieronim, który był młodszy i mniejszy od Kaspra, dostał się więc pod spód, i Kasper go dusił. Przestraszona chciała ich rozerwać, dziewki także rzuciły się na ratunek, ale to nie pomagało.

Niewiadomo na czem-by się to skończyło, gdy wtem drzwi od ulicy pchnięto i wpadło kilkunastu żaków. To Pietrek, dowiedziawszy się od scholarzy, rozchodzących się z kościoła, że Hieronim już poszedł do domu, odrazu pojął, co stąd wyniknie, i wprędce wyjaśniwszy im sprawę, pobiegł wraz z nimi na odsiecz. Gdy wbiegli do sieni, natychmiast zobaczyli, że się wcale nie omylili.

Hieronim zduszony, któremu Kasper tłukł głowę o ziemię, nagle uczuł, że odrywają od niego ciężar ciała Kasprowego, a jego samego podnoszą, stawiają. Poznał towarzyszy i przyjaciół: Pietrka, Stacha, Tomka Pacanowitę, Maćka Szydłowitę, małego Jerzego z Pienian, i innych. Teraz nastąpił szybki odwrót; Kasper, dziewczęta i wdowa schronili się do izby, a wdowa krzyczała:

— Na sąd, na sąd was podam, szkodniki, zbóje!

Żacy wygrażali, zabierając z sobą Hieronima i Pietrka:

— Babo piekielna, zobaczysz, co ci nasz rektor uczyni! Do wieży pójdzie twój synek!

Teraz Hieronim i Pietrek znaleźli się bez mieszkania i bez rzeczy, bo wszystkie wdowa zatrzymała, niby to za szkodę, odniesioną w szkle i innych sprzętach.

Sprawa rozniosła się po studentach, i Samuel zaprosił obu bezdomnych do siebie na mieszkanie. Mieszkał on u bardzo bogatego mieszczanina, Stanisława Waata, miał izbę na piętrze, gdzie sypiał razem z synem kupca, Andrzejem. Teraz na miejscu Andrzeja mieli tam sypiać obaj żacy. Samuel był rozgorączkowany, oburzony, lecz ucieszony procesem. Obmyślał obronę i wynajdywał terminy prawne coraz to nowe i nowe.

Żaden uczeń krakowskich szkół, od najstarszego studenta począwszy, a na najmniejszym żaczku skończywszy, od akademji aż do najniższych szkółek, nie mógł być nigdy skarżony przed innym sądem, ani gdzie indziej sądzony, niż w sądzie rektora akademji. Był to jeden z wielu przywilejów, nadanych uniwersytetowi przez królów. Miał on wielką wagę i bardzo był korzystny dla scholarzy, sprawy ich wszystkie bowiem, dzięki temu sądownictwu, załatwiały się bardzo szybko, a powtóre w powadze rektorskiej mieli żacy obronę przed wrogami i napastnikami. Wdowa wniosła więc swoją skargę na żaków do rektora.

Po kilku dniach nadszedł termin, ustanowiony przez rektora na sprawę Agnieszki Kleczewskiej, wdowy, i syna jej, Kaspra Bimana, przeciwko żakom: Hieronimowi i Piotrowi, o potłuczenie szkieł i bijatykę w domu.

Stanęły obie strony, zasiadł rektor i dwu doktorów, obok nich za stołem sapienta, najgroźniej wyglądający ze wszystkich.

Kasper i wdowa, odziani bogato, sukienno, fałdzisto, ich domownicy liczni, także nie ułamki, wszyscy razem tworzyli poczet okazały.

Z drugiej strony gromada żaków: nędznie to poubierane, wytarte, wyświechtane, ale twarze zuchowate i oczy błyskające, uśmiechy latające od jednych do drugich na znak porozumienia, jakaś dziarskość i wesołość wspólna.

Rektor, wszedłszy, odsunął nogą krzesło swoje od stołu, siadł, poprawił swój biret kanciasty, coś zamruczał do jednego z doktorów i przez nos wygłosił zwykłą formułkę, obiecując sprawiedliwość każdemu. Następnie wezwał skarżących, by powiedzieli, o co im idzie.

— Idzie nam o potłuczone kubki, szklenice, dzbanki i szybki — odpowiedziała strona skarżąca.

— Jak się to stało? — spytał rektor.

— Żak Pietrek skakał koło stołu w izbie i pchnął Kaspra Bimana na szafkę ze szkłem—odpowiedziała strona.

— Kłamie! — krzyknął Pietrek.

— Cicho siedź! — upomniał go sapienta piorunująco.

— Dlaczego żak Pietrek biegał po izbie?—spytał sąd.

— Bo bił się z Kasprem Bimanem.

— Dlaczego bił się z Kasprem Bimanem?

— Bo z niego szydził... Bo zostawił Kaspra, trzymającego wino, żeby nie ciekło, w piwnicy, a sam uciekł na górę i naśmiewał się...

Pietrek mimowoli uśmiechnął się na to przyjemne wspomnienie i krzyknął rozjaśniony:

— Łże, jak pies! Nie szydziłem, nie mówiłem nic!

— Cicho, taceas! — rozkazał sapienta groźnie.

Tak szło dalej przepytywanie.

Hieronima odrazu uwolniono od wszelkiej winy i kazano wdowie zwrócić mu rzeczy jego i pieniądze, które zapłacił za mieszkanie. Z winą Pietrka rzecz się gmatwała. Z jednej strony Pietrkowe opowiadanie było tak niewinne i wesołe, że sapienta nawet, aby się nie śmiać, musiał się wykrzywiać i gryźć swoje gęsie pióro, którem wpisywał wyroki rektora do księgi. Z drugiej strony sąd podejrzewał, że nie tak to przyjemnie musiało wyglądać w rzeczywistości, więc wypytywał stronę skarżącą. Ale na to Agnieszka wyliczała swoje potłuczone kubki, a Kasper odpowiadał, jak przez rękawiczki jedwabne, wiotko i niepewnie, bo nie chciał się rozwodzić nad swą wadą w mowie.

Koniec końców i Pietrka uwolniono, choć nie tak bez namysłu, jak Hieronima.

Sąd się skończył, sapienta wciągnął wyrok w księgę, wszyscy się rozeszli. Hieronim, odebrawszy swoje rzeczy od wdowy, musiał pomyśleć o znalezieniu nowego mieszkania. Ale tak mu już zbrzydło mieszkanie na mieście, że chętnie poszedł za namową Stacha, do bursy, i po krótkiej rozmowie z seniorem Konarzewskim, został tam przyjęty na mieszkanie. Pietrka narazie nie chciano. Senior był mazurem i nie lubił, aby się wyśmiewano z jego rodaków. Ale gdy Hieronim ofiarował się zgóry zapłacić za mieszkanie, a miejsce się znalazło, przyjęto i Pietrka.

Bursa Wszystkich Świętych.

Była to jedna z mniejszych i uboższych burs. Na dole były izby szkolne i refektarz. Piętro zajmowały ciasne cele, gdzie spali bursarze, znajdowało się tam też mieszkanie seniora. Kantor, rektor szkoły, zwany Łyskiem, mieszkał na dole.

Wedle wielkości cel, spało w nich po dwu, albo więcej bursarzy. Hieronim dostał się za towarzysza Tomkowi Pacanowicie.

Większość bursarzy żywiła się jedzeniem, wyżebranem na mieście. Hieronim niespodzianie musiał także uciec się do tego sposobu. Sam nie wiedział, jak i kiedy rozszedł się cały jego majątek. Kupił sobie co prawda to i owo, pożyczył temu i owemu; wydał trochę tu, trochę tam, aż został mu tylko jeden dukat. Tego dukata chował troskliwie na dnie niegdyś pełnej sakiewki. Strzegł się pilnie stracić go: chciał mieć coś od wypadku.

Tymczasem potrzeba było jakoś żyć. Wahał się, ociągał, wkońcu kupił garnuszek, taki jak mieli inni żacy, i postanowił ruszyć z nim na miasto.

Gdy wyszedł pierwszy raz, zaraz poczuł, że nie tak to łatwo pójdzie. Żacy znali wybornie wszystkie kuchnie w swojej parafji; która kuchnia była lepsza, przed tą nieraz wybuchały bitwy, chłopcy czubili się i tłukli.

Gdy któryś pchnął Hieronima, ten cisnął garnek i rzucił się na niego i zbił go porządnie, innych także, którzy wspomagali tamtego. Potem zdyszany podniósł swój garnuszek i odszedł, nie chcąc mieszać się między tych scholarzów, zawistnych, jak psy o kość. Gardził nimi, jadłem i mieszczankami miłosiernemi. Szedł na chybił trafił przed siebie, a dusza otrząsała mu się z obrzydzenia i myślał, że gdyby miał skrzydła, to jużby był w zielonym, świeżym lesie sulisławowskim, albo na jasnych łąkach, pełnych rosy, zalanych słońcem. Taka nagła tęsknota, taka nagła potrzeba bycia tam chwyciła go, jakby mu zabrakło tu powietrza, ziemi i słońca.

— Ty?—zawołał nad nim głos znany. — Czemu nie dajesz garnuszka? Pójdźże!

To Bietka rozdzielała jedzenie żakom na progu swego domu. Śmiała się: błysnęły jej usta i oczy w uśmiechu, gdy się nachyliła z progu.

Hieronim poznał ją; nie spojrzawszy nawet, spuścił głowę, udał, że nie słyszy. Zawstydził się tak wobec niej tego, że żebrze, jakby Bietka mogła go rozróżnić wśród żaków. Prawie jej nienawidził w tej chwili. Przeszedł, nie zatrzymując się. Mijał jakieś uliczki. Wreszcie rozejrzał się: był pod murem miejskim. Nieopodal w bocznej ulicy ujrzał wysoki mur klasztorny i kilku żaków przed klasztorną furtą, którym braciszek bernardyn rozlewał krupnik w garnuszki. Przyszedł niepewny czy dostanie. Braciszek wlał mu resztę, spojrzał.

— Nowyś? — rzekł.

Hieronim skinął głową.

— Módl się za klasztor i za wiarę świętą—rzekł mu braciszek.

— Lepsze to, niż te miejskie domy—pomyślał Hieronim.

Chodził więc stale przed klasztor. Czasem braciszek, rozdający krupnik, wdawał się w dłuższą rozmowę.

— A tyś skąd? — pytał tego, owego.

Gdy odpowiadali: ze Skierniewic, z Sieradza, z Żelechowa, z Radomia, mruczał:

— O, daleko! daleko!

Ale gdy Hieronim mu powiedział, że jest z pod Opatowa, braciszkowi zaśmiały się oczy:

— A ja ze Szkalmierza!—zawołał.—Tyś nowy, niedawnoś tu przyszedł... czy na Szkalmierz szedłeś?

— Minęliśmy Szkalmierz, zda mi się — rzekł Hieronim.—Z Działoszyc jakoś prostośmy wyjechali na Proszowice.

— Działoszyce!—zawołał braciszek—znam! znam! A urodzaje tam jakie? A droga jaka? Pomorku, na psa urok, na bydło nie było?

Hieronim odpowiadał, jak się dało. Braciszek go nie słuchał, nie zważał, patrzył na niego, jakby w nim coś jeszcze było ze szkalmierskich łąk i pagórków, uśmiechając się do tego, co widział w dalekości pamięcią. Potem odchodził i zamykając furtę, wzdychał:

— O ty, świecie, świecie!

Kiedy indziej był rozgorzały.

— Królestwo antychrysta nadchodzi!—mówił.—Znaki gniewu Pańskiego się ukazują: czartowskie, heretyckie księgi sprowadzają, czytają i w kościele bożym zamieszanie piekielne chcą wzniecić. Dbajcie o swą duszę, nie czytajcie ksiąg przeklętych, które za poradą piekła pisze doktór Luterus w Niemczech. Przynieście nam, jeśli wpadną w wasze ręce. Chrześcijanin dobry musi być jako żołnierz do walki gotowy pod komendą Pana Boga, jako jest powiedziane:

Słuchaj tego wszelka głowo,
Napisz to w swem sercu słowo,
Pełnij Boże przykazanie,
Byś nie wszedł w piekielne łkanie.

— Będzie tam płacz i zgrzytanie zębów wieczyste. Ale wy brońcie kościoła bożego!

Żacy słuchali strwożeni i nic nie rozumiejąc, ale pełni gorliwości.

Po skończonych lekcjach, które trwały od 10-ej rano aż do wieczora, zaczynało się istne piekło w bursie. Każdy chciał wytrząsnąć, wykrzyczeć z siebie nadmiar żywości i siły, nagromadzony przez cały czas, gdy magistrowie trzymali swych uczniów na uwięzi, jak w kleszczach. Zaczynały się gonitwy po kurytarzach, bitwy w izbach. Tumany kurzu porywały się zewsząd, wapno sypało się ze ścian. Uszy o mało nie pękały od wrzasku.

Senior Konarzewski był cierpliwy i przyzwyczajony do takiego biegu rzeczy. Od małego żaczka wzrósł w bursie i nigdy jej nie opuszczał. Krzyczał, by zaprzestano bójek, upędzania się, ale robił to machinalnie, myśląc o czem innem.

Teraz, kiedy nastała wiosna, żacy nie mogli wytrzymać w ciasnych ścianach. Zaraz na dole był zielony cmentarz, tylko w mniejszej części zajęty pod groby, przy samym kościele. Większa część, porosła gęstą trawą, a pod płotem pokrzywami i łopuchami, była jakby stworzona do zabawy dla żaków, uwięzionych w dusznej bursie. Senior pozwalał często gęsto wybiegać tam scholarzom pod wieczór. Jak psy, wypuszczone z długiego zamknięcia, upędzali się żacy bez zmęczenia, bez chwili wypoczynku, po murawie, z wrzawą niesłychaną. Wszystko byłoby dobrze, gdyby na tę ich zabawę nie patrzył krzywo najbliższy sąsiad, proboszcz Wszystkich Świętych, kanonik Czarnkowski.

Był to pan bardzo bogaty i uczony. W domu jego, stojącym przy kościele i cmentarzu Wszystkich Świętych, pełno było najdziwniejszych wyrobów, najpiękniejszych sprzętów, makat, opon jedwabnych, futer najdroższych. Nie dlatego, by się w nich kochał, tylko, że nie rozumiał życia bez zbytku i wykwintności, nawet nie zajmował się całem bogactwem, nagromadzonem w swoim domu, zdając to na służbę, której miał mnóstwo. Sam lubił odwiedzać przyjaciół, a w domu czytać dzieła Seneki, Plauta i innych, których miał piękną kolekcję.

Raził go tedy wrzask straszliwy, który czynili żacy, upędzając się po cmentarzu. Ponieważ jednak w niezłych był stosunkach z dobrodziejem bursy, księdzem Bartłomiejem z królewskiego mostu, przezwanym Sabinką, profesorem w Collegium majus i kanonikiem kapituły św. Florjana na Kleparzu, przeto nie chciał użyć swej władzy proboszczowskiej i zakazać wprost młodemu seniorowi, by nie puszczał żaków na cmentarz. Za to,

ilekroć wrzawa stawała mu się zbyt nieznośną, posyłał pachołka, by się żacy uciszyli.

Stąd poszła wielka nienawiść wzajemna żaków i pachołków proboszcza. Ale żacy zagarniali w nią i księdza Czarnkowskiego. On to, jak mniemali, prześladował ich, z jego łaski nie mieli oni swobodnej chwili wśród zabawy. On to przez usta zuchwałych swych pachołków powiedział żakom, iż lepiejby było, by nigdy nosa z bursy nie wystawiali. To też zdziwiłby się kanonik niepomału, gdyby mógł zmierzyć nienawiść, którą pałał ku niemu scholarski naród w bursie.

Jedynie, gdy kanonika nie było w domu, nic nie mąciło dobrej myśli scholarzy.

W niedzielę cała bursa Wszystkich Świętych i wszyscy żacy z tej szkoły musieli śpiewać w swoim kościele. Hieronim śpiewał wraz z nimi. Słońce skośnemi smugami wpadało w niebieskie powietrze kościoła, w którem uwijały się tysiące pyłków i płynął dym kadzideł. Organy grzmiały, potem podnosił się chór scholarzy, uroczysty, wzbijał się głosem wysoko wyciągniętym aż hen ponad nawę, zdawało się i ponad sklepienie. W chwilach ciszy, gdy ksiądz śpiewał swoje słowa przed ołtarzem, płonącym świecami, słychać było, jak za oknami prześcigają się krzyki jaskółek, i zdaleka, jak dzwonią dzwony innych kościołów w mieście.

Czasem i w środku tygodnia trafiało się jakie dobre nabożeństwo, które przerywało nauki, pogrzeb jakiego dobrodzieja parafji, albo jakie wesele uroczyste.

Zanim Hieronim przywykł do ciasnego życia w bursie, żałując, po niewczasie, straconych pieniędzy, chciał dowiedzieć się, gdzie jest Andrzej. Wspomniał mistrza Pawła i wybrał się do niego pewnego dnia. Coś mu się zdawało, że może i lepiej porzucić nauki i wracać do Andrzeja.

Mistrz Paweł w oficynie.

Hieronim wszedł do niewysokiej, sklepionej izby i rozejrzał się. Było w niej ciemnawo, choć na dworze słońce zalewało ulice krakowskie. Okna małe w grubych murach wpuszczały światło, przesycone niebieskim cieniem.

Izba była długa, wąska, wszędzie leżały grube zwoje papieru szarawego, stały paki, skrzynie, beczułki. Na stole dębowym, zrobionym z prostych desek na skrzyżowanych nogach, leżał rozłożony regestr. Przed nim kałamarz i duże pióro gęsie, poplamione na chorągiewce czarnemi plamami. Ale nie było nikogo.

— Może to nie tu? — pomyślał Hieronim, cofając się ku drzwiom, któremi wszedł.

Zamierzał wyjść, gdy z drugiej izby ktoś zawołał:

— A kto tam?

— Do mistrza Pawła!—odpowiedział Hieronim, zatrzymując się.

Wszedł czeladnik, przepasany fartuchem, obrzucił okiem gościa, i nie przystając, poszedł dalej, każąc mu iść za sobą.

Przeszli na drugą stronę sieni i weszli do frontowej izby, gdzie Mikołaj bibljopola, to jest księgarz, sprzedawał swoje księgi. Czeladnik wpuścił Hieronima, sam odszedł.

— Co tam? — spytał rozrosły i wysoki mąż, obracając się ku drzwiom do sieni.

To nie był mistrz Paweł. Miał ryżą brodę, rumianą twarz, wysokie czoło, bujne ciemne włosy i wielkie oczy czarne, bystre, chmurne i uważne.

— Do mistrza Pawła — rzekł Hieronim znowu.

— Pawle! — zawołał gospodarz ku drzwiom w głębi, prowadzącym do tylnej izby.

Wszedł mistrz Paweł.

— A! — rzekł — to moj gość. Pójdźno, siadaj. Dobrześ trafił, bo dziś ma tu być ktoś, co z Wołoch jedzie.

Potem poszedł do gospodarza, pochylił się na stół i począł mu ciszej opowiadać, snać o swojem spotkaniu z Hieronimem.

Wtem otworzyły się drzwi od ulicy i wszedł mnich, dominikanin, jak widać było po habicie białym i skaplerzu czarnym.

— Co słychać? — spytai bibljopola Mikołaj, witając się z nim. — Siadaj, ojcze Leonardzie.

Dominikanin usiadł, otarł spocone czoło i rzekł:

— Grzeje dobrze! Miły Boże! Jakto zeszłego roku o tej samej porze zimno jeszcze było, plucha. Choć pod śmierć starego króla Zygmunta czas był dziwnie cichy, na Wielkanoc.

Mówiący miał wąską, cienką twarz, bronzową od wieku czy od spalenia słońcem, i smutne oczy siwe, błądzące po świecie i uśmiechające się to ku temu, to ku owemu.

— Dobrzeby wypić chłodnego wina — rzekł bibljopola gościnnie.— Pogwarzym w izbie za sklepem.

Wstał i wyszedł do sieni, aby kazać przynieść wina.

— Na zamku mówią-li co nowego? — spytał mistrz Paweł.

Hieronim nastawił uszy.

— E! — rzekł mnich, niechętnie i pobłażliwie, kiwając ręką — to samo! zawżdy to samo! Źli na króla jegomości wszyscy, ci za to, że żony odrzec się nie chce, owi za listy, co je ziemianom rozesłał po blisko przeszłym sejmie.

— Ba! — rzekł Paweł. — Listy dobre i pięknie napisane. Ponoć to kanclerz?...

Mnich potrząsnął głową.

— Nie wiem — rzekł. — Mądry pan, biskup krakowski — powiedział po chwili. — Tym dwom: biskupowi i kasztelanowi krakowskiemu, wielka łaska i wielka powaga u króla to sprawuje, że u wszystkich w wielkiej nienawiści zostają.

— Tak bywa — rzekł Paweł.

Mikołaj, który wrócił i słuchał, ruszył ramionami. Potem powiedział dobitnie:

— Takiego sejmu, jak ów zeszłoroczny, nie pomną ludzie, aż chyba za dziada królewskiego, Kazimierza. Ani obrony opatrzyli, ani praw żadnych nowych, ani...

— Mało tego! — przerwał mnich, podnosząc swoją chudą ciemną twarz i siwe oczy ku Mikołajowi — ale królewska obraza! Mało, że rady prawią, mało, że żony usunięcia żądają, ale sądów mu bronią! Warunki mu do władzy przepisują. Rzeczpospolitą do dna samego

w zamieszanie i roztarganie podając, a wszystko chciwcy, jeno dla swej ukrytej korzyści a łakomstwa. Psuje się świat! Widziano-li to kiedy, by pan, młody, dobry, we wszystkiem godny, ludzki, sprawiedliwy, taką, od samego wejścia na tron swój własny i swoich przodków, otoczon był nienawiścią pospolitą?

Mnich, widać to było, wpadł na swoją materję ulubioną. Twarz jeszcze mu pociemniała, oczy połyskiwały.

— By wszyscy byli spowiednikami królewskimi, ojcze Leonardzie— rzekł Mikołaj, podnosząc rękę ku ustom i rozsuwając wąsy na dwie strony—tedyby wszyscy mieli ku królowi jegomości twoją chęć wierną.

— Nie wiem — rzekł, śmiejąc się, Paweł, który przysiadł na stole — czyliby tak ich to odmieniło? Tegoby jeno patrzyli, iżby pokutę jaką godną królowi obmyślili: królewszczyzny, starostwa, urzędy, wszystko pod zbawieniem duszy imby musiał pooddawać.

— Może i prawda! — zawołał Mikołaj ucieszony.

Ale zakonnik nachmurzył się, nierad z żartów.

Wtem wniesiono wino i kubki do tylnej izby i ze szczękiem poczęto je tam ustawiać na stole.

Hieronim czekał, czy nie dojdzie rozmowa do rzeczy, które go tyczyły. Tymczasem przyglądał się jak mógł mnichowi, dorozumiawszy się, że to jest królewski spowiednik: że często króla widuje, w konfesjonale go słucha, na zamek doń chodzi. I nie mógł odkryć nic takiego, coby mu tę bliskość dominikanina do króla jawnie ukazało. Mnich, jak mnich, mało ich się widuje wszędzie?

Ale uważał na niego bacznie i z ciekawością.

Teraz wszyscy trzej wstali i przeszli do tylnej izby, za sklepem Hieronim został sam. Rozejrzał się po sklepie, po półkach, na których stało wiele ksiąg, po stole, gdzie leżało parę. Wtem posłyszał zniżony głos Mikołaja, co natychmiast zwróciło całą jego uwagę na rozmowę w tylnej izbie.

Mikołaj, który wszedł ostatni i lekko przywarł drzwi za sobą, zapytał mnicha cicho:

— Jakże, ojcze Leonardzie, twoja praca? Biblję na polski język wykładasz?

— A! — westchnął mnich. — Mój synu, im więcej rozważam, tem zuchwalsze mi się widzi przedsięwzięcie.

Hieronim wytężył uwagę i słuch, bo mówili bardzo cicho.

— Twoja siła mu zdole — odrzekł Mikołaj.

Potem mnich znowu:

— Ciężkości są przez niedostateczność naszego języka, który...

— Co mówisz jegomość!—przerwał Mikołaj z nagłą zapalczywością— Nasz język nie tylko sam sobie bardzo dobrze i we wszystkiem wystarcza, ale i innym mowom rady dawa! Patrzcie owo na ziele, olszenik: tego

gdy Niemiec nazwać nie umiał, wziął od naszej mowy i nazwał olszenich, stądże ich łacińscy mężowie zrobili olszenichum. Albo owo i Włosi, choć łacińskiej mowy dziedzicy są, a przecieć się u słowiańskiej mowy która polskiej jest matką, rady szukać nie wstydają: i gdy pagura nazwać nie umieli, poszli u dalmatyńskich słowian pytać i nazwali pagurum, com u jednego męża uczonego, Włocha, czytał. Tak jest mowa nasza zasobna i innym we wszystkiem równa, jeśli nie lepsza.

— Ach! — westchnął ojciec Leonard — nie o to się sprawa dzieje! Nie o proste słowa, z rzeczami powiązane, jako jest kwiat z korzeniem związan, ale o inne, których znaczności dojść nie można, zda mi się, bez boskiej łaski a pomocy. I inszy narodowie to po sobie baczyli, iż i oni niedostateczni w tem byli, co się i w łacińskiej biblji okazuje. Wiele tam bowiem słów jest żydowskich, chaldejskich, greckich, których żaden, acz wielu nauczonych i świętych ludzi było, nie ważyli się wykładać, bo baczyli język być niedostatecznym; i owszem, dla tajemnej ich znaczności woleli tedy owe słowa przy swej własności zachować, niźliby je nowowymyślonem słowem byli mieli wyłożyć, któreby było trudniejsze ku wyrozumieniu, niż owo pierwsze, własne.

— Zostaw je tedy i ty, ojcze—rzekł Mikołaj—a jeno dalej naprzód idź. Bacz, jako to po inszych narodach wszystko mają swoim językiem wydrukowane, jak owo u Włochów i Niemców. Za łaską Bożą i nasz polski naród, i ta Korona może się teraz w tem z innymi porównać, aleć nam dalej robić trzeba, a nie zalegiwać! Robić! robić! Jakobyś się w ten las wrębywał!

— Prostą mową tłumaczę — odezwał się mnich — jako same słowa w sobie idą, a nie dworną, która więcej poetom i oratorom należy, niż teologom. Na to się jeno oglądam, iżby ten wykład mój pospolity człowiek w Koronie mógł zrozumieć.

— Dziwnie dobre są te czasy — rzekł mistrz Paweł pogodnym głosem.—Za pamięci najstarszych ludzi nie było takiego pokoju w naszem królestwie, ani takiej chęci ku czytaniu, ku dowiadywaniu się, takiej skrzętności dobrej a pilnej, która jakoby miodem napełnia spragnione umysły.

Mówił zcicha, głosem miękkim i rzeźwym, wesołym w swej cichości i będącym jakby odezwaniem się jakichś nieustannych myśli, trzymających w stałem natężeniu i pogodzie jego duszę.

— Szlachta w mig rozchwytuje, czegoby jeno nie wydrukować — rzekł Mikołaj. — Na ostatni sejm piotrkowski wysłaliśmy dwa wozy z czeladnikami. Wszystko rozkupili, jeszcze i za mało było.

— Czytać będą — powiedział dominikanin — i rozkupią... Aleć nie o to idzie... Nie z tej strony będą nam wstręty czynili, nie z tej strony nienawiść...

Wszyscy trzej umilkli, rozumiejąc się dobrze.

— Bądź, ojcze, spokojny—rzekł wreszcie Mikołaj pewnym głosem— nie dowie się nikt, że to wy, gdy księgę wypuszczę z drukarni.

Potem, uderzając w stół ręką, dodał:

— By mnie i ogniem palono!

— Oho! — pomyślał Hieronim, słysząc te słowa.

Zdziwiły go i dotknęły. Kogóż to ogniem palą? Infamisów? Niedokładnie to sobie przedstawiał, ale miał odrazę do takich niebezpieczeństw. Porządny człowiek w swojem królestwie nie miewa z katem nic do czynienia. Od tego ma wolności prawa, spisane od wieków.

— Ty — rzekł ojciec Leonard — nie przynależysz przed sąd biskupi, boś nie duchowny.

— O biblję po polsku wydaną? — zawołał Mikołaj — co mówisz, ojcze Leonardzie!

— Ho, jakżem to postarzał, że tak się bez rozwagi odzywam! — odpowiedział dominikanin. — Iście, tym samym sądemby nas sądzili. Ale w Bogu miejmy nadzieję, że przecie nic złego w tem się nie dopatrzą.

— Ba! — rzekł Mikołaj — od tego to zawisło, kto na biskupstwie wonczas będzie. Dobrzeby tego teraz dokonać, dopóki ksiądz Samuel Maciejowski jest tutaj.

Hieronim, zrozumiawszy, że szło o sądy duchowne, powrócił do spokoju. Jeśli tak, to nic nie szkodzi. Duchowne sądy, znienawidzone wszędzie, nie dotyczą cześci dobrych synów ojczyzny. Hieronim wiele się o tem nasłuchał w domu, gdy sąsiedzi przyjeżdżali do Marcina.

— Pijmy — rzekł Mikołaj — aby nam się darzyło wszystkim we wszystkiem!

Wtem drzwi sklepowe od ulicy otworzyły się z hałasem i weszło dwu ludzi. Jeden był stary ksiądz, w podniszczonej rokiecie. Drugi pan dobrze odziany, szlachcic ze wsi, który zsiadł z konia przed sklepem i zostawił go swemu konnemu pachołkowi.

Zaraz wyszedł do nich Mikołaj spytać, czego żądają, ale widać byli znajomi, bo począł ich witać, a oni jego. Na to i dominikanin, i mistrz Paweł przyszli także z tylnej izby.

— Ksiąg mi trzeba, panie Mikołaju — rzekł szlachcic, biorąc pokolei różne księgi ze stołu i przeglądając uważnie ze ściągniętemi brwiami

Ksiądz stary, prędko obróciwszy się znów do Mikołaja, gdy tylko przywitał się z dominikaninem i z mistrzem Pawłem, zły, burknął:

— Mnie nie tej świeckiej zarazy, tylko: Cursus gnesnenses de beata virgine. Masz?

— Godzinki? — spytał Mikołaj. — Mam krakowskie; tych-li nie chcesz, jegomość?

— Gnieźnieńskie — rzekł ksiądz — te lepsze. Krakowskie znam, ale zdadzą mi się w nich odmianki niektóre nie k'rzeczy.

— Znajdę i gnieźnieńskie — odpowiedział Mikołaj. — Pawle, przyjmuj tu ichmościów tymczasem.

To rzekłszy, wyszedł drzwiami do sieni, aby poszukać gnieźnieńskich godzinek w swym składzie zapasowym.

Szlachcic siadł na stołku, rozparłszy się i pokręciwszy wąsa, spytał:

— Facecyj nowych, dialogu jakiego uciesznego nie macie, panie Pawle?

Ksiądz zerknął w jego stronę, namarszczył się, przekąsając i żując jakieś słowa, które gwałtem mu się na usta wydzierały.

Wreszcie rzekł:

— Bym cię, panie Jacku, nie znał, nie rzekłbym ci nic. Ale że cię znam, to ci jeno powiem: zaraza wieku! dixi!

— Jaka? — spytał szlachcic, udając zdziwienie.

— Jaka? — warknął tamten. — Nie przeliczy oko! Owo te kartki sprośne, jako jest ten dyskurs „Szewca ze śmiercią” — cisnął książeczką po stole. — Albo owo „Rozmowa” ta... — urwał, ważąc w ręku drugą małą książkę.

— Która? — spytał szlachcic, przechylając się.—Pokaż ino?

Ksiądz nie chciał, ale tamten wziął mu z rąk.

— Aaa! — zawołał rozradowany—nie w smak to jegomości! Bym cię, ksiądz jegomość, nie znał, tedy nie rzekłbym ci nic. Ale że cię znam, to ci poczytam kęs tego składania. Owo jak się poczyna:

Miły wójcie, źle się dzieje,
Aboć się ten ksiądz z nas śmieje!
Mało śpiewa, wszystko dzwoni,
Msza nie była, jako łoni.
. . . . . .
Jutrzniej też nigdy nie słychać,
Podobno musi zasypiać;
Odśpiewa ją czasem sowa,
Bo więc księdzu cięży głowa.

— To, to, to! pan Rej z Nagłowic! — zawołał, śmiejąc się i uderzając w książeczkę. — Radzę ci, księże, kupić to pismo: „Rozprawa między panem, wójtem i plebanem”. Panie Pawle, biorę to i płacę.

— Zaraza! — rzekł ksiądz. — I skąd się to wzięło? Przecieć to nie tak dawno, a za ludzkiej pamięci jeszcze, jak się tu cnota krzewiła a kwitnęła w tem królestwie. Ani księgi, ani pisma nie było potrzeba; każdy dobrze wiedział, co czynić ma. Dzieci w posłuszeństwie przeciwko ojcom swym, czeladź przeciwko panom, rycerstwo przeciwko królowi, panu swemu; teraz zaś w co się to odmieniło? Każdy się bierze za księgę, za czytanie, jajo od kury mądrzejsze się być rozumie, a wszystko jeno przez owe druki, przez owe księgi, co je polskim językiem pospo-

litym niepotrzebnie drukują, pospólstwo w pychę wwodząc i ku temu naostatek, by się jeno rozumowi swemu własnemu zwierzali, radą mądrzejszych wzgardziwszy. Zła to psota i widoczny znak gniewu Bożego. Źle się skończy ta swawola!

— Aleć, źle to, czy dobrze, ku temu przecie wszystko szło—rzekł Paweł. — Człowiek każdy do mowy swej przyrodzonej ma tę chęć wierną i przyjazną, której ku innej prawie mieć nie może.

— Do łacińskiej... — przerwał ojciec Leonard.

— Dobrze, dobrześ rzekł! — zawołał ksiądz. — Łacińska mowa jest od Boga na to wybrana a naznaczona jawnie, by hamowała zuchwałe rozumy pospólstwa. Tak święte księgi, które wolą Bożą w niej pozostać mają, by nie poszły między pospolite głowy...

— No! — pomyślał Hieronim i odwrócił oczy z księdza na dominikanina. — Żeby ten ksiądz wiedział, co gotuje zakonnik, a z nim Mikołaj!

Mnich bardzo się stropił i spojrzał na Pawła przelotnie, z przygnębieniem takiem, jakby go nie mógł dźwignąć sam i chciał, by mu Paweł dopomógł je znieść. Znaczyło to spojrzenie: a co? wszakem mówił!

Ale odchrząknął i rzekł rzeźwo:

— Nie zdaje mi się, tak jak tobie, jegomość, by Pan Bóg one księgi na zamknięcie ich, a prawie zamurowanie w łacińskiej mowie przeznaczył. Azaliż nie dał Pan daru języków apostołom, by szli opowiadać ewangelję wszystkim narodom w mowie ich? I nie ku czemu innemu spisali apostołowie słowa Pańskie, jeno, gdy ich nie stanie, iżby owe księgi narodom za ich opowiadanie własne stały.

— Co mi waść prawisz! Co mi waść prawisz!—zakrzyczał ksiądz, strzepując ręką koło ucha, jakby odpędzał osę. — Na to Pan ma sług swoich w nas, byśmy Jego naukę w ludzkie twarde łby wrzepili, a Pismo święte nam jeno, nie pospólstwu przeznacza. Mówisz oto jegomość prawie jak heretyk, co chce każdego kapłanem uczynić na zniewagę, która Pismu się dzieje w pospolitych roztrząsaniach, nic nie dbając.

— Klin klinem—rzekł szlachcic, który słuchał, nic nie mówiąc. — Prawią nam heretycy, co o Piśmie świętem rozumieją, powiedzcież co i wy, księża, miasto milczeć uparcie, jak ten obraz, któremu czyli kadzisz, czyli... nie, jednako na cię spoziera, a do powiedzenia nic nie ma.

— I mnie się tak widzi — powiedział mnich, ostrożnie mierząc słowa. — Przyszedł-li czas, gdy wszystko, jako widzim, w mowie pospolitej się drukuje i czyta, nie należy też i Pisma świętego na ostatek za szańcem zostawiać. A daleko większa z tego zda mi się być korzyść, niźli szkoda: niemasz bowiem pewnie na świecie żadnego, ani tak głupiego, ani niezbożnego człowieka, któryby, czytając Pańskie słowa, a rozmyślając wielką dobroć Jego, poruszyć się a odmienić ze złego

w dobry nie musiał. Tak, iż co inne nauki sprawują człowieka, sposobnego ku pojęciu cnoty, to nauka boża sama cnotę wlewa.

— Iście — rzekł Paweł. — Więcej nauki nigdy ku szkodzie nie bywa. Nie jest-li człowiek z natury swej słaby, a owym złym a ponurym kumom chętny, jako są gniew, zawiść, pycha? Samo jeno ćwiczenie dobre, nauki piękne, rozmyślanie rzeczy boskich, pięknych a prawdziwych, z tych go mroków a niechlujstwa dusznego podnosi, jakoby na skrzydłach gołębia, ku wysokości a jasności dobrej.

— Pycha! — zawołał ksiądz, miotając się i trzęsąc obu rękami ku tamtym. — Pycha i nic więcej! Dość nauki, gdy umieją dziesięcioro przykazania i modlitwy główniejsze; mówię to i powtarzam. Djabelski jeno wynalazek są owe nauki, czartowskim czarem napełnione! A chcecie ichmość wiedzieć — dodał ciszej, opierając się obu rękami o stół i wyciągając się ku nim cały — chcecie wiedzieć, to wam i to jeszcze powiem: gorzej jest, niż wszystko inne, gdy się onej świeckiej mądrości duchowni chwytają, czas trawiąc na rozprawach o rzeczach pogańskich, owych bogów, a w samej rzeczy czartów straszliwych, jak Jupiter, Mars, Merkurjusz, Wenus, Wulkanus, wspominając, djabelskiemi się sztukami bawiąc, alchimją i inszemi. Tego zaś widzimy pełno powszędy w tych naszych czasiech nieszczęśliwych: jak i wśród kapituły naszej krakowskiej między kanonikami...

— Nie mają owi pogańscy bogowie onej cnoty ani siły, którą im waszmość przypisujesz — rzekł Paweł. — Podobniejsi są do onych kwiatów zaschłych, co je niewiasty do swych modlitewników kładą. Kiedyś tak kwitli w rozumieniu ludów swych starodawnych. Dzisiejszych dni, czytając pisma nieprześcignione Greków i Rzymian, dziwujemy się jeno owej zmyślności ich a dowcipowi, co tyle bogów, nimf, faunów nastwarzał, jakoby bajkę sobie samemu bając.

— Niebezpieczna jest z takiemi imionami igrać — rzekł ksiądz ponuro, podnosząc rękę groźnie — prawie jakoby mocy piekielnych i ich księcia wzywając, który tylko czyha, by się ku nam przybliżyć a zadomowić jako mógł. Wymieść to trzeba, a do czysta, i nie żałowałbym i pół grzywny dać, by chłopów nająć, którzyby rózgami owe nauki bezbożne wrychle naszym kanonikom z głowy wybili. Co powiedzieć na proboszcza od Wszystkich Świętych, kanonika Czarnkowskiego, bogacza, albo-li na referendarza koronnego, kanonika Uchańskiego? Nie siedzi-li ksiądz Czarnkowski nad księgami, których dobry chrześcijanin nie pojmie, a ksiądz Uchański nie bywa-li w domu pana Trzecieskiego, gdzie się owi uczniowie Erazma Roterdamczyka zbierają, Bernard drukarz, Frycz-Modrzewski, wójt wolbromski, Łaskich domowy, inni co najgorszej myśli?

— Ba! — odezwał się szlachcic, zbierając parę książek, które

sobie wybrał — wszystko ci źle, księże Walenty, jakby ci zając drogę przebiegł, alboteż i baba z pustemi wiadrami.

Ksiądz Walenty zżymał się, słuchając, i zaraz odrzekł:

— Księgi wszystkie na stos i spalić. A wtedy stara cnota wróci. Inaczej...

— Hola, hola, jegomość! — zawołał szlachcic. — Dobry to sposób na tych, co o sobie nic radzić nie potrzebują, jako owi poddani tych różnych książąt moskiewskich, suzdalskich — a kto ich spamięta! Nie na obywateli wolnych w swej rzeczypospolitej, jako jest nasza. Patrzajże wasze, do czego rodzi się z nas każdy, dziedzicem praw i swobód swoich ojców będąc: owo ku mądremu onych praw używaniu, a dopełnianiu; ku usuwaniu starych, gdy precz poszły z obyczajami dawnemi, a stanowieniu nowych, gdy nowe zwyczaje nowemi prawy rządzić się mają. Co nic nie jest innego, jeno rzecząpospolitą rządzenie: a jakże do rządów owego ciemnego a sprośnego pachołka weźmiesz, co nic nie zna, jeno swoje a sąsiadów swych miedze i drogi, a daleko mu radziej na woły hukać, niźli do współobywatelów swych, braci szlachty, k'rzeczy i mądrze przemówić, albo od nich co dobrego usłyszeć? A jeszcze dziś, gdy prawa, przez różność czasów, w których je dawano, tak są splątane, że często jedno to pozwala, czego drugie pod infamją zakazuje. Któż je rozplącze? Któż je w porządny ład złoży, co złe wygładzi, co dobre wzmocni, nowemi wesprze, jeśli nie synowie tej Korony, dobrą nauką do dokonania tych prac przygotowani?

Hieronim słuchał go uważnie: to się tyczyło i jego. I on był do tego zrodzony i powołany, ale ani nauczony, ani dotąd uczyć się zamierzał. Nagle zupełnie innym mu się wydał kraj szeroki, żyzny, swo-

bodny, który znał, którego drogami chodził, którego każdą wieś, las, rzekę miał w wiernej pamięci. Rządzić nim trzeba, rozumieć, znać wszystko, co kieruje i w kupie trzyma mieszkańców wszystkich. Teraz inaczej mu się wydało znaczenie każdej rzeczy: Krakowa, drukarni, gdzie siedzieli, ludzi, którzy przy nim rozmawiali, służby wojennej, którą brat pełnił, podatków, które Marcin płacił.

Wtem wszedł Mikołaj z książką dla księdza. Ten wziął, zapłacił i wyszedł, nic już nie słuchając, co jeszcze mówił dominikanin.

Teraz i ten zebrał się i wyszedł, zamieniwszy jeszcze słów parę pocichu z mistrzem Pawłem i Mikołajem.

— Jeśliby taki był duch w innych, jako w księdzu Walentym, to niewiele dobrego — zaczął mistrz Paweł — dla naszego przedsięwzięcia...

Ale Mikołaj nie słuchał go: z nagłym niepokojem utkwił oczy w Hieronima, jakby dotąd zapomniał o jego obecności w ciemnym kącie sklepu.

— Studencie — rzekł — słyszałeś, o czemeśmy radzili w tylnej izbie?...

Hieronim cały poczerwieniał, wstał. Patrząc drukarzowi prosto w oczy, odpowiedział z miejsca:

— Słyszałem!

Mikołaj ruszył ręką bezradnie, zwracając się ku Pawłowi: mistrz Paweł też był stropiony.

— Nie możesz ani przypuszczać — powiedział do Hieronima — jaką te rzeczy dla niektórych mogą mieć wagę. Jeśli tedy...

— Jam nie zdrajca — rzekł Hieronim — ani szpieg. Słowo szlacheckie mogę wam dać, że o tem, com słyszał, nikt się ode mnie nie dowie...

Widział, że to ich trochę uspokoiło, ale stali obaj ze spuszczonemi głowami, myśląc.

— By mnie i ogniem palono! — rzekł Hieronim.

Mikołaj się uśmiechnął, mistrz Paweł także.

— Scholarzy nie palą! — rzekł Mikołaj.

— Wszystko jedno — powiedział Hieronim. — Macie moje słowo.

W tej chwili otworzyły się drzwi znowu. Teraz wszedł gość młody, śmiałych i wesołych ruchów, wysoki i pleczysty, z kordem u boku, łańcuchem na piersi.

— To jest ów rotmistrz z Wołoch — rzekł szybko mistrz Paweł Hieronimowi.

Mikołaj tymczasem pytał:

— Jakże tam Wołochy? A o Tatarach nie słychać?

— Cóż mnie wciąż o to jedno każdy pyta? — z wesołem zdumieniem zawołał rotmistrz. — Tak jakbyście wy, dobrodzieje moi, tą jeno

wieścią żyli.. A tam co? Łowy jeno i łotrzyków tropienie, a potem na zwierza to samo. Bogu dzięki, żem już do domu wrócił.

— A we Lwowie co nowego? — spytał znów Mikołaj.

— Wszędzie zboże pięknie porosło — rzekł rotmistrz. — Lny też widziałem koło Rzeszowa bardzo piękne.

Mówiąc to, siadł ciężko na stołku i odetchnął:

— Haa!... aż mi dziwno, żem już tu. Ale u was księgi nowe są?

I wziąwszy jakąś książkę, obejrzał ją i z zajęciem przeczytał tytuł: „Nauka bardzo użyteczna i potrzebna o puszczaniu krwie ku zdrowiu człowieczemu, a zwłaszcza ukazanie, której żyły cięcie któremu niedostatkowi pomaga. Przez mistrza Jędrzeja z Kobylina pospólstwu podane roku Bożego 1542".

— Dobrzeby, jeśliby więc na wojnie nieprzyjaciel wedle tej nauki sobie poczynał, drugiemu żyły otwierając. Choć już wolę cyrulikowi się w tem zwierzyć!...

Prawił, oglądając książki i sklep.

Mikołaj zapytał go:

— A długoś jechał, rotmistrzu miły?

— Ho! — rzekł ów zadowolony — zwykle jadąc i popasając i we trzy tygodnieby nie zajechał. Ale, iż mi do dom śpieszno było, tedym we dwa tygodnie tu padł. Jutro będę w domu na południe. Aż mi dziwno.

— Ba! — powiedział Mikołaj, uśmiechając się. — Jest ci tu nowego dość. Królowi sądów nie chcą pozwolić, iż Barbarę ową pojął za żonę. Ten i ów do sądów ziemskich nie staje, mówiąc, iż królewskie sądy nieważne są, aż sejm ich królowi dozwoli.

— Co mówicie! — zdumiał się gość. — Tak-li to teraz?

— A z którego teraz pogranicza jedziesz? — spytał mistrz Paweł, zbliżając się.

Hieronim nadstawił uszu.

— Z wołoskiego — rzekł ów. — Służyłem tam rotmistrzem przy panu Sieniawskim. Jeno że teraz cicho. Tu widzę większy rozruch od domowego niepokoju, niżeli tam od wroga.

Paweł spojrzał na Hieronima: przypomniał sobie imię żołnierza, o którego miał się dowiedzieć, i spytał:

— Nie znałeś-li tam szlachcica jednego, Andrzeja...

— Niewiarowskiego... — podszepnął mu Hieronim.

— Andrzeja Niewiarowskiego? — dokończył Paweł.

— Niewiarowskiego? — powtórzył ów, namyślając się — czekaj... A jakże! — zawołał nagle — jegobym nie znał!

Drzwi od ulicy, przywarte lekko, odsunęły się powoli i wszedł ksiądz pulchny, okrągłej i jednostajnie rumianej twarzy. Brwi miał

ściągnięte i nachmurzone, a spojrzenie oczu lękliwe i wahające się. Usta nadąsane i ruchy niepewne, ale ostrożne.

— Niewiarowskiegobym nie znał! — wołał tymczasem rotmistrz — Jakże! Mało czasu razemeśmy przy panach Sieniawskich służyli!

— O kim mówicie? — spytał nowoprzybyły, przechylając głowę. — O Niewiarowskim, zda mi się? Czy nie Andrzeju?

— Jednego jeno znam, a temu Andrzej—odrzekł żołnierz, prostując się i oglądając księdza.

Ksiądz tymczasem powoli przywitał się z Mikołajem, z mistrzem Pawłem i rzucił spojrzenie w stronę Hieronima. Było już ciemnawo i niewiele widać. Ale Hieronim, patrząc na niego, coś sobie przypominał niewyraźnie.

— Siadaj, jegomość — zapraszał Mikołaj. — Oto księga, której chciałeś. Szukałem wszędzie, wiedziałem, że była, kiedyśmy inwentarz robili z braćmi w zimie tego roku. Zasunęła mi się jeno między insze papierzyska.

Kanonik, słuchając, kiwał głową i obracał w ręku cienką a dużą książkę in quarto.

— Cóż tedy o Andrzeju mówiliście? — spytał młodego żołnierza, gdy Mikołaj skończył mówić.

— Dobry to żołnierz i towarzysz — rzekł rotmistrz. — Zeszłego roku razemeśmy na Wołoszę chodzili na dziki polować. Srogie tam są knury, stare i opasłe, jakich u nas ani uświadczy, na wołoskiej żołędzi utuczone.

— Spokojne tam teraz wszystko — spytał kanonik — gdy się rycerstwo w łowach ćwiczy?

Hieronim najwięcej znajomego czuł w głosie księdza. Łamał sobie głowę, gdzie on go mógł widzieć i kiedy?...

— Spokojnie! — rzekł żołnierz. — Aleć i tak twarde to życie obozowe i zawsze trza się trzymać w pogotowiu.

— Gdzieżeś, panie, Andrzeja zostawił?—spytał kanonik po chwili.— Do dom nie wraca?

— Nie jeszcze — rzekł tamten.

— Czasby mu był — powiedział kanonik. — Ma braci... Trudno tam u nich idzie... I żenićby się mu pora...

— Mówił mi — rzekł żołnierz — że braci ma, aleć się do dom nic nie śpieszył. Znać go jednak musisz, księże, iż się oń tak pytasz?

Kanonik westchnął, opuścił głowę na ramię. Potem odpowiedział:

— To mój siostrzeniec...

— Nie żałuj, księże, że nie wraca. Dobrą szkołę przejdzie, bo do pana Pretwica na Ukrainę poszedł — rzekł żołnierz.

Hieronim nic nie słuchał, co mówił rotmistrz. Patrzył tylko bez ruchu na swego wuja, kanonika Zieleńskiego. Przypomniał sobie, jak go widział w domu, mając lat siedem czy osiem. Miał nadzieję, że kanonik go nie pozna. Ale anuż?...

— To i cóż?... — myślał. — Trzeba się uczyć. Muszę się uczyć prawa i łaciny, jak przystoi. Ale jaką karąby mnie teraz pokarali, gdyby złowili?...

Kanonik, poruszywszy się na krześle, rzekł:

— Zamiast tam zające gonić, raczejby się tutaj przydał. Osądźcie sami: brata jego młodszego z domu na naukę wysłać się zbierano; aliści co czyni niecnota? Rzuca dom ze swawolniki, co pod tę porę we dworze u nich nocowali, i jak zbiegł, tak i dotąd biega. Średni siostrzeniec mój w liście mi o tem pisze. Pachołkowie też, których za nim ścigać posłał, z niczem tu przybyli.

Słuchając tego, Hieronim siedział, jak mysz pod miotłą. Od pierwszych słów ani drgnął. Tylko na chwilę spotkał się spojrzeniem z oczami mistrza Pawła: zobaczył, że on zrozumiał i że wie, kim jest jego gość, Hieronim. Ale nikt się nie odzywał, ani mistrz Paweł, ani Mikołaj.

Kanonik, zabrawszy książkę, wyszedł razem z żołnierzem.

Gdy Mikołaj zamykał sklep od ulicy, a czeladnik przyszedł ze światłem, mistrz Paweł powiedział do Hieronima:

— Tedy brat twój przy panu Pretwicu na Ukrainie być powinien.

— Rozmyśliłem się — rzekł Hieronim. — Zostanę w Krakowie.

— U wuja? — spytał mistrz Paweł.

— Nie. Między żakami. Będę się uczył.

— To dobrze — rzekł mistrz Paweł. — Przyjdź do nas, gdy ci trzeba będzie; drzwi masz zawsze otwarte.

Księga Stacha.

Po swojej bytności u mistrza Pawła Hieronim z nową wytrwałością zabrał się do pracy. Przedtem gubił się w szczegółach, nudziła go i mordowała codzienna szarzyzna tej nauki. Teraz patrzył dalej, w czasy, gdy będzie dorosłym i uczonym i myśląc o nich, cierpliwie i wytrwale znosił te początki nudne, suche, bez żadnego pociągu.

Nie starano się wtedy niczem umilić początków nauki, tak jak teraz to robią. Każdą rzecz chcą uczynić zajmującą, przystępną, ładnie ją przedstawić. Wtedy dawano naukę, jak robotę ciężką i trudną; nauczyciel, zniecierpliwiony, za najlepszy środek uważał kij w swojem ręku. Dopiero, przeszedłszy lata całe tych odstraszających ćwiczeń, które mu tłumaczono częściej rózgą, niż słowem, których celu prawie nie pojmował, wydostawał się uczeń jakby z podziemia na słońce i pogodę: zaczynał słuchać wykładów o wielkich pisarzach, otwierały się przed nim nieśmiertelne myśli wielkich ludzi, olśniewał go ich styl, ich dzieła. Przenosił się myślą w kraje dalekie, słoneczne, cudowne, potem nagle odkrywał wokół siebie żarzącą się i płonącą życiem pracę własnego narodu. Wielkie prądy myśli, które powstały w owym czasie, w owych wiekach humanizmu, tak wydały się bujne i tak piękne późniejszym, mniej uczonym, mniej pracowitym, ciemniejszym pokoleniom, umiejącym je tylko podziwiać, ale nie tworzyć, tak jak one, że nazwały ów wiek wiekiem złotym. Dwa prądy były główne: humanizm, jakby skąpanie i odświeżenie się ludzkiej myśli w nieśmiertelnych dziełach Grecji i Rzymu, i reformacja — wielki i wspaniały wysiłek moralny, któremu służyły najlepsze głowy i najwięksi ludzie całej Europy: Francji, Niemiec, Polski.

Żacy szkoły WW. Świętych nie wiedzieli i nie słyszeli prawie nic o tem wszystkiem. Ale było to, jak wiosna w powietrzu. Jak ciepłe powiewy wiosenne, przechodziły słuchy jakieś, odzywały się czasem mimowoli w wykładach magistrów, w kazaniach księży w kościele.

W niedzielę po nabożeństwie Hieronim ze Stachem i Pietrkiem wyruszali na miasto, jak na wyprawę, po przygody. Oglądali sklepy,

kramy, ludzi, biegli, gdzie słychać było jakąś wrzawę, krzyki, coś ciekawego.

Pewnego razu ujrzeli zbiegowisko ludzi koło handlarza, który siedział na ziemi. Wszyscy stali nad nim kołem z pochylonemi głowami, patrząc, jak w studnię, a on im wyjaśniał swoją rzecz i wołał:

— Włosy świętej Barbary — błogosławione w Rzymie przez Ojca świętego. Trzy grosze. Sposób bardzo silny na postrzały i suche bóle...

— E, co tam prawisz! — ofuknęła go jakaś baba w białym czepcu. — Na to nic nie pomoże, jeno smarować sadłem borsuczem i nosić zawinięcie z wieprzowej sperki.

— A co mi, babo, zagadujesz? — odparł przekupień — patrzaj swego nosa! Wiele jest, o czemeś nie słyszała, a nie będziesz mi tu zrównywać włosów świętej Barbary z borsuczem sadłem czy tam świńską sperką.

Inni zamruczeli, a handlarz wołał dalej:

— Tu, dobrzy ludzie, macie zasuszone kwiatki z grobu Panny Marji...

Żacy przecisnęli się bliżej, żeby zobaczyć te wszystkie leki.

— Oo! — powiedział Stach nagle — patrzcie, księgę ma.

Księga leżała wśród pęczków ziół, woreczków z ziemią, włosów i innych przedmiotów, równie prostych, jak i niespodzianych.

Była stara, zakurzona, wyplamiona.

— Co jest w tej księdze?—zapytał Stach z ciekawością.

Przekupień nie odpowiedział, nie spojrzał na pytającego, tylko zakrył księgę łokciem. Stach wobec tego przecisnął się jeszcze bliżej i pilnie się przyglądając, znów spytał:

— Co za księgę masz?

— Nie przedaję jej — rzekł ów.

— Daj mi zajrzeć.

Ale handlarz już nie chciał dłużej tracić czasu i znów recytował:

— Od zębów, od brzucha, od głowy... Kto słabuje, kto choruje...

— Ano — odezwała się w gwarze jakaś baba, przeciskając się ku niemu — a na febrę masz co?

— Mam zaklęcia i zioła — odrzekł, przestając wołać.

— A które lepsze?

— Jednako dobre, każde pomoże.

— Daj obydwa — rzekła baba — jak jedno nie da rady, może we dwa co pomogą.

— To dla ciebie? — spytał.

— Nie, dla syna.

— Dla syna! — zawołał handlarz — cóż mi nic nie mówisz? Inne zaklęcie jest dla chłopca, inne dla niewiasty.

Tu otworzył księgę, zaczął przewracać zatłuszczone kartki, a Stach patrzył chciwie.

Zobaczył napisy tłustym drukiem: Medicamentum sanctae Apolloniae. Medicamentum ad tumores pellendos.

I tak dalej.

Tymczasem Hieronim i Pietrek niecierpliwili się.

— Chodźmy dalej! Co tam w te babskie leki zaglądać!

Już Stach chciał się cofnąć, przekonawszy się, że w całej książce nic nie było, tylko sposoby leczenia. Ale jakoś spojrzawszy w bok na widzów, nagle skamieniał: urzał Sebastjana z Szymkiem, stojących w ciasnem kole, otaczającem przekupnia lekarstw, i z wielkiem zajęciem patrzących na jego towar.

Stach, ochłonąwszy, odwrócił głowę do stojących za nim towarzyszy i szepnął:

— Sebastjan!

Teraz i oni go ujrzeli, i jak mogli najnieznaczniej wycofali się. Jak najszybciej przepchali się przez tłum i pobiegli wzdłuż kramów. Widząc, że nikt ich nie ściga, przystanęli w zaułku między kramami.

— No, no! — zawołał Hieronim zniżonym głosem — dobrze, że mnie nie ujrzał! Ale to się zawzięli! Pokąd tu będzie siedział?

Pietrek wołał:

— By był tylko oczy podniósł! I miałby cię!

— No, nie tak zaraz! — odpowiedział Hieronim ostro.

— Mówię tylko, że ujrzałby cię.

— Ale co on tu robi?

— Ano, szuka ciebie.

— Nie nadto pilnie.

— A wszystko przez Stacha — rzekł Pietrek — że stał nad tą księgą, jak bocian na bagnie.

— Pomyliłem się — tłumaczył Stach — zdało mi się, że to...

I nagle, zniżając głos tajemniczo, powiedział:

— Powiem wam coś, jeno przysięgnijcie milczeć.

— Przysięgamy — odpowiedzieli.

— Jest księga... — zaczął Stach,

— Ach, księga! — zawołał Pietrek, wspomniawszy słowa Stacha w winiarni.

— Czekaj—rzekł Stach. — Która pisze o wszystkiem. To znaczy, że odkrywa tajemną siłę każdej rzeczy.

— To są djabelskie sztuki — rzekł Pietrek niechętnie.

— Nie! — zaprzeczył Stach żywo. — Napisał ją cesarz rzymski, Fryderyk, razem z arabskim cesarzem, Saracenem, kiedy był królem Sycylji.

— Jak, jak? — spytał Hieronim, nic nie rozumiejąc. — Kto był królem Sycylji?

— Cesarz rzymski — rzekł Stach z namaszczeniem. — Księga owa zawiera wszystką mądrość, a ktoby ją miał, dla tego nieby nie było niepodobnego. Widziałby skarby, zakopane w ziemi tak jasno, jakoby leżały w czystej wodzie. Słuchałoby go wszystko stworzenie, co po ziemi zwierzem biega, alboli w powietrzu ptakiem lata, albo w wodzie rybą pływa. Każdego stworzenia mowęby rozumiał i umiał. Prócz tego zawiera ta księga leki na wszystkie choroby i zaklęcia takiej siły, że nic się im nie oprze.

— Nie djabelska to moc? — spytał znów Pietrek.

— Słuchajże dalej! — odpowiedział Stach, podrażniony jego uporem — księga ona tak była mądra i dobra, że nie mogąc jej ścierpieć, skryły ją djabelskie siły i od dwustu, a może i więcej lat nikt jej nie może znaleźć.

— To i ty nie znajdziesz — rzekł Pietrek.

— Z Bożą pomocą znajdę — odparł Stach przekonany.

— Gdzie jej szukać? — rzekł Pietrek, ruszając ramionami.

— Wszędzie — odpowiedzał Stach. — Będę szukał, aż znajdę.

— Skąd wiesz, że jest?

— Przeczytał o tem ksiądz jeden w Brześciu.

— To niepewne — rzekł Pietrek. — Wolę owo powiedzieć sobie: chcę być biskupem. I o to się już starać...

Ale Hieronima zajęła ta księga, głównie zaś to, co Stach mówił o mowie ptaków i zwierząt. Nikomu bowiem z tem się nie zwierzając, Hieronim był pewny, że istnieje ta mowa. Często, gdy szedł lasem, udawał głos takich albo innych ptaków, a one mu się odzywały zdaleka. Nieraz mu się zdawało, że już, już zrozumie zupełnie, aż do dna, co znaczą te różne głosy. Ale zaraz zatracało się to znowu.

— Są tu bibljoteki wielkie i ksiąg pełne — rzekł Stach po chwili.

— Pozwolą ci to tam iść? — spytał Pietrek.

— Można wejść i tak — rzekł Hieronim — i poszukać.

— Coś lepszego jest do roboty — rzekł Pietrek. — Wrócę się, czy nie odnajdę Sebastjana. Mnie on chyba nie pozna: a zobaczyć warto, gdzie mieszka.

A widząc, że Hieronim ma ochotę także zawrócić, dodał:

— Tyś tam na nic, bo ciebie zaraz poznają.

— Pójdź ze mną — rzekł Stach — jeszcze trzeba pomówić.

Poszli dalej we dwóch, a Pietrek wrócił się na rynek.

— Znam tu jednego mistrza Pawła — rzekł Hieronim. — Jeśli tu gdzie są takie stare i dawne księgi, on to będzie wiedział.

— Ludzki jest? — spytał Stach. — Można go pytać?

— Można — odrzekł Hieronim. — Bardzo mi się zdaje uczony, ale pychy w nim niemasz.

— Pójdźmy tedy — rzekł Stach, rad.

Sklep Mikołaja był zamknięty; ale w ogrodzie pod drzewami siedział mistrz Paweł z jakimś gościem, siwym, czarno odzianym, z kołnierzem białym. Gość ten był gruby, czerwony na twarzy i wesół. Śmiał się ustawicznie, a co się odezwał, to tak grubym głosem, że aż dudniło.

Na stole stał wielki dzban polewany, a przed każdym z siedzących szklenica z piwem.

— Hej!—zawołał mistrz Paweł, dostrzegłszy żaków w sieni domu— pójdźcie bliżej, mili goście! Witajcie! Siadajcie!

— Dać im trzeba piwa, mistrzu Pawle!—rzekł ów czarno odziany.— A z jakiegoście kraju? Może z Lublina który, z owego grodu sławnego piwem i błotem. Aleć się nie bój, bo i nasze piwo krakowskie niezgorsze jest, a jeszcze gdy go ze Śląska sprowadzą!

— Jam z województwa sandomierskiego, a ten z brzesko-litewskiego— odpowiedział Hieronim.

Mistrz Paweł nalał im piwa.

— Pijcie! — rzekł. — A z czem przychodzicie?

— Spytać się chcę ciebie, mistrzu — rzekł Stach — jako że bardzo uczony jesteś: gdzie tu w Krakowie stare księgi mają? W której książnicy?

Zadziwili się obaj starsi.

— Stare księgi? — rzekł Paweł. — Jakie? O czem piszące?...

Stach się stropił. Co tu powiedzieć?

— Najstarsze — odparł.

— Pisane?

— Iście! — zawołał Stach uradowany. — Pisane i takie, gdzieby było o wszystkiem, co jest: o stworzeniu wszelkiem, o ziemiach, o morzach, o świecie.

— O stworzeniu? — zawołał gość opasły. — Tego w księdze nie znajdziesz, nie. Jestem medyk i to ci, młodzieńcze, powiem: chcesz-li stworzenie poznać, ziemię, zioła, jakie są, jako żyją, jako rosną, tedy rzuć księgi i idź patrzeć, słuchać. Dotknąć musisz sam i sam jako szpieg i jako przyjaciel podsłuchiwać, co się owo w zielonych lasach dzieje. Księga jest pusta litera...

— Nie każda — rzekł Paweł. — Są księgi nieśmiertelne, dziwnej piękności pełne, jako te, co nam starożytni Grecy i Rzymianie pozostawili. Wzdy o nich słyszałeś? Te wykładają magistrowie i doktorowie w akademiej. Jako jest zapach i woń cudna z kwiatów, by i zasuszonych, tak z tych ksiąg idzie głos przedziwny dawnego życia i dawnej cnoty, woni kwiatów podobny.

— Nie — powiedział Stach, potrząsając głową — zaklęcia tam mają być...

— Ho, ho! — zaśmiał się medyk, aż szklanki zadzwoniły na stole.— Zaklęcia!... Ba! dobrzeby to było, gdybyś mamrotaniem mógł co chorobie pomóc, jako baby a guślarze czynią! Aleć teraz mało kto w to wierzy, chyba że przygłupi. Jakoby to w czem wodę czy ziele odmienić mogło, że nad niem słów kilkoro zamruczysz: woda wodą zostanie i nic nie mocniejsza, niż była, a ziele zielem. Był raz żołnierz, co gdy w ciągnieniu postu łamać nie chciał, plebanowi barana przywiódł, i siłą zmusił, by go ochrzcił na rybę: ja cię chrzczę: karp! Tedy barana owego zabiwszy i ze skóry obłupiwszy, zjadł. Mnie się przecież widzi, że post złamał, a możeby i grzech miał, jeśliby i karp, i baran, równe stworzenia nie były przed Pańskiem obliczem. Zaiste bowiem nie stworzył postów ów Bóg wielki i dobry, jeno karpie, szczuki, karasie, a także i barany, zające, świnie, sarny, abyśmy się w dobrej myśli radowali i dobrze żyli.

— Aleć bywa w księgach siła — upierał się Stach nieśmiało.

— Ta, że w nie dużo starania, trudu a mądrości owi autorowie włożyli—rzekł mistrz Paweł.—Tej, nie wiem jakobyś inaczej doświadczyć mógł i co innego z niej mieć, niż to, iż czytając je a rozważając, zwolna jakoby zorza rozwinie ci się w oczach owa ich mądrość a dobroć ukryta. Dumni są owi starzy umarli: raz powiedzieli i tłumaczyć się nie chcą. Trzeba ich długo i pilnie rozważać, aby do siebie dopuścili i w obcowanie z sobą przyjęli. Wysokie to jest towarzystwo i prawie królewskie, owych mędrców a poetów nieśmiertelnych.

— Widziałem raz w Collegium iuridicum na Grodzkiej ulicy — powiedział medyk — księgę bardzo starą i mało nie zbutwiałą, choć w drewno tęgo oprawną. Tytuł był: De omni re scibili. Dziwna to była księga, głupstwa i mądrości zarówno pełna. Nie wiem, kto ją napisał: zda mi się mnich, bernardyn jakiś z Krakowa.

Stach i Hieronim wymienili spojrzenie: Stach już się domyślał, kto naprawdę napisał tę księgę.

— Ludzka natura łaknie tajemnego i zakrytego — rzekł Paweł. — Byśmy nawet wszystko znali i wiedzieli, jeszczeby zaklęcia sobie jakieś i gusła wynalazła.

— Spuszcza się człowiek rad na czcze słowa — dodał medyk machnąwszy ręką. — Mniej to pracy.

Mówili dalej już między sobą, a żacy ani zważali, ani słyszeli: tak im śpieszno było odejść i rozmówić się. Wstali, pożegnali się, poszli.

— Mocno siedzi ta wiara w pisane: byle głupstwo napisać, a sto głupców nad niem się zaduma — rzekł, śmiejąc się, medyk.

— A mędrców mało-li? — spytał mistrz Paweł.

Gospoda Pyrnusza.

Żacy, wyszedłszy z domu Mikołaja Szartenbergiera, skierowali się ku rynkowi.

— Teraz to nam obmyśleć trzeba, jak się dobrać do tej bibljoteki w Collegium iuridicum — rzekł Stach.

— Może nas tak puszczą?

— E, gdzie! Tam jeno doktorów prawa i profesorów puszczają. Ale nas?...

Jeszcze nie doszli do rynku, gdy spotkali Pietrka.

— Cóż Sebastjan? Gdzie mieszka? — zawołał Hieronim.

— Ale, nie znalazłem go! — odparł Pietrek. — Szukałem, szukałem, nic! Wróciłem was znaleźć — takżeście przepadli. A gdzieście byli?

Stach mu opowiedział.

— Acha — rzekł Pietrek — to chcesz porwać tę księgę z iuridicum?...

— Jeśli to ona, porwę! — odpowiedział Stach stanowczo.

Tymczasem znów weszli na rynek i szli ku miejscu, gdzie zostawili przekupnia lekarstw.

Zastali go ciągle jeszcze siedzącego na ziemi przed swojemi lekami, w otoczeniu ciekawych. Teraz jednak już nie wyliczał tego, co posiadał w swoich zasobach, tylko prowadził z kimś wielką dysputę.

Zbliżywszy się, ujrzeli, że był to jakiś chudy i wygłodniały doktorzyna w czarnej, długiej tunice doktorskiej i niegdyś kanciastym birecie, dosyć smutnie wyglądającym. Ten twierdził, że w księdze przekupnia są wielkie błędy, a przekupień, którego to w gruncie bynajmniej nie obchodziło, odpowiadał mu z wściekłością, aby szedł swoją drogą. Zarazem jednak, dla utrzymania dobrej opinji o sobie wśród widzów, musiał jakoś odpierać te zarzuty choć dla pozoru, sypał więc imionami świętych, których relikwje, jak twierdził, posiadał; ale

doktorzyna odpowiadał, że to jest inna materja i ciągle twardo mu wytykał błędy w książce.

Sięgnął po nią nawet, ale tego już przekupień nie mógł ścierpieć, więc zaczęła się szarpanina, która odrazu przeszła w bójkę — i przekupień, zerwawszy się z ziemi, tak dobrze uderzył na uczonego, że ten byłby padł, gdyby nie żacy, którzy poskoczyli na ratunek i odciągnęli owego doktora.

— Infamis! — wołał doktór, poprawiając swój biret i obciągając tunikę. — Wytoczę mu proces wedle kanonów prawa, jak mówi Ulpianus, pagina iij, księga druga: „ut quicunque...“ albo w następnej: „Quem autem...“

— Vir doctissime—odrzekł Pietrek—odejdźmy stąd, bo ten handlarz ziółek jeszcze się odgraża.

Wtem nieopodal usłyszeli donośne okrzykiwanie, w którem coś było o koniu.

— Słyszycie, słyszycie? — zawołał Pietrek — pójdźmy zobaczyć!

Przeszedłszy z pięćdziesiąt kroków między dwoma rzędami kramów, ujrzeli budę tak zrobioną, że przerwę między dwoma kramami nakryto płótnem z wierzchu, z tyłu i z przodu, gdzie było wejście. Przed budą stał ów okrzykujący i wołał:

— Tam ma głowę, gdzie zwykł być ogon, a ogon na miejscu głowy. Rzadkiej urody poczwara. Koń nigdy nie widziany!

Ludzie zaś stawali naokoło i gapili się.

— Jakże to? — dopytywał się jakiś chłop, z kobiałką pod pachą i laską w ręce — głowę ma nad zadniemi nogami a ogon nad piersią? Jakże tedy biega?

— Eee, co! — odpowiedział mu drugi — tumani i bzdury plecie!

— Kto nie wierzy, niech zobaczy! — zapraszał właściciel cudownego konia. — Grosz wejście! Hej, ludzie dobrzy, chrześcijanie! Panowie mieszczanie! Grosz wejście! Grosz wejście!

— To frant! — zawołał Pietrek z radością, poznając owego kuglarza z maclochu.

— Grosz wejście! — zachęcał frant. — Tam ma ogon, gdzie zwykła być głowa, a tam głowę, gdzie bywa ogon!

Ten i ów wszedł, zapłaciwszy grosz, i wychodził zaraz, spluwając:

— Tfu, do kaduka!

— Cóż tam? — dopytywali się ciekawi przed budą.

— Tfu! — odpowiadał, i zaczerwieniony, zły, prędko przepadał w tłumie, a frant dalej wołał i zapraszał.

Pietrek się podsunął, ale frant go nie chciał puścić.

— Dam grosz! — zawołał Pietrek.

I tak nie chciał puścić.

Pietrek, tem bardziej zaciekawiony, koniecznie chciał się dowiedzeć, co kryje w sobie ta buda. I wypatrzywszy chwilę, odciągnął ile się dało z boku płótno i przez szparę zapuścił oko w głąb.

W jednej chwili spostrzegł to frant i inni żacy: ten skoczył odpędzać, a żacy odciągnąć towarzysza na czas.

Pietrek śmiał się jak szalony. Frant stanął i groził mu:

— Milcz jeno, coś widział!

— O, o, o! — śmiał się Pietrek — cóżeś to wychytrzył!

— Milcz jeno!

— Co tam było? — dopytywali się żacy, a ludzie zaciekawieni cisnęli się do budy i płacili grosze.

— Rzecz jest możliwa — mówił doktór. — Zobacz Arystoteles, de natura animalium, Plinius, Plautus i inni.

— Nigdym takiego konia nie widział — rzekł Stach.

— Premissa taka może być dobra — ale nie znaczy, że koń taki urodzić się nie może — odparł doktór. — Vide dzieła dawne. Prawa przeciw temu niemasz, jeno zwyczaj. Zwyczaj zaś zmienny jest w swej istocie, in essentia.

— Czy nie jesteś, mistrzu, doktorem prawa? — spytał Stach, któremu jakiś plan snuł się po głowie.

— Ten wniosek jest słuszny — rzekł doktór. — Premissa prima: mąż uczony, wymowny, rozważny. Premissa secunda: doktór, jak z szaty widać. Conclusio...

Wtem wielki krzyk przerwał doktorowi w najciekawszem miejscu, miał bowiem właśnie wywnioskować, że jest doktorem prawa.

Albowiem wśród innych i ów chłop z kobiałką i laską zdecydował się obejrzeć cudacznego konia. Ale frant puszczał po jednemu tylko do budy. Poczekał więc, i zapłaciwszy wszedł. Wszedł i stanął w osłupieniu. Ujrzał stare konisko, ciemno-chude, jak wtedy dobrze mówiono, uwiązane za długi ogon do żłoba. Zresztą niczem nie różniące się od innych koni. Chłop otworzył usta i patrzył: nie mógł uwierzyć, że widzi zwykłego konia. Potem wpadł w gniew: zawrócił na miejscu i wypadł na dwór, do franta. Inni, przed nim, wstydzili się, że tak się dali złapać, i kryli się w tłum, ale chłop pędził prosto na franta z laską.

Frant uskoczył, ale i inni obruszyli się teraz przeciwko niemu, zwłaszcza, że jeszcze nie wiedzieli, co jest w budzie, i byli źli, że ich nie puszcza bezpłatnie.

Srogo-by frant zapłacił za swój dowcip, bo zewsząd pędzono na niego z kułakami. Ale Pietrek, poskoczywszy do budy, nagle zerwał płótno. Wszyscy mimowoli przystanęli, a gdy ujrzeli tak uwiązanego konia, zgłupieli. I nagle wybuchnął śmiech, który ogarnął wszystkich, że się omal nie kładli na ziemi. Wspominali, jak się musieli złapać ci, co grosz zapłacili za wejście. I śmieli się tem więcej.

O żadnem biciu franta już mowy nie było, ale on wiedział, że to sprawił żak, który zerwał płótno.

— Nie ufaj mowie, miej rozum w głowie! — zawołał do śmiejących się, aby widzieli, że nie on tu winien, tylko ludzka łatwowierność.

— Vivat! — krzyknął Pietrek, podrzucając swoją czapkę w górę.

— Bene — rzekł frant, odwiązując konia, i dodał do żaków: — dawniej wyście mnie gościli u Pyrnusza, teraz ja was.

Pozwijał płótno w wałki i włożył na konia.

— Idziecie z nim? — spytał doktór.—Szkaradna to wada maluczkimi gardzić: idę i ja z wami.

— Pójdź, pójdź, jegomość — frant na to — zda mi się, że to, coś powiedział, było z Ewangelji. Ja tyle nie umiem, bom nieuczony, ale jest tam, zda mi się, i takie miejsce: nie sieją, nie orzą, a przecie kaszę jedzą. Jako mówi naród pospolity: i ci chleb jedzą, co domu nie wiedzą.

— Francie!—odrzekł doktór surowo, poprawiając biret na głowie— nie uczonyś, to widać. Pismo mówi o ptakach niebieskich i o liljach polnych, iż je żywi i odziewa Ojciec niebieski, ale żaden komentator ani z pomiędzy doktorów, ani ojców kościoła nie mówi, by to była kasza. Chyba żeś miał na myśli mannę — a wtedy, choć możnaby mówić o allegorji i paralleli między temi dwoma tekstami, to daleko jeszcze do tego, by można sądzić, że ptaki niebieskie żywione są kaszą.

Tak rozmawiając, doszli do gospody Pyrnusza, gdzie frant konia swego postawił w stajni, a potem, gdy weszli do przewiewnej izby, zasiedli w pięciu przy stole.

Frant, zawoławszy na chłopca, kazał dać wina i chleba.

— Ja — rzekł Pietrek — zawsze mam pragnienie.

— Jest na to sposób — odparł frant — zgadnijcie.

— Pić — rzekł Hieronim.

— Jedno słowo za mało — powiedział frant. — A ty?

Stach pokręcił głową.

— Dużo pić — rzekł doktór.

— Prawda blisko, ale nie cała — powiedział frant. — Sposób jest ten, co na psy, by nie gryzły, jeno odwrócony: goń za psem, nigdy cię nie użre. Pij przed pragnieniem, a nigdy go nie poczujesz.

Chłopiec przyniósł kubki i wino, i ponalewał.

— Pijmy! — zawołał frant.

Wychylił i nalał sobie znów pełno.

— Takie mam przyrodzenie — wyjaśnił — że nie znoszę przed sobą ani pustego, ani pełnego kubka.

— Ja tak samo — rzekł doktór.

Stach tymczasem mrugnął na towarzyszy, że ma plan co do doktora. Czekali, co to będzie. Tymczasem słuchali. Doktór mówił:

— Widzę, żeś dobrego dowcipu i serca, dziwno mi, żeś frantem.

— Ba! — rzekł frant — dziwniejby mi jeszcze było być doktorem.

— Prawda-li to — spytał doktór — że radzi chwytacie, co możecie?

— Nie słuchałem; ja spowiedzi naszego cechu — odparł frant. — Ale wiem, że bywają złodzieje frantami. Czy i frantowie złodziejami, tego nie wiem.

— Zdybałem raz złodzieja — rzekł doktór — w nocy chodził po celce w collegium. (Tu Stach natężył uwagę). Odezwę się: „e, bracie, nie wiem, czego tu w nocy szukasz. Ja we dnie nic znaleźć nie mogę." Poszedł z niczem.

— W którem kollegjum to było? — spytał Stach.

— W iuridicum — rzekł doktór.

Stach, usłyszawszy to, utkwił w doktora oczy jak w obraz.

Frant powiedział:

— Nie wielkiego to snać był dowcipu złodziej, gdy się do kollegjalnej celi zabrał.

— Zabłądził pewnie — rzekł doktór — bo w innych więcejby mógł znaleźć.

— Nic innego — potwierdził frant. — Tchórzem musiał być podszyty i na małem przestawać. Ale, jak powiada przysłowie: „Kto kradnie śmiele, umie fortele". Raz złodzieje kram wyłupili w nocy, prawie już na świtaniu. Idą tamtędy cechmistrz ze strażą miejską, a owa kramnica otworzona: pyta, coby to było? Jeden łotr wyjrzy z miotłą: „Panie, umiatam w kramnicy, bo gospodarz umarł, i jużeśmy do domu wszystko wynieśli". Cechmistrz rzecze: „A wżdy żaden gospodarz nie płacze". Rzekł złodziej: „O panie, będąć jutro płakać". A prawdę mówił, bo nazajutrz gospodarz i z żoną płakał, nie znalazłszy nic w kramie.

— Mistrzu — rzekł Stach — azali to prawda, że znając zaklęcia, odkryć można złodzieja?

— Ha! na moją duszę! — zawołał doktór—w tem rzecz! Nie brak teraz bowiem takich, którzy wszelkie zaklęcia za nic mają, i wszystkie księgi, w których zebrana jest mądrość alchemików, odrzucają precz!

Ale trudnoć to wilka owcą uszczwać, motyką słońce zwojować! Jeszcze kiedyś owi mędrkowie wrócą do starych nauk.

— Co? — spytał frant. — Do kamienia filozoficznego?

— Rzekłeś—odpowiedział doktór i ciszej dodał:—a może z naszego miasta wynidzie ten, który ów kamień znajdzie?

Żacy słuchali zdziwieni, ale Stach zaniepokoił się. Może należało mu szukać kamienia, a nie księgi? Spytał więc:

— A co daje ten kamień?

Doktór podniósł palec do góry, aby zważyć swoje słowa, i po chwili odpowiedział:

— Z cnót jego wszystkich przedniejsza jest ta, że wszystkie duchy, złe i dobre, jak psy panu, tak muszą być posłuszne temu, który tego kamienia ma choćby okruszynę.

— Tak—rzekł frant.—To pokazuje także historja króla Salomona, który wszystkie djabły do kotła zamknął.

— Jak? — spytał doktór.

— Onego czasu — zaczął frant — król Salomon miał ten kamień, i z natchnienia boskiego poznał tę jego moc przeciw duchom. Wraz obmyślił, jak jej użyć można, by to nie tylko jego królestwu, ale i całemu światu posłużyło. Kazał tedy kocieł mosiężny uczynić, tak wielki, iżbyś nim cały Kraków i z murami nakrył. Tyle że był kręglejszy, ale mniejsza z tem. Do niego zaś pokrywę bardzo szczelną, i zdjąwszy pokrywę, kazał kocieł wpuścić w dziurę bardzo głęboką, umyślnie wykopaną. Wtedy wziąwszy ów kamień dziwnej mocy, rozkazał djabłom, czartom, biesom, lichom, wszystkiemu, co jeno z tego rodzaju gdzie żyło, przyjść ku niemu. A najpierwby przyszli cesarze czterech stron świata, później królowie szatańscy, później książęta, panowie — wielka rada, dostojnicy, pułkownicy, rotmistrze, setnicy, dziesiętnicy, żołnierze konni i piesi, i tyle wszystkich, ile ich tylko było.

Tu gdy już przybyli, rozkazał im Salomon wejść do tego kotła, na dnie tej dziury bardzo głębokiej. Nieraźno im to było, i pewnie z żalem to czynili, ale przecie nie mogli oprzeć się sile kamienia, i powłazili wszyscy, chcąc nie chcąc. Wtedy Salomon kazał nakryć ich pokrywą i zalutować na moc. I zasypali kocieł ziemią, i nie zostało ani jednego, by najmniejszego djabła na ziemi.

Co za dobre czasy wtedy nastały! Ziemia sama rodziła, i najlepsze owoce. Wilki nie pożerały bydła, ani żaden inny zwierz, wszystko chodziło, jak trusie. Krótko rzekłszy, ziemia stała się jako raj, póki te djabły siedziały zakopane.

— No? — spytał doktór, gdy frant urwał, by się napić wina.

— Zda mi się przecie, że jakiegoś jednego, małego djabłęcia musiał owego dnia król Salomon zapomnieć. Skądby bowiem przyszła myśl tak szkodliwa, tak zgubna, w straszliwe klęski bogata, którą powziął

któryś z późniejszych królów, by na tem miejscu wybudować miasto warowne, wspaniałe, niezdobyte, z murami tak wielkiemi i tak pysznemi, jak nie widziano od czasów wieży Babel. Do tych murów trzeba było mieć fundamenty równie potężne. Zaczęli tedy kopać, a kiedy dość się wkopali, natrafili wkońcu na pokrywę, pod którą siedziały owe zastępy djabelskie.

— Ha! — zawołali kopacze — oto skarb ukryty!

I mieli się za najszczęśliwszych w świecie. Ale ta pokrywa tak była wielka i tak gruba, że nie mogli jej tak rychło podnieść, by się król o tem nie dowiedział. Ten cóż miał innego pomyśleć? Jeno to, co i jego kopacze. Taka jest jednomyślność ludzka, a choć ją rozgradzać stanami i czem chcieć, zawszeć się wkońcu odnajdzie. Ów tedy król, który słyszał, że jego przodkowie wielce bywali bogaci, nic innego nie myślał, jeno że się w tym kotle znajduje moneta niesłychana, w pięknych dukatach, jasnych jak słońce i że losy go obrały, by on te skarby znalazł. Niestety, niestety! Otóż chciwość ludzka!

Kazał więc co żywo ten kocieł otwierać. Tymczasem djabły w środku słuchały tego skrobania i tłuczenia, i ani wiedziały, co myśleć. Tak im się zdało, że pewnie ich proces już skończony, od czasu jak tam siedziały i że je teraz wyciągną, by powiesić.

A królewscy tymczasem rozbijali dalej tę pokrywę i tak pracowali, aż wyrwali dobry kawał. Nuż moi djabli do otworu, hej że ha! Dopieroż z wrzaskiem, z bijatyką, z pośpiechem! Aż król i ludzie padli na miejscu jak martwi. A djabli dalej na ziemię!

Ale ziemia bardzo się była zmieniła od czasu, jak ich nie stało. Tak że się wszystkie djabły odrazu zabłąkały. Żaden nie wiedział z jakiego jest kraju ani dunaju. Ale tak błądząc, nie zapomnieli swego rzemiosła i włosy na głowie stają opowiadać wszystko zło, wszystkie krzywdy, które wtedy biednym ludziom robili. Zamiast jednego zła, jak dawniej, wymyślili teraz tysiąc nowych, każde inne.

Ale mając dobrze w pamięci ów straszny dla nich kamień filozoficzny, pierwszą swą robotę zrobili u alchemików. Rozwalili im piece, potłukli tygle, rożki, szklanki, pozlewali i porozlewali wszystko, zsypali i rozsypali na cztery wiatry proszki, a nadewszystko pokazili ich księgi tak, że do dziś ani jeden dojść nie może, co i jak robić ma.

— A tak — dokończył frant swojej historji — nie zdaje mi się, by ten kamień czy u nas, czy gdzie indziej kto kiedy co upiec i usmażyć w tyglu zdołał.

— Pewnie, wolę już księgę — powiedział sobie Stach.

— Ta historja — rzekł doktór — zda mi się zmyśloną przez przeciwników kamienia filozoficznego. Zbyt w niej gładko skażenie ksiąg i pomieszanie wszelkich proszków i kruszców się okazuje.

— To niepewne jednak — odezwał się Pietrek. — Wolę ja taką szczęśliwość, której się po ludzku dobywa, niźli na te duchy i kamienie się spuszczać.

Hieronim siedział zasłuchany i myślał:

— Co to jest świat? Dlaczego się to wszystko dzieje, co się dzieje?

Ale Stach postanowił wybadać doktora, czy jest na pewno księga, „de omni re scibili" w bibljotece kollegjum. Rzekł więc:

— Mistrzu, a dużo ksiąg jest w bibljotece kollegjum twojego?

— Ba! — odpowiedział doktór z dumą — moc.

— Dobrego zawsze mało — zauważył frant.

— Wszystkie je znać musisz? — pytał Stach znowu.

— Aż nadto — odrzekł doktór. — Cóżeś, żaku, myślał?

Stach pokręcił głową.

— Tylko o prawie traktują? Innych tam niemasz?

— Są i o prawie, są i nie o prawie... są drukowane, są i dawne, pisane... Jest jedna bardzo wielka i stara, mnicha jednego...

Stachowi zaświeciły oczy. Spojrzał po izbie, po towarzyszach. Frant nucił jakąś piosnkę, i nalewał sobie wina. Pietrek o coś go pytał, śmiał się. Doktór w miarę jak pił, robił się ponury.

— Cóżeś się tak uradował? — spytał Stacha.

— Ach! — westchnął Stach — radbym je czytał.

— Przyjdzie pora — rzekł doktór pobłażliwie.

— Póty pora, póki ochota — powiedział frant.

— Dobrze mówi! — zawołał doktór, któremu wino już trochę kręciło w głowie. — Pijmy!

Nalał sobie wina i wypiwszy, rzekł:

— Hej, biedo, biedo koścista! Gonią cię ludzie, myśląc, żeś szczęście, aż ułowią i nic: jeno popiół a kość mają w ręku. A chcecie mnie posłuchać, żacy, tedy nie ścigajcie doktorskiego bireta i togi. Tak jako ten frant uczyńcie. Powieszą go kiedyś wysoko: ale nie jedno-li to, w ziemi być pochowanym, czy w powietrzu?

— A toś mnie dobrą przepowiednią uraczył! — rzekł frant.

— Niech ci, bracie, będzie na zdrowie — zamruczał tamten i wstał, by iść.

Żacy też powstawali.

— Dobre twoje wino — rzekł Hieronim. — Dziękuję ci za nie.

— Bywajcie zdrowi — powiedział frant. — Jadę jutro w świat dalej. Ale góra z górą jeno się nie spotka, a człowiek z człowiekiem często.

— O! toś nie tutejszy? — zdziwił się przykro Pietrek.

— Nie, z Gniezna; zostańcie z Bogiem, studenciki — rzekł frant.— Dobre z was pacholęta.

Pożegnali się i poszli.

Wyprawa po księgę.

We wtorek pod wieczór, Stach i Hieronim mieli się wymknąć z bursy Wszystkich Świętych, i dostawszy się w jakikolwiek sposób do bibljoteki collegium iuridicum, znaleźć ową księgę mnicha. Tak się ułożyli. Pietrek nie miał iść z nimi: gdyby trzech zabrakło, prędzejby to dostrzeżono i gorszeby to wywołało wrażenie. A Pietrek musiał teraz dbać o swoją reputację.

Jego dwaj towarzysze nie tracili sprawy z oka.

W poniedziałek obejrzeli miejsce i od frontu na Grodzkiej ulicy, i od tyłu, gdzie były mieszczańskie domy i ogrody. Stach dowiedział się także, gdzie trzymają księgi i które okno prowadzi do tej izby.

Senjorem bursy był magister Józef Konarzewski, Mazur. Niezły to był senjor i pozwalał studentom wieczorem wychodzić z dusznej bursy na cmentarz Wszystkich Świętych, leżący między bursą a kościołem. Zaraz obok stał murowany dom proboszcza, księdza Andrzeja Czarnkowskiego.

Żacy wysypali się na cmentarz. Na czele pędził Tomasz Pacanowita i Maciek z Szydłowca, Tomasz z Łagowic i mały Jerzy z Pienian. Stach i Hieronim zbiegli wraz z innymi.

Zaraz zaczęła się jakaś sprzeczka. Dwóch żaków zaklinało się przed trzecim, że nie oni mu potargali „Petra Hiszpana“, książkę cenną, choć starą i czarną od użytku. Mały Jerzy z Pienian stał obok: wiedział snać prawdę, ale patrząc, jak byli silni i o ile więksi od niego ci dwaj, przypominał sobie w myśli owe praeceptum Katona: maiori cede! co się na polski wykładało: mocniejszemu nie bróźdź! Nie mógł więc nic powiedzieć, ale chciał ostrzec mimo to przyjaciela, który owym już prawie wierzył, i zaczął mruczeć niby obojętnie:

Toć jest wtóre przykazanie:
Jezu Krysta miłowanie.
Imienia Bożego szanuj.
Darmo go nigdy nie mianuj.
Przeciw temu wszyscy grzeszą,
Co się ku przysiędze śpieszą...

Potem głośniej, wyraźnie:

Wiarają się, przysięgają:
O swą duszę nic nie dbają!

Choć przyjaciel jakoś nie odrazu zrozumiał, o co idzie, owi przecie, o których to było, w mig pojęli, i obrócili się do Jerzego:

— Co ty mruczysz, Litwinie? Odejdź! Idź precz! Ej, ej... byś nie oberwał czego!

Pietrek, słysząc, że jakaś sprawa się toczy, przybiegł i już brał w obronę Jerzego, widząc w nim cennego świadka.

Stach i Hieronim tymczasem wymknęli się niepostrzeżenie na ulicę przez płot.

W mieście już było prawie pusto. Rzadcy przechodnie wracali do domów. Słońce zaszło. Jeszcze tu i owdzie gdakała kura, drąc się, gdy ją służąca łowiła, aby zamknąć na noc. W ogrodach zaczynały śpiewać słowiki.

Żacy dobrali się wnet do jakiejś szopy, po której dachu można było przedostać się do okna bibljoteki.

Ta szopa rozdzielała dwie posiadłości. Po lewej stronie był ogród duży, gdzie kwitły jabłonie i śpiewały słowiki. Po prawej podwórze otoczone stajniami i chlewami. Oczywiście, niebezpiecznieby było leźć po strzesze od strony podwórza. To też długo wyczekawszy, by się upewnić, że w ogrodzie nikogo niema, puścili się żacy lewą stroną dachu, ostrożnie i pilnie bacząc, czy kto nie wyjdzie do ogrodu. Niektóre jabłonie stały tuż przy szopie i koroną swą zakrywały kawał dachu. W takich miejscach można było przeczekać, gdyby kto się zjawił na dole.

Właśnie Stach i Hieronim mieli opuścić cień gruby, którym ich osłaniała wysoka jabłoń, pochylona na dach szopy, gdy na dole w ogrodzie zabielała jakaś postać. Księżyc był na nowiu i niewyraźnie świecił. Żacy zatrzymali się bez ruchu.

Wkrótce ujrzeli, że była to dziewczyna, która szła między drzewami. Wyszła na jaśniejsze miejsce, obejrzała się. Stanęła nad krzakiem jakichś kwiatów wysokich i obrywała z nich gorsze listki. Teraz była tak blisko, że gdyby podniosła oczy, dojrzałaby żaków. Ale nie ruszała się. Stach już coś mruknął, nie mogąc się doczekać, kiedy będzie można pójść dalej. Ale Hieronim czekał, nie śmiejąc odetchnąć. Zdawało mu się, że poznał stojącą na dole. Trzymał ręką za gałąź jabłoni i nie miał siły jej puścić. Wtem dziewczyna bardzo cicho zaczęła śpiewać:

Miłuj miła, miłuj wiernie,
Miej to w sercu zawżdy pewnie,
Wiernie mienim, nie przemienim...

Urwała, nachyliła twarz do kwiatów i nagle uciekła.

— Uf! — rzekł Stach. — Białogłowskie zwyczaje. Teraz dalej!

Ale Hieronimowi, słyszącemu ten śpiew, zdawało się, że serce mu pęknie, tak wezbrało żałością, czy wdzięcznością świata. Nie wiedział, że są takie pieśni. Po chwili odezwał się:

— To była Bietka... Bietka...

— Prędzej-że chodź! — rzekł Stach.

Weszli przez okno do bibljoteki.

— Tam wyżej, — szeptał Stach — widzisz, muszą być starsze księgi.

— Wszystkie trzeba obejrzeć — odparł Hieronim, równie cicho.

Niektóre księgi leżały na osobnych pulpitach, przykute na łańcuszku. Inne na półkach, także wzięte na łańcuch.

— Zapalę kaganek — szepnął Stach. — Mam takie żglitko, że je ledwie znać.

Mdłe światełko ledwie dawało rozpoznać litery.

I zaczęła się wędrówka pracowita. Co za księgi! Prawo rzymskie, prawo kanoniczne, decretalia, statuta, pandekta, digesta, kodeksy, dyplomy... A stare! Pisane lasem kresek na kartach pergaminowych. Tytuły malowane farbami. Tu, owdzie, na dyplomie imię króla dawno zmarłego i pieczęć woskowa w deseczkach. W cichej nocy zdawało się, że cienie dawno pomarłe, wywołane czytaniem ich imion, spłynęły do ciemnej izby i stały wokół. Coraz żacy oglądali się ze strachem.

„Casimirus Rex“, „Vladislaus Rex“, „Casimirus Rex Poloniae, Magnus Dux Lithuaniae“, „Alexander Rex Poloniae, Magnus Dux Lithuaniae“, „Sigismundus Dei gratia Rex Poloniae, Magnus Dux Lithuaniae, Russiae, Prussiae, Masovitiae, Samogitiae, etc.“.

Oni tu gospodarzyli kiedyś. Dawali prawa, królowali. Teraz ich prochy śpią, sczezły. A ich cienie przechodzą do ich królestwa, zobaczyć co się z niem dzieje.

Coś się ruszało, coś bielało po bibljotece. Hieronim się oglądał, przejęty mrozem, czując jakby obecność duchów, gniewnych o wtargnięcie do cichej sali.

Wtem Stach wzruszonym głosem szepnął:

— Jest księga „De omni re scibili“ — patrz: o wszystkiem, o czem wiedzieć można... Księga napisana przez cesarza rzymskiego!...

Chciwie pochylili się nad kartami. Stach pochłaniał oczami znaki.

— Si felicitatem petis... — zaczął czytać — dążysz-li do szczęśliwości...

Wtem kaganek, błysnąwszy jaśniej, zgasł. Czerwono żarzył się koniec knota jeszcze chwilę, a cieniutka smużka dymu uciekała w powietrze.

— Cóż teraz robić? — jęknął Stach — zabrać jako tę księgę?

— Jak złodzieje? — rzekł Hieronim.

— Jeśli ty nie chcesz, tedy ja ją biorę — odrzekł Stach.

I począł targać łańcuszek. Ale ten trzymał dobrze. Stach, próbując go zerwać, pchnął któryś pulpit. Od nagłego rumoru skamienieli obaj żacy. Na dole pies zawył i począł ujadać. Ktoś się ruszył. Ktoś drugi pytał o coś zaspanym głosem.

Natychmiast obaj wyskoczyli przez okno na dach i przywarli je za sobą. Dachem pobiegli aż w cień najbliższej jabłoni, tam się skryli.

— Do bursy niema po co teraz wracać — rzekł Stach. — Trzeba tu przesiedzieć aż do rana.

— A co jutro powiemy senjorowi?

— Żeśmy nocowali u Samuela... Albo u drugiego... Choć co to pomoże?...

Przesiedzieli aż do świtu. Ale z owego podwórza wyprawiały się w drogę jakieś bryki. Nie można było spuszczać się z dachu, bo na ulicy uwijali się koło nich ludzie i psy. Tu już i ptaki poczęły świergotać. Położenie było coraz gorsze. Lada chwila mogli ich dostrzec na dachu. Wreszcie, nie dbając o nic, spuścili się na płot ogrodu, a stamtąd na ulicę. Słońce właśnie weszło na niebo.

Gdy przechodzili przed drzwiami medyka, Bietka stała na progu. Stach, który nieraz od niej dostawał rano jedzenie, przystanął i zagadnął ją:

— Ej, Bietko! Widzi mi się, że kogoś miłujesz!

— Króla! — odrzekła, śmiejąc się. — A czemu bez garnka chodzisz?

— Króla? — powtórzył Stach, zbity z tropu. — Zygmunta Augusta?

— Ej, nie! — zawołała Bietka — nie tego. Byś miał garnuszek, dałabym ci pierwszemu dziś, a tak, nie dostaniesz. Idź, a śpiesz się!

Hieronim słuchał z boku, zły na Stacha, że staje po drodze, zamiast się śpieszyć.

— Co stajesz! — zawołał ostro, nie zważając umyślnie na Bietkę.— Zostawaj-że sam, jak chcesz, ja idę. Z babami...

Stach odwrócił się i poszedł za nim.

Zaczęli biec.

Ale na pierwszym zakręcie spostrzegli rzeczy dziwne: mnóstwo żaków ze wszystkich ulic szło, rozprawiając, wszyscy w jedną stronę. Także mieszczanie widnieli między nimi.

Stach zatrzymał pierwszego scholarza:

— Co się stało?

— Porąbali studentów! — odrzekł ten.

— Gdzie?

— U Wszystkich Świętych w bursie.

— Kiedy? Kto?

— Wiem to?... Idźcie, to zobaczycie!

— Boże! Boże! — zawołał Stach. — Biegnijmy!

Zabójstwo.

Przed bursą tłum był już tak gęsty, że ledwie można było się przecisnąć.

Dom taki gwarny, taki rządny, teraz stał otwarty i wydany na ciekawość tłumu. Z wnętrza słychać było jęki, wygrażanie. To znowu następowała cisza, a jakiś głos coś opowiadał i opowiadał...

Stach i Hieronim przedostali się do wnętrza. W sieni, w korytarzu, stało pełno obcych scholarzy. Wszyscy, zestraszeni, przejęci.

— Trzech zabili.

— Nie, ośmiu.

— Porąbali ośmiu, jeden zabit.

— Leży tam, w izbie.

Hieronim machinalnie przeciskał się między nimi za Stachem. Stach szedł, gdzie był największy tłum, do izby na górze.

Weszli. Izba była pogrążona w ciemności, okno zakryte. Zwarty tłok scholarzy stał w szepcie modlitw:

— Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci... Requiem aeternam... In saecula saeculorum amen...

Szmer modlitw i wzdychania załamujące się w łkaniu szły z wnętrza.

Hieronim ujrzał, że palą się świece, nisko, koło ciała leżącego na stole. Ktoś przy nim zapytał:

— Kto zabit?

Jakiś głos obok odpowiedział:

— Jerzy z Pienian.

Hieronim oniemiał:

— Jerzy! Jerzy? — powtarzał przerażony.

— Jakto Jerzy? Jerzy z Pienian? — zapytał wkońcu.

Brzmiało mu jeszcze w pamięci:

Wiarają się, przysięgają...
O swą duszę nic nie dbają! —

Tak Jerzy mówił wczoraj w wieczór. A teraz zabity i to tak zostanie na wieki.

Poraziło to jego myśli. Zacy poruszali się powoli, przesuwali. Dotarł bliżej: oto on leży!

Stanął i patrzył. Biedny chłopiec był bardzo blady. Głowa odchylona na bok, oczy przymknięte, szyja i ramię czarne od krwi. Włosy jasne zwichrzone, wydawały się jakieś takie jakby żywe, trochę kędzierzawe, dziecinne zwykłe włosy.

Hieronim stał i nie był w stanie się ruszyć. Powtarzał w myśli:

— Tyś to, Jerzy? Tyś to, biedny Jerzy? Cóż ci się to stało? Cóż ci to, nieszczęśliwy?

Odpowiedział mu spokój wieczysty śmierci.

Hieronim niknął w tem, tracił się. Jak to jest? Co to jest? I znowu nic, tylko spokój wieczysty. Myślał bezładnie: dusza odeszła... Ale zatracał się cały w czemś, co tu, przed nim było, takie nieodwołalne, takie straszne, takie bliskie, łatwe, proste, a tak oddzielające od wszelkiej ludzkiej rady, od wszelkiej żywej pomocy... Żałość bez słów, bezradna, nieznośna, przytłaczała go całego.

Tymczasem nowi napływali. Wnosili tumult. Na dole krzyczano.

Robił się ścisk, ruch, gwar w korytarzach.

Nagle rumor się zwiększył. Przeciskał się bakałarz Odachowski, mieszkaniec bursy, za nim kilku innych.

— Odśpiewać Requiem i idziem ze skargą do króla! — szerzył się rozkaz po tłumie.

Wnet zabrzmiała pieśń żałobna.

Ledwie porwały się pierwsze słowa z ciżby scholarzy, a już wybuchł płacz niezmierny. Łkanie tamowało śpiew. Ale pieśń ciągnęła się i ciągnęła, jak jęk z ogromnej piersi.

...et lux aeterna lucet ei...

— Zemsta za krew niewinną! — krzyczano na dole w tłumach przed bursą.

— Krew za krew! Czarnkowskiego pod topór! Da gardło!

Pieśń się skończyła, i naraz, z łomotem kroków i rumorem głosów ciżba studencka ruszyła się ku wyjściu.

Wyszli na ulicę. Tłum urósł do dziesiątków setek, zalewał czarnem mrowiem sąsiednie uliczki. Teraz pociągnął cały ku zamkowi.

Hieronim, idąc w tłumie, słuchał opowiadania:

Wczoraj wieczorem, bawiąc się na cmentarzu, żacy ujrzeli idące ulicą dwie kobiety, za któremi poczęli krzyczeć i rzucać przezwiska.

— Poszły na probostwo! — opowiadał Pietrek szybko — i ledwie weszły, aż wypadają na cmentarz pachołkowie Czarnkowskiego z mieczami,

z nożami... Tacy byli srodzy, że ani pytając, my wszyscy biegliśmy do bursy, byle za sobą drzwi zatrzasnąć i zatarasować. Nimeśmy dopadli drzwi, a oni już na nas, i za nami do domu. My rozbiegamy się, kryjemy, gdzie kto może. Oni kogo jeno gdzie dopadli, rąbali, siekli. Jerzego dojrzeli za piecem i zabili...

— Bo Czarnkowski rozjudził się za owe dwie...

— I bez nich... Mało raz wysyłał na nas pachołków, byśmy precz szli z cmentarza? Jeno w bursie cały dzień i noc zdychać...

— Da gardło! Nie będzie ta krew niepomszczona!

— Bo cóżby oni zrobili bez jego rozkazu! Czarnkowskiemu w to graj, kiedy mu się pozór taki nawinął. Ale odpowie teraz! Oj, będzie mu dobrze!

— Czemu nie do biskupa ze skargą? — odezwał się nagle Pietrek.— Czarnkowski przed biskupi sąd należy.

— Swój swego nie ruszy! — odpowiedziano.

— Tak wielkie zabójstwo przed samego króla zanieść trzeba. Król jeno tu pomoże.

— A rektor? — rzekł inny.

Zakrzyczano go:

— Rektor? Ten i przed biskupem już nie mocny.

— Król jeno sam! Król jeno pogromi Czarnkowskiego.

Tłum płynął powoli. Mieszczanie przestraszeni dowiadywali się po drodze, co się stało. Pochód szedł i szedł. Ani się wydawało komu, że to tyle tego w mieście jest. Mieszczanie kiwali ze współczuciem głowami, mieszczki się żaliły:

— Nieboże! Zarąbali go tak w obcem mieście! To ci matka zapłacze, jak się dowie!

Już czoło pochodu weszło na Wawel i na dziedziniec zamkowy.

Zwiększyły się wyrzekania, zawodzenie:

— Sprawiedliwości! Krew za krew! Któż pomści naszą krzywdę? Krew niewinna woła o pomstę! Gardło niech da, zbójca! Wiedźcie nas przed króla! Do króla!

Dworscy ludzie, zrazu zdziwieni, stali bezczynnie, słuchając krzyków. Ale gdy ciżba scholarzy rozlewała się coraz szerzej i zapełniać poczęła cały dziedziniec, ruszyli się wkońcu, aby zrobić porządek.

— Pójdźcie precz! Nie wiecie to, że król jest na zamku?

Zaczęły się żwawe kłótnie z żakami w różnych punktach podwórza.

— Precz, mówię! Rózgami was przepędzim.

— Sam precz, psubracie! Do króla idziemy, a z tobą nam nic!

— Ustąpcie, pókim dobry! Żywo!

Pchali co mniejszych żaków, ale starsi, tęższi, poczęli się stawiać, bić.

Tłum ciągle rosnący wołał nieustannie o króla i sprawiedliwość.

W zamku tymczasem uczynił się rumor. Dworzanie biegli patrzeć, ci z ciekawości, owi aby przywrócić spokój.

Ną kolumnowy krużganek, będący na wysokości pierwszego piętra, wyszła kupka dworzan. Dwóch z nich poczęło dawać znaki rękami ku czarnej ciżbie scholarskiej, krzyczącej różnemi głosami na dole, aby się uciszono i posłuchano. Tłum zwolna się uspokoił, bójki wszczęte ustały. Tylko zdaleka, z tylnych szeregów, gdzie stały tłumy aż do Kanonicznej ulicy, niosły się ciągle zmieszane krzyki.

— Do kogóżto z takim wrzaskiem a gwałtem idziecie, nierozumne żaki? — zawołał wówczas wyższy z dwóch dworzan z czarną brodą. — Nie wiecie-li, że majestatowi królewskiemu cześć i przystojny posłuch należy? Tak-li to, jak Tatarzy zamek nachodząc, rozumiecie, iżby was przed oblicze królewskie dopuścić możono, bez ładu, bez składu, pokrzykujących, prawo, jak owa gawiedź na jarmarkach? Precz! Macie-li chęć jakoweś żale, alboli skargi przed oblicze królewskie zanieść, tedy czyńcie to porządnie, po ludzku, przystojnie, z dobrym rozmysłem a przygotowaniem. A teraz precz! Precz idźcie, a bez wrzasku, bez krzyku!

Zakołysał się tłum i głuchy mruk wstał między żakami.

— To podkanclerzy — mówili niektórzy. — Mikołaj Grabia. Trzyma z biskupem!

— Precz nas pędzą! Niema sprawiedliwości! Tak-li to wolno studentów krzywdzić, rąbać, zabijać bez kary? Biada nam, ubogim!

Rozżalali się, jedni drugich; już zawodzili głośno ci i owi.

— Precz! Precz! — krzyczała tymczasem służba dworska, znów odpychając zwartą masę żaków.

— Kędyż teraz pójdziemy? Gdzie kara za rozbój? O, nieszczęsne nasze życie! Wolno nas rąbać! Wolno zabijać!

Zawodząc, tłum się cofał.

— Za psów nas mają! — krzyczał zuchwale jakiś student.

Hieronim rozglądał się w ciżbie, nikogo prawie nie znał. Wszyscy narzekali. Aż, zdawało się, że ciężej teraz iść było; i z większym żalem schodzili z zamku, niż szli przedtem.

Zeszedłszy na podzamcze, tłum się zmieszał z owemi setkami scholarzy, którzy dla ścisku nie dotarli nawet do bramy zamkowej. Z ust do ust podawana, rozniosła się w okamgnieniu wieść o odprawie, którą skarżącym się dał podkanclerzy.

Było to jakby nowe pchnięcie, nowa rana: odpędzono ich stamtąd, skąd oczekiwali sprawiedliwości i pogromienia mordercy.

Teraz, jak wezbrana rzeka począł tłum odpływać ku miastu wszystkiemi ulicami, głównie Kanoniczną i Grodzką.

— Co wam na zamku rzekli? — rozpytywali się mieszczanie, widząc żaków, wracających w takiem rozżaleniu.

— Ani nas słuchać nie chcą! — wołali żacy. — Niemasz kary! Niemasz sprawiedliwości!

— Jak psów nas wypędzili! Nikt się za nami nie ujmie!

Hieronim, słuchając tych odpowiedzi, rozżalał się także, choć jednocześnie myślał, że przecież podkanclerzy powiedział, żeby wnieśli skargi swe, jeśli chcą, jeno bez tumultu i krzyków. Ale nikt o tem ani wspomniał. A jeśli kto i wspominał, jak Hieronim, to nikt się z tem nie odzywał. Jakby chcieli, aby im nic żalu nie psuło. Zwłaszcza, że mieszczanie litowali się miłosiernie i żałowali pokrzywdzonych, współczuli im.

Ale gdy doszły tłumy znów przed kościół i bursę Wszystkich Świętych, nagle jakby wiatr nowy powiał. Oto oni zawodzą i jęczą, idą do króla, od króla, użalają się mieszczanom; ale Jerzy z Pienian leży tu zabity, jak i przedtem, i nic go nie wskrzesi.

Gdy ujrzeli znów bursę, jeszcze z krwią nieobeschłą po ścianach, rozbite drzwi, porąbane okna, wybuchł nagle taki żal prawdziwy, takie łkanie, taki płacz wszędzie, że i mieszczanie, którzy byli w tłoku, nie zostali z suchemi oczami.

Dom proboszcza, kanonika Czarnkowskiego, od rana zamknięty był na głucho, ani żywy duch się nie pokazywał. Ale i tak żacy wśród płaczu wygrażali ku owej stronie.

Hieronim stał w tłoku przed bursą, już znowu zapełnioną scholarzami. Nagle jakiś ruch uczynił się wokół niego. Usuwając się wraz z innymi, obejrzał się, o co idzie, i ujrzał, że z bursy wysypują się scholarze, którzy tam dopiero co weszli. Za nimi — cóż to? Pietrek, Tomasz z Łagowic, Błażej z Wyszogrodu, jeszcze inni, wyszli, niosąc na ramionach, jak tarczę, płytę stołu, a na niej trupa Jerzego...

Widząc to, ciżba przed szkołą wybuchła nowym lamentem. Niewiadomo skąd, poczęto wołać:

— Na rynek! Na rynek!

Hieronim znalazł się tuż przy niosących. Gdy ruszali, mignęła mu zestrachana i bezsilne znaki dająca postać magistra, który uczył Katona w szkole, i senjora obok niego. Ale nie zwrócił na nich uwagi, jak i nikt inny.

Tymczasem, jakby uśpiony na jawie tym ciągłym ruchem w tłumie, zanurzył się w jakieś zamyślenie obojętne, jakby zapomniał, co się stało i poco dzieje się to wszystko, co się dzieje. Słuchał uważnie krzyków nieustannych. Tuż obok niego szedł jakiś żak spłakany. Miał twarz piegowatą, rude włosy, i coraz to rękawem ocierał oczy i zawodził od chwili do chwili:

— Oj, oj, oj! Zabili go, zabili! Zabili go, zabili! Oj Boże, Boże! Och!

Dalej szedł Pacanowita, który wczoraj o mało się nie bił z Jerzym o ową książkę, którą potargał drugiemu. Ten stąpał ciężko, ze spusz-

czoną głową i łkał rozpaczliwie. Plecy trzęsły mu się od płaczu, jakby go febra mordowała. Wciąż wzdychał aż z jękiem, i znów szarpało go łkanie.

Hieronim wodził po nich oczami: nagle spostrzegł, że głowa Jerzego obsunęła się na brzeg deski i chwieje się bezwładnie w takt kołysania się stołu. Przyśpieszył kroku, by się zrównać, i odsuwając głowę trupa, by się nie chwiała, zapytał:

— Poco wy go niesiecie? Kędy?

— Niech zna miasto naszą krzywdę! — odpowiedział Pietrek twardo.

— Niech widzą! Niech na własne oczy zobaczą!

— Czarnkowskiego, zabójcę, niech osądzą! Niech wiedzą, co sprawił!

— Kto go pomści, gdy sądu na zabójcę naznaczyć nie chcą? Niech choć miasto go opłacze! Niech zobaczą, jak nas krzywdzić można!

Obok zjawił się Samuel.

— Sądu naznaczyć nie chcą, z zamku nas pędzą. Ale jest rada i na to! — zawołał głosem, który odrazu zwracał ku niemu głowy.

— Porąbać Czarnkowskiego! — krzyknął z boku Rafał z Sempolna.

— Nie! — wołał Samuel. — Na rynku ogłosić infamję Czarnkowskiego!

— I co? — rzekł Pietrek. — Ani go obejdzie! Tyle, cobyś ku księżycowi gwizdał!

— No! — odpowiedział Samuel — co będzie, to obaczycie potem!

— Iście! — potwierdził student jakiś, z czarnemi oczami pod bardzo szerokiemi, niskiemi brwiami, blady, chudy — tego się bezkarnie nie puszcza, by kanonika katedralnego na rynku infamisem głoszono. Tedy proces będzie pewny, ale cóż stąd?

Żacy, wokoło idący, słuchali z napiętą uwagą. Tłum dalej huczał ciągle. Mieszczanie, ciekawi i przestraszeni, cisnęli się, by widzieć zabitego.

— Czarnkowski, kanonik, zabić go kazał! — krzyczeli im w odpowiedzi scholarze. — Zbój, infamis!

— Czarnkowski studentów porąbał! Nie wiedzieć, ilu z tych, co posieczeni leżą, wstanie zdrowo...

Ale Samuel krzątał się koło wykonania swego planu.

— Na każdym rogu stawać! — rozkazał. — Będziem tam ogłaszali Czarnkowskiego kanonika mordercą i zbójcą i żądali sądu.

Wtem w tłumie dostrzeżono woźnego. Spostrzegł go Rafał, który go znał.

— Bierzcie go! — krzyknął, rzucając się ku niemu.

— Co?... Co ci do niego? — wołali inni, już biegąc.

— To woźny sądu ziemskiego! — krzyknął Rafał, szamocąc się w ścisku.

Natychmiast pojęli inni, co za korzyść w tem się mieści. Schwytano woźnego. Teraz już owo ogłoszenie winy Czarnkowskiego inaczej

będzie wyglądało: nie żacy, nie studenci, ale osoba urzędowa, i do tego powołana swoim urzędem, dokona ogłoszenia.

Ale woźny słuchać nie chciał o niczem. Wyrywał się, jak źrebiec, gdy go pierwszy raz kuć mają. Pobił, poturbował co bliższych. Rzucili się inni, tęższi. Rafał walił, gdzie popadło. Dwóch innych wzięło woźnego pod ramiona i tak go napół wlekli, napół nieśli. Samuel mu wdrażał, co ma powiedzieć:

— Kanonika Andrzeja Czarnkowskiego mężobójcą masz ogłaszać! Kanonika, proboszcza u Wszystkich Świętych... którego rozkazem student niewinny, Jerzy z Pienian, zabit owo leży! Za gwałt, mężobójstwo i praw zelżenie i złamanie, kary i sądu masz żądać!

Stanęli na rogu pierwszym. Uciszyły się co bliższe rzesze. Woźny, pchnięty naprzód, ogłosił:

— Ludzie dobrzy, chrześcijanie! Panowie mieszczanie! Iżby wiadomo było wszystkim, ogłaszamy: ksiądz Andrzej Czarnkowski...

— Kanonik! — podpowiadał mu Samuel, gdy woźnemu głos uwiązł w piersi.

— Kanonik... i proboszcz u Wszystkich Świętych... mężobójca, gwałtownik, praw lżyciel... winnym śmierci tego tu leżącego nieboszczyka, Jerzego z Pienian, studenta, ogłoszon i wszystkim wiadomy być ma...

Woźny, jak po gorącej kąpieli, trząsł się i język mu się plątał. Gdy skończył, jęk scholarzy wybuchnął znowu i lżenie Czarnkowskiego, złorzeczenie mu i wyklinanie, poczem pochód ruszył.

Tłum mieszczański tak zwarty, że więcej ani myszby się niezmieściła, zapełniał rynek, ledwie dając się posuwać scholarzom, otaczającym trupa.

Całe miasto już wiedziało o porąbaniu scholarzy. O niczem innem nie mówiono w sklepach, w warsztatach, na ulicach, w domach.

Najbardziej, oczywiście, zdarzenia, które tak szybko się toczyły od wczoraj wieczór, przejęły kapitułę. Kanonicy oburzali się na zuchwalstwo żakowskie, głoszące tak bez namysłu księdza Czarnkowskiego winnym mordu. Ale nurtowała i ciekawość: jaka naprawdę była rola jego w zabójstwie? A nuż studenci nie mylili się?... Rozprawiano między sobą.

Kapituła w owym czasie niemal jawnie dzieliła się na dwa obozy. Jedni trzymali z biskupem Samuelem Maciejowskim, kanclerzem i królewskim stronnikiem, miłośnikiem greckich i rzymskich pism, lubiącym życie jasne, mądre, pogodne, rozmowy z przyjaciółmi w ogrodach prądnickich, przy pałacyku włoskim, który tam sobie zmurował; umiejącym każdą rzecz powiedzieć tak, jak jej się należało, i lubiącym dobre powiedzenie i piękny język ponad wszystko. On to na pogrzebie starego króla Zygmunta I-go, w poprzednim, 1548 roku, miał mowę żałobną

o nim po polsku, z niemałem zgorszeniem starych i młodych łacinników. Na ich przedstawienia, jak mógł wobec tylu zagranicznych książąt mówić po polsku, czego oni nie rozumieli, zamiast po łacinie, odrzekł: iż słusznem mu się zdaje, aby polskiego u Polaków króla polskim chwalił językiem.

Druga część kapituły z przyczyn rozmaitych nie trzymała z biskupem: już to, że związani byli ci kanonicy z możnemi domami pańskiemi, jak z Kmitą z Wiśnicza, albo ze Zborowskimi, z Górkami, którzy to panowie wszyscy, burząc się na ostatnim sejmie przeciw małżeństwu króla z Barbarą Radziwiłłówną, najzagorzalszymi byli przeciwnikami kanclerza, broniącego króla i jego żony. Już też i to niemało ważyło: nienawistny był kanonikom ów duch nowy, owa ogłada włoska na dworze biskupim, owa greczyzna, owa łacina świecka. Byli to kanonicy starej daty, tem bardziej gorzką nienawiścią wezbrani, im powszechniej wokół nich, i to wśród duchowieństwa, szerzył się duch nowy.

Ksiądz Czarnkowski był takim kanonikiem, pełnym nowych obyczajów.

Żył on w dobrej przyjaźni z biskupem Maciejowskim i smakował w starożytnych dziełach greckich i rzymskich. Przytem był bogaty i miał potężną rodzinę w Wielkiej Polsce. Przewidywano, że przy lada wakansie przejdzie na jakieś biskupstwo; może poznańskie.

Oprócz tego, co najwięcej było solą w oku innym, niewiele się troszczył o to, co o nim trzymali nieprzyjaźni kanonicy. Nie dlatego to robił, by go zły język dosięgnąć, ani dotknąć nie mógł, jak kanonika Stanisława Górskiego, najuczeńszego z kapituły katedralnej. Nie dlatego także, by się śmiał i szydził z zawistnych, jak kanonik Jakób Uchański, referendarz koronny od spraw duchownych, którego ciętości i gotowości w słowie wszyscy się bali. Ksiądz Czarnkowski zbywał wszystko cierpliwem milczeniem, obojętną bezwładnością.

To też teraz, gdy gruchnęła wieść o niesłychanych zdarzeniach w bursie Wszystkich Świętych, kapituła aż się zatrzęsła, by ul, w który wrzucono kamień. Zwłaszcza zaś obóz, przeciwny biskupowi.

Dziekan kapitulny, ksiądz Stanisław Bork, natychmiast pojechał w odwiedziny do archidjakona, księdza Bartłomieja Gałkowskiego. Zastał tam już kanoników: Rafała Wargawskiego i Mateusza Drzewickiego.

— Słyszeliście, wasze moście? — zapytał, ledwie wszedłszy do izby, gdzie siedzieli gospodarz z gośćmi, pijąc dobre wino seremskie i srożąc się na zuchwalstwo żaków i złe owce w kapitule.

— Ba, ba! miły panie! — zawołał archidjakon, wstając z trudem, gdyż był i stary i bardzo opasły — niesłychane rzeczy! Jakże, winien-li Czarnkowski, czy nie?

Dziekan siadł i biorąc za kubek i za gąsiorek z winem, odpowiedział:

— Maczał-li ręce w tem zabójstwie, czy nie, winien jest całego tego rozruchu i niepamiętnego od wieków w mieście wzburzenia.

To rzekłszy, nalał sobie wina aż po brzegi, ostrożnie.

— Nie słuchał — rzekł kanonik Wargawski, siwy i chudy — gdy go przez usta już to jegomości, już to księdza archidjakona mądre a Bogiem natchnione rady dochodziły.

— Co tam, co tam! — rzekł dziekan, spiwszy trochę wina — nie w tem rzecz. Gdzie głowa chora, tam członki zdrowe być nie mogą.

Wszyscy zrozumieli, że mówi o biskupie.

— Ba, ba! — zawołał archidjakon — głowy ucinać nie przystoi, ile że chora, czy nie, przecieć najzdrowiej, gdy na karku zostaje. Członki, insza sprawa: jako poeta Ovidius powiada: sed immedicabile vulnus ense recidendum est, ne pars sincera trabatur... mieczem uciąć zły członek każe, by snać innych gorączką swą nie zaraził.

— A żacy? — przerwał mu kanonik Drzewicki.

Żachnęli się wszyscy, jak ukłóci.

— Rozpusta! — zawołał ksiądz Wargawski. — Takiej swawoli darmo puścić się nie godzi. Jakikolwiek Czarnkowski jest, ale jest księdzem, ale jest kanonikiem: owi zaś zuchwalcy bez wstydu najgorsze potwarze na osobę jego miotają.

— Oj, rózgi, rózgi! Oj, rózgi! — rzekł po ojcowsku archidjakon, ręką robiąc ruch odpowiedni.

— Mało rózgi! — zawołał ksiądz Drzewicki — mało wieże na bezecników! Po całem mieście mężobójcą go głoszą!

— Pax, pax! — odezwał się powoli z małym i delikatnym uśmieszkiem dziekan, głęboko cofnięty i rozparty w szerokiem krześle, wodząc mądremi oczami czarnemi, trochę przymkniętemi, po swoich kanonikach.

Ci obrócili się ku niemu, a on, jeszcze się uśmiechnąwszy, umoczył usta w winie i powiedział zcicha:

— Zda mi się, domini canonici, że nie tak to nieszczęśliwe jest zdarzenie, jak się nam zrazu wydawać mogło. I owszem, ja w niem wyraźny palec Boży upatruję. Nierozumne żaki narzędziem są w ręku Pańskiem, by pychę i hardość złych sług Jego poskromić.

— Aleć to im na sucho ujść nie powinno! — upierał się kanonik Drzewicki, cały czerwony od złości. — Na kapitułę się porywają!

— Obaczym! — rzekł dziekan. — Wielce to będzie zajmujące widowisko, owa Czarnkowskiego bogacza w sądzie obrona przeciw temu ubóstwu szkolnemu. Zda mi się, że sporo mu potem tej jego pyszki a wspaniałości ubędzie. A i innym też.

Wtem drzwi się otworzyły i wpadł zdyszany pachołek.

— Co znów? — spytał archidjakon. — Pali się gdzie?

— Nie, jegomość! — odrzekł. — Ino studenci trupa po rynku obnoszą.

— Jezusie! — krzyknął archidjakon. — I co?

— A księdza kanonika Czarnkowskiego na wszystkich rogach mężobójcą obwołują.

— Ha! — krzyknął ksiądz Drzewicki, prawie się dusząc — to.. to... no!...

— Pomsta Boża nad bezbożnymi — rzekł dziekan.

Uśmiechnął się znów i dodał, zacierając powoli ręce:

— Ale co zrobi Maciejowski?

Gdy tak radzili kanonicy, biskup tymczasem, uwiadomiony o studenckim pochodzie w rynku, co żywo wysłał dwóch swoich dworzan, by przemówili do rozumu scholarzy i nakłonili ich do pochowania zabitego.

Właśnie, gdy przybyli dworzanie biskupa, pochód, obszedłszy rynek, wybierał się na ulicę Wiślną.

— Od biskupa! Od biskupa! — przebiegła wieść przez ciżbę, tłoczącą się wokół niosących zwłoki Jerzego.

Pochód stanął.

Żacy cisnęli się i wspinali jeden przez drugiego, aby usłyszeć lub choć zobaczyć, co się teraz stanie.

Wysłańcy biskupa, przepychając się z trudem przez tłum, dotarli aż do noszów. Hieronim był tuż i widział ich wybornie. Serce biło mu mocno: biskup miał tak wielką władzę i powagę, że mógł we wszystkiem rozkazywać, zarządzić, karać. Tymczasem już bakałarz, Mikołaj Odachowski i Samuel za nim przysunęli się ku dworzanom.

— Chrześcijanie jesteście, czy nie? — zapytał jeden z dworzan ostro. — Z trupem zabawę sobie czynicie? Nie wiecie-li, co powiedziane jest: „umarłych grzebać,“ a wy miast tego po mieście nieszczęśliwego zwłoki obnosicie?

Na to Mikołaj Odachowski odpowiedział:

— Nie o zabawie myślimy, gdy towarzysza naszego zwłoki miastu ukazujemy. Kto krzywdę naszą pomści?... Gdzie sprawiedliwości szukać mamy? Komu się skarżyć?

— Dość! — przerwał mu drugi dworzanin — nie po to nas tu jegomość biskup wysłał, byśmy waszej oratorskiej sztuki doświadczać mieli.

Bakałarz Mikołaj obraził się, poczerwieniał:

— Nie oratorska to sztuka, jeno mowa zwykła! Z zamku nas pędzą, przed oblicze królewskie nie dopuszczają — gdzież się udamy?

— Na rynek z trupem?... — zadrwił dworzanin. — Bezeceństwo! Rozkazuje wam jegomość biskup, byście trupa natychmiast pogrzebali i tumultu tego zaprzestali. Nie bójcie się, nie ujdzie wam to płazem, co czynicie.

Zrozumieli, że idzie o oskarżenie Czarnkowskiego przez woźnego.

Gdy bakałarz Mikołaj zmilkł, spuszczając głowę, Samuel zawołał:

— Niech nie ujdzie! Niech nas imają! Sprawiedliwości jeno chcemy i kary na mężobójcę!

Wokół wszyscy poparli go, krzycząc wrogo:

— Gardło niech da! Sprawiedliwości jeno chcemy!

Samuel czuł za sobą całość tłumu, wybornie wyczuwał, że cokolwiek powie, albo uczyni, będzie to właśnie takie, jak powinien ten tłum teraz powiedzieć lub uczynić. Żagrała w nim krew i uderzyło serce wodza, pewnego swych zastępów i swojego prawa.

Dworzanie, tem samem tknięci, stracili jakby nieco pewności siebie i jeden rzekł:

— Upamiętajcie się! Nie w obcym, ani nieprzyjacielskim kraju jesteście! Umarłego pogrzebcie, a potem żałobę wnoście czy do rektora, czy do biskupa, kanclerza, akademiej; nie jak szaleńcy czynią, po rynku z trupem się nosić, na niewinnego, być może, oskarżenia miotając.

— Mężobójcą jest! — krzyknął Samuel. — By i sto razy potężniejszy był, powtarzać to będziemy, aż nam sprawiedliwość uczynią.

Ledwie to żacy usłyszeli, porwała się burza.

— Czarnowski mężobójca! Czarnkowski go porąbać kazał!

Co słysząc dalsi, natychmiast poczęli to samo krzyczeć i wyklinać wroga.

Natychmiast pochód ruszył, nie zważając już na nic. Dworzanie, wycofawszy się z tłumu, wrócić musieli z niczem do oczekującego ich biskupa.

Ale nie było już teraz takiego rozpędu w pochodzie, jak przedtem i po krótkiej naradzie czoło jego skręciło ku kościołowi św. Ducha, gdzie ułożono pochować Jerzego.

Weszli na cmentarz niosący nosze, złożyli je ostrożnie na ziemię i rozprostowali zbolałe ramiona. Ciżba ścieśniała się na małym cmentarzu, a na ulicy dalej stało mrowie scholarzy, nie mogocych się tu docisnąć.

Teraz znów na chwilę przypomniano sobie Jerzego.

Skądciś przyniesiono wielkie prześcieradło białe, czyste. Zawinięto weń trupa, jak w całun. Hieronim jeszcze ostatni raz ujrzał jasne włosy, i bladą, miłą twarz dziecinną Jerzego i jeszcze raz z trwogą rozbiły się wszystkie jego myśli o wieczysty spokój i obojętność śmierci. Spuszczono zwłoki w dół i zsuwać poczęto ziemię, która głucho sypała się na małe ciało, zawinięte w białe płótno. Wnet dokończono wszystkiego. Hieronim ujrzał, że już usuto mogiłę niewysoką i zdziwił się, słysząc, że cały czas śpiewano, a on tego wcale nie zauważył. Teraz zaczęto ostatnie Requiem. Wokół szlochano. I nagle wszyscy ruszyli się, zwracając się ku wyjściu, i wnet na cmentarzu nie zostało nikogo, tylko ziemia i trawa wszędzie była zdeptana i mały kopiec ze świeżej ziemi znaczył się odmienną barwą wśród innych mogił.

Gdy scholarskie rzesze wyszły z cmentarza, rozluźniły się i rozsypały w mniejsze gromady, jak owce, które przestano popędzać w jedną stronę i puszczono swobodnie.

— Teraz—mówił Samuel w swojej gromadzie—rzecz pierwsza jest w tem, aby do sądu zmusić. Wie całe miasto, co za krzywda nasza była, nie da się ta sprawa tak łatwie zatłumić.

— Nic nie pomoże, muszą sąd uczynić — powtarzali inni wokół.

— Cóż stąd! — rzekł wątpliwie ów student chudy, jak chart, z czarnemi brwiami, z pod których patrzyły niespokojne i czyste oczy czarne. Dlatego-li, myślicie, iżeśmy po rynku dosyć głośnie kanonika mężobójcą obwołali, to już go skażą?

— Dlatego! — rzekł Samuel. — Cóż kraczesz? Zawsze ci wszystko niepewne, byś i czarno na białem widział.

— Ba! — odrzekł ów, krótko się uśmiechnąwszy — zrównajże siłę naszą a jego: ma za sobą biskupa... Ma za sobą tedy i króla. Ma za sobą sąd, przed który przynależy. Dojdzie-li sąd: tedy jemu najprzyjaźniejszy. Nie dojdzie-li, skutek dla nas ten sam zostaje.

— Nie! — zawołał Samuel — sprawiedliwości chcemy!

— Dobrze — odparł tamten — ale jak jej dostać?

— Cicho! Cicho! — krzyczeli inni. — Wyrwał się, by kruk z boru! Pójdziesz! Rady nam będzie psuł!

Ów student zarumienił się zlekka, co ledwo znać było, tak musiał być słabowity. Uśmiechał się, i milczał, rzucając tylko krótkie spojrzenia na krzyczących.

— Kto to jest? — pytali ci, co go nie znali.

— Bakałarz, Szczepan z Krakowa. Zawżdy mędrkuje.

— Mędrek! — szydzili ci i owi. A chuchro, by słomka!

Ale nie mieli czasu nim się zajmować, bo już dalej skupiała się rzesza, i radzono żywo.

— Rektora powinność jest za nami się ująć — wołał bakałarz Mikołaj Odachowski. — Nuże! Idźmy, a o sprawie mu powiedzmy!

— Idźmy! — zawołał Samuel swym głosem, który szedł daleko jak dzwon.

— Do rektora! Niech się za nami ujmie, za prawem naszem!

Rozluźnione gromady znów spłynęły się w jedną czarną rzeszę, i ruszyły w stronę Collegium majus.

Było już pod wieczór. Tłumy studentów, żaków obstąpiły Collegium majus i wzywały rektora, a co bliżsi tłukli w zamkniętą bramę:

— Domine rector! Domine magnifice! Rektor! Rektor! Rektora nam!

Otworzyła się furtka w sklepionej bramie i najpierw wyszedł pedel, to jest sapienta uniwersytetu. Za nim rektor ukazał się na progu.

— Quod petitis? Czego wrzask podnosicie, miasto przystojnie i skromnie rozmowy żądać?

— A kto się za nami ujmie, domine rector, jeśli nie wasza miłość? — zuchwale odpowiedzieli co bliżsi.

— Wczoraj zabójstwa dokonano: jest zbrodzień, jest król, jest sąd biskupi i wasza miłość, a do tych pór nic nie uczyniono, by studenta porąbanego pomścić!... — zawołał Mikołaj Odachowski.

— Pax! — rzekł rektor. — To ty, Odachowski? Nie wiecie-li, że sprawa każda wymaga swego czasu, by się dokonać mogła? A jeszcze tak wielkiej wagi!

— Czasu wymaga? — krzyknął Rafał z Sempolna — nie czasu, jeno odwłoki! W odwłokę puścić ją chcą, gdzie jeno pójdziem, bo przed mocnymi ze strachu się padają!

— Milczeć! — krzyknął rektor, prostując się. — Smarkacze! Precz mi do bursy! Do roboty! Do nauki!

Co mniejsi żacy, przestraszeni, cofali się, ale starszyzna: studenci prawa, teologji, nawet i filozofji, choć najmłodsi, nie ustępowali.

— Sprawiedliwości chcemy! — krzyczał Pietrek raz za razem.

— Domine rector, zabitego towarzysza dopiero cośmy pochowali — za krew jego nie przestaniemy zemsty wołać! — zawołał Odachowski.

— Musi być kara! — krzyknął Samuel. — A lepiejby nam nigdy w tych naszych lektorjach i szkołach wszystkich więcej nie postać, po świecie wszystkim się rozejść, niźli zabitego towarzysza w niepamięć puścić! Nie ustąpim, aż pomścimy!

— Nie ustąpim, aż pomścimy! Nie ustąpim! — zakrzyczeli wszyscy

Hieronim stał obok: drugi raz dzisiaj widział, jak Samuel natychmiast złącza wszystkich, gdy się jeno odezwie. Tem goręcej go lubił i przysunął się bliżej, czując się jak żołnierz z pod tego samego, co i Samuel znaku.

— Jutro roztrząśnie sprawę rada profesorska — rzekł rektor — a teraz rozejdźcie się po bursach, bez krzyku.

Rektor cofnął się, a sapienta za nim, zatrzaskując furtkę.

Scholarze małemi kupkami poczęli się rozchodzić pomału.

Hieronim ze swoimi wracali do swojej bursy. Wszystko było w nieładzie, jak rano zostawili. Tylko mieszczanie litościwi zabrali rannych do siebie.

Wszedłszy do izby, którą dzielił z Tomkiem Pacanowitą, Hieronim rzucił się na swój tapczan. Leżał w półśnie, zmęczony i głodny. Przed zamkniętemi oczami sunęły mu się bez przerwy twarze scholarzy znane i nieznane, nosze z Jerzym, czarnobroda twarz podkanclerzego, twarze dworzan biskupich, woźny szamocący się, mieszczanie, mieszczki, Samuel przemawiający...

Już usypiał, już wszystko poczęło się układać w jakiś sen, gdy rozbudziło go wielkie szlochanie. Usiadł na tapczanie: to Pacanowita łkał i łkał, jak w konwulsjach. Hieronim zdziwił się w duszy, ale nie odzywał się czas jakiś, czekając, że może ów się uspokoi. Gdy jednak szlochanie się wzmagało, powiedział wkońcu:

— Cóż ci to, Tomku?

— Jerzy! Je... Je... Jerzy! — jęknął tamten z drugiego tapczanu.

— Dlaczego tak płaczesz?

— Ja go wo... wolałem... wolałem od wszystkich... Taki... taki mały! Taki... O Boże, Boże, Boże! Taki był we... we... wesoły!... Zabili... Zabili na wieczne czasy!...

Jęczał i szlochał, rzucając się twarzą w twardą, słomianą pościel, by stłumić wydzierające się krzyki.

— Pomścimy go! — odezwał się Hieronim w ciemności.

— A na co mi zemsta?... — nagle w uniesieniu krzyknął tamten. I znów porwało go łkanie bez pamięci. — A czy to go wróci? Na co mu to? Co mu to pomoże? Na wieczne, wieczne czasy!

I zaczął płakać równemi i długiemi jękami, które cichły zupełnie i znów się ciągle wracały.

Hieronim położył się napowrót. Był zdziwiony, jaki jest ten Pacanowita, z płową czupryną, którego miał za zupełnie innego, takiego, jak są inni żacy, bijący się rano o kąsek jadła, kujący potem Katona i bijący się znów po lekcjach skończonych. Ale Pacanowita różnił się od nich bardzo, jak teraz ujrzał: Pacanowita lubił Jerzego i wolał go od wszystkich.

Teraz wydało się Hieronimowi, że coś z Jerzego zostało z Pacanowitą i że on jest najbliższy Jerzemu. Pomyślał, że będzie z Tomkiem odtąd w lepszych stosunkach i wśród tego usnął.

Na drugi dzień, ledwie słońce weszło, pobiegli, jak zwykle, scholarze, aby żebrać pożywienia. Idąc do swoich bernardynów, słyszał Hieronim, jak wszędzie mieszczki rozpytywały żaków o wczorajsze zdarzenia, wydzielając im jedzenie do garnków.

To samo zastał i u bernardynów. Do furty przyszło trzech braciszków, zamiast jednego, jak zwykle. W pierwszej chwili pomyślał, że

może wyniesiono o tyle więcej jedzenia: ale nie, okazało się, że jedzenia było tyle, co zwykle, a braciszkowie wyszli po nowiny.

Scholarze jedli, a braciszkowie rozpytywali ich, co się działo i jak wszystko było.

— Czarnkowski! — zabijać rozkazał, powiadacie? —

Obaj byli uradowani, choć wzburzeni.

— Czarnkowski! — odpowiadali scholarze niezachwianie.

— Do czego dalej posuną się złe owce w kościele? — powiedział starszy i grubszy braciszek do młodszego.

— Pasterz to — odrzekł ów z przyciskiem — pasterz, a nie owca, pamiętaj, mój bracie.

— Ha! — westchnął tamten — gdy takie czasy nastały! A co dalej zrobicie? — spytał scholarzy.

Scholarzom pochlebiało takie pytanie. Robili poważne miny, namyślali się.

— Sprawa będzie w sądzie — odrzekli. — O, nie popuścimy, dopóki nam nie naprawią krzywdy.

— Nie zasypiajcie sprawy! — rzekł braciszek, a oczy mu błyskały. Przez wasze ręce, pacholęta, ukorzy Pan miłosierny, złe sługi swoje.

— Jeno boimy się, iż w odwłokę puścić, a później całkiem zatłumić to zechcą.

— Niech was Bóg broni, byście do tego dopuścić mieli! — wykrzyknął młodszy.

— W waszych rękach wszystko. Was się ulękną wszyscy, was usłuchają, jeno trzymajcie się twardo.

— Już my będziemy! — odpowiadali żacy, widząc, jakie mają znaczenie i jakie uznanie u braci — nie odstąpim, aż swoje przeprzemy.

Pokrzepieni i zagrzani, wrócili do bursy, aby zobaczyć, co dziś wypadnie robić. Oczywiście, o lekcjach ani mowy nie było. Nigdzie nie pracowano, w żadnem kollegjum w akademji. Tylko niektóre szkoły parafjalne, gdzie rektor był tęższy, zapędziły uczniów do nauki.

Gdy tak scholarze siedzieli bezczynnie w bursie Wszystkich Świętych, a niektórzy poszli odwiedzić rannych, przyszedł Samuel, Rafał i paru innych z nowinami.

Mianowicie rektor już zwołał profesorów na naradę. Dało się co nieco podsłuchać. Oto są w wielkiej niepewności, co czynić, gdyż wszyscy wiedzą, że biskup jest bardzo dobrze z kanonikiem Czarnkowskim, i że Czarnkowski ma za sobą oprócz swych dawniejszych przyjaciół, całą kapitułę bez wyjątku, z powodu, że go scholarze wczoraj obwoływali mężobójcą na rynku.

— Ale wiecie-li, wiecie, co rzekł rektor? — zawołał w tem miejscu Rafał — oto rzekł: gdybyśmy pewni byli, że Czarnkowski był zabójstwa sprawcą...

— Nie może być! — porwali się żacy. — Nie wierzy? Jakto? Jakto?

— Tak rzekł: gdybyśmy pewni byli, że Czarnkowski sług swoich posłał, by studentów porąbali... — powtórzył Rafał.

— O, zdrajca! — wybuchli scholarze. — On nie wierzy? Jakiegoż tu dowodu jeszcze mu nie dostaje?

— Kręcą! — krzyczał Pietrek.— Kręcą, by odwlec i zatłumić!

— Nie damy! — krzyknęli inni.

— Scholarze! — odezwał się nagle głos od progu.

Odwrócili się natychmiast wszyscy. Stało tam dwu sług dworskich z zamku.

— Za królewskiem wezwaniem macie dziś na zamek przyjść i królowi jegomości skargi wasze przedłożyć.

Rzekłszy to, odwrócili się i poszli.

Scholarze na chwilę zostali nieruchomi i niemi. Potem rzucili się gotować gorączkowo, by iść na zamek.

Ułożono, że przemówi Mikołaj Odachowski. Poczekano, aż przywdział strój swój bakalarski, tunikę czarną nieco dłuższą, z rękawami czerwono lamowanemi, i biret czworokątny na głowę.

— Dobra nasza!—mówili między sobą scholarze, pewni zwycięstwa.

Hieronim, widząc, że Tomek Pacanowita siedzi w kącie, zawołał nań:

— A ty, Tomku?

— Ostanę — odrzekł, i machnął ręką, jakby mówił: wszystko na nic!

Hieronim, nie zatrzymując się, dogonił tych, co już poszli.

Teraz nie tyle ich było, co wczoraj. Usłyszawszy o nowinie, przybyła jeszcze garść studentów akademji i razem do stu weszło ich na salę wielką w zamku.

Stali cicho, czekając, co będzie.

Hieronim rozglądał się po murach wysokich, malowanych, po złoconych i rzeźbionych belkach powały, przecinających się w ciasne kwadraty. Potem z natężeniem patrzył na drzwi, któremi zapewne wejdzie król. Zobaczy króla! To go napełniało poczuciem własnej dostojności: z królem mają sprawę:

W tem drzwi się otworzyły i weszli różni panowie. Poznał wśród nich Mikołaja Grabię, podkanclerzego. Byli i księża.

— Król, król! — przeszedł pomruk wśród scholarzy.

Hieronim zobaczył, że panowie wszyscy rozsunęli się na prawo i lewo, a środkiem między nimi idzie pan wysoki, młody, z delikatną brodą czarną i czarnemi oczami.

Siadł na czerwono obitem i złoconem krześle, za stołem, nakrytym różnowzorym kobiercem. Inni panowie posiadali wówczas także na prawo i na lewo, a jeden z nich, skinąwszy na scholarzy, kazał im mówić.

Odachowski wysunął się naprzód i zaczął swą mowę. Hieronim jej nie słuchał. Patrzył na króla, zawierał z nim znajomość. Poznawał jego twarz, ściągłą, wyraźną, suchą, brwi czarne, oczy o długich rzęsach, czoło wysokie i jakąś pobłażliwość spokojną w całej postaci, w każdem poruszeniu swobodnem.

Pokazywali mu sąsiedzi panów, jak się który nazywa.

— Biskup Maciejowski... o, ten po prawej ręce króla... widzisz?

— Ten jasny?

— Ten.

Hieronim przyglądał się: biskup miał piękną, szczupłą twarz, pełną pogody, jasne włosy, bardzo wysokie czoło i uważne, bardzo żywe i mądre oczy błękitne. Dziwna subtelność rysów, jasność twarzy i żywość oczu czyniły go młodszym o wiele na oko, niż był wtedy.

— Jego brat, Stanisław... Ten za nim, ze złotym łańcuchem...

— Ale patrzcie... Czarnkowski...

— Czarnkowski... Czarnkowski! — zaszeptano.

I z nienawiścią wpiły się oczy scholarzy w księdza. Był średniego wzrostu i zaczynał nieco tyć. Miał okrągłą, pełną twarz, siwe oczy, czerwone, wydatne usta i ciemne, bujne i gęste włosy. Patrzył na króla, potem przechylał się do swego sąsiada, kanonika Przerębskiego,

suchego, bystrego, podobnego zarazem do wilka i sokoła. Czasem zamieniał słów parę z burgrabią krakowskim, Janem Dąbieńskim.

Ale bakałarz Odachowski właśnie przybył do miejsca, gdzie pachołkowie wypadli z probostwa na cmentarz. Kanonik Czarnkowski utkwił oczy w mówcę i Hieronim, widząc to, począł także uważać, co mówi przedstawiciel scholarzy.

— I tak, na rozkaz swego pana, jednego na śmierć zarąbali, innych posiekli, że ich mieszczanie, litując się, do domów swych wzięli, by staranie jakie i leki mieć mogli. Strasznym żalem napełnieni, wczorajszego dnia, sprawiedliwości szukając, szliśmy do waszej królewskiej mości na zamek. Aleć nas wypędzono, miłościwy królu, jak wrogów, nie jak synów tej Korony, przed oblicze twoje nie chcąc dopuścić. Nadaremnie błagaliśmy, nadaremnie żaliliśmy się. By mężobójca karę odniósł, by się sprawa jako nie zatłumiła, cóżeśmy czynić mieli?...

Hieronim spostrzegł, że kanonikowi Czarnkowskiemu usta drgają, a oczy patrzą na króla z rozpaczliwym uporem. Nabrał do kanonika nowej niechęci.

Odachowski tymczasem dokończył swojej mowy, błagając króla, by wymierzył sprawiedliwość i krwi, niewinnie przelanej, bez zemsty nie zostawiał.

Gdy umilkł i cofnął się, podniósł się Czarnkowski.

W mgnieniu oka scholarze, jak ostrogą tknięci, wzięli go na ostre spojrzenia i natężoną uwagę, jak na tnące miecze.

Kanonik, na chwilę opuściwszy głowę, podniósł ją znów i począł:

— Nie tuszę, najjaśniejszy a miłościwy królu, iżbyś wasza królewska mość rzecz tak okrutną a do wiary niepodobną by na krótką jeno chwilę za prawdziwą mieć mógł. Słudzy moi porąbali studentów — prawda jest. Trzymam ich w gotowości, gdy sąd karać ich będzie powinien. Sam przecie najmniejszej w tem, wasza królewska mość, winy nie odniosłem, wieczoru owego wieczerzając z przyjaciółmi u księdza kanonika Szyllinga, Czaplem zwanego, archidjakona sandomirskiego, co wszyscy u niego na wieczerzy tej zebrani łatwie zaświadczyć mogą. Ze sług moich jeden był ze mną, inni doma zostali, jak zwykle. Ledwie późnym wieczorem wróciwszy, z niewymowną swą żałością i gniewem o tak bezecnem i srogiem sług moich postąpieniu dowiedziałem się. Zaprawdę, wasza królewska mość, znając jaką nienawiść niepoczciwych stąd sobie broń ukuje, jako mnie nękać, a ile szkodzić będzie, opuściłbym wszelką już nadzieję, bym obrony mej w waszej królewskiej mości,

miłościwego pana mego dobroci a sprawiedliwości nie zasadzał, a na dobrem sumieniu swem i poczciwości domu i stanu mego nie opierał. Błagam tedy, miłościwy panie, i żebrzę tego u waszej królewskiej mości, byś to niesprawiedliwe a szarpiące języków i nienawiści pospolitej na mnie rozpasanie wasza królewska mość sądu naznaczeniem zatamować a ukrócić jako zechciał.

Hieronim, na pierwsze zaraz słowa o niebytności księdza Czarnkowskiego w domu podczas pobicia studentów, oniemiał. Cóż wtedy? Słudzy sami jeno są winni. Ukazała mu się czcza hałaśliwość i nicość wczorajszego obwoływania na rynku. Uczuł się nieswojo, nie na miejscu, jakby wplątany w niespodziewane sieci. Spojrzał na Samuela. Samuel mocno zarumieniony, słuchał ze ściągniętemi brwiami, wpiwszy wzrok w kanonika.

Gdy ksiądz Czarnkowski skończył, król podniósł zwolna czarne, wielkie, bardzo piękne oczy na scholarzy i chwilę tak na nich patrzył. Hieronim stał bez ruchu, zatapiając się w rozważanie każdego poruszenia królewskiego. Musnąwszy lekko wąsy i brodę, Zygmunt August odezwał się powolnym i wyraźnym głosem, patrząc na ciasno skupioną scholarską gromadę:

— Nie podoba Nam się wasz postępek wczorajszy, żeście, uszanowania zapomniawszy, z takim Nas naszli wrzaskiem a dobijaniem się, gdy łatwie do nas każdy, by też najpodlejszy człowiek, przystęp znajduje. Nie dopuszczono was przed Nas i słusznie. Sprawę waszą teraz dopiero znam, i by bez kary nie była, wielce o tem myślę. Andrzeja Czarnkowskiego oskarżacie; ale ponieważ on kanonikiem i księdzem jest, do królewskiego przeto sądu nie należy, lecz do biskupiego. Dlatego całej tej sprawy roztrząśnienie biskupowi Samuelowi, tu przytomnemu, zlecam, do którego zwierzchności ksiądz Czarnkowski należy.

Powstał król i zwrócił się do biskupa, mając się już ku wyjściu. Ruszyli się zaraz wszyscy, a scholarze wyszli w milczeniu na dziedziniec.

Tam dopiero wybuchły rozprawy.

Jedni upierali się, że Czarnkowski jest winny, że był w domu: omal go sami na własne oczy nie widzieli. Łże jak pies, powiadając, iżby miał kędyś na mieście wieczerzać. Drudzy, pomieszani słowami Czarnkowskiego, drwili z wczorajszej pochopności do ogłaszania go mężobójcą i przypominali już sobie, że od początku wątpili, czy nie lepiej tylko sługi oskarżać. Inni wreszcie milczeli, zbici z tropu. Hieronim czekał, co powie Samuel, bo sam nic nie wiedział: jednakowo możliwe wydawało mu się i jedno i drugie.

Ale Samuel nic się nie odzywał, słuchając ze ściągniętemi brwiami i chmurnie, co mówili inni. Szli Podwalem w stronę bursy Wszystkich Świętych: Hieronim zauważył, że wśród scholarzy znajduje się także

i Stanisław, ów bakałarz młody i wyschły, jak trzaska, z oczami nieśmiałemi i czystemi, i pełnemi myśli upartych.

W bursie ci, co upierali się przy pierwszem swem zdaniu, przeważyli, było ich więcej, zwłaszcza, że i z innych burs przybyli nowi goście: z Jeruzalem, z bursy ubogich, z bursy królewskiej, z bursy filozofów, i z innych, sami studenci.

Mali żacy z parafjalnej szkoły Wszystkich Świętych omal nie pękali z dumy, widząc, na jak ważne stanowisko się wynieśli i kto się z nimi brata.

— Czarnkowski powiada, iż nie winien mordu i krwie przelanej! — oznajmiano nowym, którzy siadali, gdzie kto mógł.

— Łże! — odpowiadali ci z miejsca.

— A jeśli nie łże? — odezwał się któryś.

To przypuszczenie tak zadziwiło obecnych, że w pierwszej chwili wszyscy umilkli. Bo ci, którzy idąc z zamku, odzywali się z wątpliwościami i drwili, teraz siedzieli cicho, by makiem siał, a rozprawiali i krzyczeli sami tylko oskarżyciele Czarnkowskiego.

— Łże! — krzyknął Rafał z Sempolna — bo to jego słudzy. Zrobi co pachołek bez rozkazania swego pana?

— Iście! — niecierpliwili się inni. — Tak było i tak o tem trzymamy.

— Nie zbijajmy się z tropu! — wołał Tomasz z Łagowic. — Dobrą nić w ręku mamy, jeno by jej nie stracić.

— Trzymam o tem, jako i wy — zaczął przezornie bakałarz Odachowski — jeno to zważyć się godzi, jaka dla nas z tego nienawiść u możnych uroście. Jawnie mi się zdaje, iż nie tylko sam biskup, ale i król jegomość za Czarnkowskim trzyma, a skargę naszą niechętnie widzi. A gdy Czarnkowski tem się składa, iż pod ten wieczór doma go nie było, roztropniejby, zda mi się, skargi przeciw niemu poniechać, a przeciw pachołkom ją obrócić.

— Przeciw pachołkom? — krzyknął Samuel — dla lęku przed gniewem możnych? Co mi gniew i możność wszystkiego świata, gdy mi towarzysza zabito, prawa zdeptano? A iżby wszyscy możni, ilu ich jeno jest, przeciw mnie stali i srożyli się, jak zechcą, tedy im dostoję, mając moje prawo za sobą i uczciwość. Cóż mi uczynią? Niech się jeno porwą! Niech próbują! Nie wygasła jeszcze ani dobra wiara, ani dobre prawo u nas, w Koronie! Będzie-li trzeba, tedy aż na sejm trafimy z krzywdą naszą, i przed wszystek kraj ją wytoczym.

— Ach! Niech się jeno porwą! — wołali inni, olśnieni rozmachem i wspaniałością planu Samuela.

— Przed sejm pójdziemy! — zawołał Hieronim, któremu zmieszane w jakiś tuman oszałamiający, mignęły słowa starego szlachcica, słyszane w drukarni, jego własne butne porywy i Samuelowa rogata zapowiedź.

— Nie damy się! Obronimy się! — krzyczeli wszyscy.

W takiej byli gorączce, że nie sposób radzić. Nie uradzono zatem nic.

Jeno rozważny Odachowski, gdy opadły nieco krzyki, odezwał się znowu:

— Chcecie się przeciw wszystkim możnym stawiać, stawajcie. Ale cóż stąd?

— Niechby i nic! — zawołał Samuel — ale prawo z nami! Nie jesteśmy tchórze, ani wałkonie, byśmy nasze prawo sobie brać i deptać pozwalali, a nawet się za nie nie zastawili!

— Zastawiajcie się — rzekł Odachowski — cóż robić? Tedy na Czarnkowskiego skargę podawać chcecie? Nie na sługi jego?

— Na Czarnkowskiego! Nie boim się możnych!

— Kto będzie mówił?

— Wszyscy! — zakrzyczano.

— Jeden! Jednego obrać!

— Samuel! Samuel!

— Nie! — zawołał Samuel — ktoś z tej bursy, kto był przy zabójstwie.

— Odachowski!

Ten począł się wzbraniać. Lecz dał się uprosić. Potem, pełni nowej buty i nowej nadziei i zawziętości, rozeszli się studenci do swoich burs.

Sąd.

Nie tracąc czasu, biskup, któremu równie zależało na prędkiem wyjaśnieniu sprawy i uwolnieniu kanonika Czarnkowskiego od zarzutów, jak jego przeciwnikom w kapitule na przewlekaniu jej i rozmazywaniu, zaraz następnego dnia kazał przesłuchiwać świadków. Przesłuchano zatem tych, którzy mieli jakiekolwiek święcenia w kurji biskupiej, a tych, którzy żadnych święceń nie mieli, w ratuszu, przed rajcami miejskimi. Tego też dnia strony otrzymały wezwanie do stawienia się na pierwszy termin sądu, mający się odbyć jutro, 18-go maja, w sobotę.

Oprócz rektora akademji, wszystkich scholarzy i księdza Czarnkowskiego, wzywał tam biskup także wszystkich innych, z poza szkół, którzyby cokolwiek dodać chcieli do skargi studentów. Było to obliczone na złe języki w kapitule i wśród duchowieństwa, niechętnego Czarnkowskiemu i dworowi biskupa. Niech jawnie wystąpią, niech nie mówią, że uczyniliby to, ale nie dopuszczono.

Tak zawinąwszy się około sprawy, w sobotę zasiadł biskup na sąd w pałacu swoim biskupim. Postarał się też nie o byle jakie towarzystwo, by rzecz się odbyła, ile można, najgłośniej i najokazalej i by niewinność Czarnkowskiego i dobra wiara sądu biskupiego tem pewniejszy cios zadała machinacjom, które przeczuwał, a częścią i znał, ze strony dziekana i jego przyjaciół.

Cała bursa Wszystkich Swiętych i wielu studentów z innych burs stawiło się w sali.

Sąd wyglądał tak okazale, że scholarze zbili się w ciasną gromadę i ze złem przeczuciem czekali, co się stanie. Obok biskupa siedzieli panowie, których widzieli już na zamku przy królu, a prócz tego z piętnastu kanoników, czyli cała nieomal kapituła i wiele różnego duchowieństwa świeckiego i zakonnego.

Gdy ustał rumor, biskup Maciejowski otworzył sąd.

— Zasiadamy w tym trybunale i gotowiśmy każdemu sprawiedliwość uczynić wedle żądania jego. Oskarżon jest kanonik kapituły naszej, ksiądz Andrzej Czarnkowski, o mężobójstwo, świeżo w bursie

Wszystkich Świętych spełnione. Niech wynijdą oskarżyciele i rzecz swą wyłuszczą.

Powiedział to i nastała wielka cisza.

Hieronim czekał: nic. Waliło mu serce, jak młotem. Inni stali również, bez drgnienia, bez tchu, jak na egzaminie, gdy profesor zada pytanie, na które nie można znaleźć odpowiedzi.

Gdy milczenie trwało, ruch mały uczynił się z boku: to ksiądz Czarnkowski powstał, chcąc mówić. Ale biskup skinął nań ręką. Powtórzył:

— Oskarżyciele niech wynijdą i rzecz przedstawią.

Hieronim brał wprost do siebie te słowa. Odpowiedzialnym się czuł za to milczenie, niszczące cześć żaków, niszczące ich plan zemsty za Jerzego, ich nadzieję zadośćuczynienia. I nagle wspomniał, że Mikołaj miał mówić i cały wstyd zmienił się w nim w gniew palący: jakiem czołem Odachowski zaprzepaszcza cześć zbiorową, w jego ręce powierzoną? Niepojęte było to milczenie: czemuż inny, ktokolwiek się nie odezwie?...

Teraz biskup skinął na kanonika, nie czekając dłużej na odezwanie się scholarzy. Hieronim spostrzegł gorzki uśmiech dziekana i tych i owych z kapituły. Patrzyli na żaków z pogardą.

Czarnkowski powstał zwolna. Zaczął mówić, niemal jak przed królem. Ale gdy przyszło do złych języków, szarpiących jego sławę, głos wezbrał mu większą siłą i twardością, i znać było, że wie, iż go teraz słyszą te uszy, dla których słowa jego są przeznaczone.

— Łatwie to z za muru strzelać! Gdzież się owi oskarżyciele podzieli, co na mnie od trzech dni dość złych słów należć nie mogli?... Niech wyjdą, niech się nie kryją! Przed sądem są, sąd ich słucha, sprawiedliwość czynić gotowy. Czemuż się przeto żaden nie zjawi, czemu milczą, zwiesiwszy głowy?

Hieronim spojrzał na wszelki wypadek: myślał spotkać spojrzenie piorunujące kanonika, utkwione w scholarzy, w siebie, ale nie! Ksiądz Czarnkowski przemawiał, zwrócony ku biskupowi i kapitule, za nim siedzącej, a gdy mówił o zwieszonych głowach, wychylał się cały ku prawicy kapituły, gdzie siedzieli starsi kanonicy, opaśli, łysawi, w puchu na głowach takim, jak gąsięta na wiosnę.

Teraz obrócił się kanonik Czarnkowski do scholarzy.

— Cóż mam do was rzec, młodzi nieroztropna i do niegodziwych oskarżeń pochopna? Nigdy dobrzy, swoją cześć znając i szanując, cudzej nie będą szarpali bez namysłu długiego i twardej pewności. Aleć wam dość to było widzieć, iż pachołkowie z mego domu na was wyskoczyli, by najsroższe oskarżenie hańbę mężobójstwa na mnie zwalić. Godziż się to tak czynić? Godziż się to przed królem jawnie mnie, jako sprawcę owych czynów ukazywać, po mieście publicznie mężo-

bójcą obwołać, a na sądzie milczeć, by trusie? Sumienie was ruszyło, mniemam, i strach przed niesprawiedliwem oszczerstwem... aleć to szkoda, że nie pierwej, jeno tu dopiero.

Scholarze stali, jak pod pręgierzem. Zdało się Hieronimowi, że chłoszczą go publicznie. Brakło mu tchu, a całą nadzieją jego było to tylko, że po pewnym czasie skończy się mowa Czarnkowskiego i sąd.

Ale za nim, w gromadzie, powstawały szmery i szepty.

— Łże — mówili żacy. — Zmówił się z archidjakonem sandomirskim, by mu świadczył, iż na wieczerzy był u niego. Ale nasza sprawa przepadła! Cały sąd za nim!

— Mikołaju! Mówże! Odezwij się! — nalegali inni żarliwie.

Ale Odachowski milczał.

Teraz powstał rektor akademji, Mikołaj Prokopiades, ze Szadka.

Bez żadnej nadziei słuchali scholarze, co powie: jakoż się nie zawiedli. Rektor w pięknej mowie, z góry przygotowanej, zapewniał biskupa i kapitułę, że ani on, ani kollegjum profesorów żadnego nie brali udziału w tumulcie środowym. Jakże, nawet na chwilę nie przypuszczali, by kanonik, tak znakomitego rodu, tak głębokiej nauki i tak wielkich cnót, mógł dać pochop sługom swym do tak srogich czynów.

— Wszystko jeno teraz dzieje się o obrazę Czarnkowskiego — rzekł cicho Samuel.

Wtem ruch się uczynił między scholarzami: Mikołaj Odachowski wysunął się naprzód, chcąc mówić.

Nie oczekiwał tego nikt, a najmniej kapituła i biskup. Dziekan wymienił spojrzenie z przyjaciółmi, biskup rzucił okiem na Andrzeja Przecławskiego, kanonika, z którym w osobliwszej był przyjaźni.

Scholarze obetchnęli. Czekali.

— Reverendissime Domine! — zaczął bakałarz Mikołaj swą mowę.

I stanął.

— Mówże! — szeptem nalegali inni, i Samuel go popychał.

Ale Odachowski milczał, mocno zmieszany, że aż znowu Hieronim cierpnął, patrząc i poczynając czuć się znów zniesławionym przez upadek sprawy. Nagle jednak odchrząknął i zebrawszy się, rzekł:

— Anim nie wątpił by i chwili o niewinności księdza kanonika Czarnkowskiego, anibym się przeciw niemu porywać śmiał, jeno przez prośby towarzyszy moich, a przez pamięć na zabitego, iż i jednego stanu, szlachcic jako i ja, litewski, i jednej bursy ze mną był, ująć się za nim słuszne mi się widzi... Ale, gdy ksiądz Czarnkowski nie był w domu owego wieczora, o czem ani ja, ani towarzysze moi niceśmy nie wiedzieli, koniecznem i słusznem mi się wydaje, byśmy naradzić się mogli jeszcze raz i co czynić nam należy, postanowili po namyśle.

— Ale nie! — mruczeli głucho żacy. — Cóż wżdy prawi? Dawno wiemy! Zdrajca!

Nikt jednak głośno nie wystąpił.

— Przeto prosimy u sądu, reverendissime domine, by nam termin odroczyć możono na dni parę... Wtedy, uchwaliwszy, co czynić mamy, jaśnie rzecz swą wyłożym.

Ksiądz Czarnkowski poruszył się niecierpliwie, i nie do scholarzy, ale do biskupa się obróciwszy, powiedział gniewnie:

— Reverendissime, tak z dnia na dzień odwłócząc, rzecz się zamaże, a krzywda, którą mi złe języki czynią, końca nie weźmie. A ci... — podbródkiem ruszył w stronę scholarzy — dobrze snać wiedzieli, co czynią, gdy mię z tak wielkim gwałtem i na zamku, i po mieście mężobójcą głosili. By teraz i zmienić swoje zdanie myśleli, tedy mi to tego, co się stało, nie naprawi. Jeszcze odwlekać...

Ale biskup, spojrzawszy przelotnie na kanonika, skinął ręką, by go uspokoić i rzekł:

— Nadewszystko na tem nam zależy, by prawdy dojść i sprawę ową nieszczęsną jak najjaśniejszą uczynić. Dlatego dajemy czas scholarzom aż do przyszłego wtorku...

Kanonik Przerębski, proboszcz krakowski, administrator czujny i baczny, co żywo posunął się ku biskupowi i przypomniał mu zajęcie jakieś na wtorek widać, gdyż biskup, na krótką chwilę umilknąwszy i coś mu odpowiedziawszy cicho, znów zwrócił się do zbitej gromady scholarskiej i dokończył:

— Do przyszłej środy... abyście się naradzili i do sądu przygotowani stanęli.

— Domine rector! — rzekł jeszcze, odwracając się ku rektorowi — ogłosić też racz jegomość, by się wszyscy scholarze, którykolwiek czy skargę jaką, czy coniebądź do powiedzenia ma, na ten termin środowy przed nami stawili.

Już rektor począł zapewniać, że wszystko zrobi.

Sąd był skończony na dziś.

Żacy wyszli jak z łaźni.

— Niema co! — odrazu odezwał się Samuel — jeno trzeba będzie zawrócić.

— Co? Jak? — zawołali inni, cisnąc się ku niemu.

Ale Samuel, zły i przygnębiony, milczał, idąc z nimi ku bursie Wszystkich Świętych. Wreszcie, nim doszli, począł mówić:

— Czego nam trzeba? Kary za zabójstwo. Widzicie, że Czarnkowski nie był doma, a jeśliby i był, tedy mu uwierzą, że nie. Źleśmy się wybrali, na niego wprost ukazując...

— A mówiłem — odezwał się Odachowski.

— Źleś mówił! — ostro mu odcięli ci i owi. — Takeś-to ułożył się z nami mówić w sądzie?

— Nicem się nie układał!

— Aleś wiedział, czego chcemy! Było nie przyjmować od nas przedstawicielstwa!

— Łżecie! Nie chowałem się przed wami z tem, co myślę! Sami parli, bym mówił, a teraz...

— Mikołaju! Mikołaju! — rzekł Samuel — sam wiesz, jakeś uczynił. Nie toś powiedział, czegośmy, jakoś wiedział, chcieli po tobie; jak zdrajca.

Wśród wrogiego huku scholarzy Mikołaj coś się wykręcał, ale Samuel żywo dokończył:

Chocieśmy nie mieli słuszności, a ty więcej jej miałeś, przecieś nas zdradził. Ale co gadać napróżno? Kary, kary nam trzeba, jednego tego tylko!

Opuścili scholarze sprawę mowy Odachowskiego, i bezradnie, przygnębieni, skupili się przed bursą, myśląc, co teraz robić.

— Trzeba nam było na zabójstwo skarżyć, nie nazywając, tedyby ich sąd wyszukał a pokarał. Teraz zaś co? — powiedział Hieronim.

— Bzdury! — zawołał Rafał z Sempolna. — Co was odmieniłoby we wrony kraczące? Trzymać się mocno swego, to się zawsze coś z tego zawiąże. Ja powiadam tak: Czarnkowski winien, bo jego byli słudzy. I jazda! Prosto, jaśnie.

— Głupiś — rzekł Samuel krótko. — Nie o to się dzieje, by Czarnkowskiego rozeznali, winny czy nie, jeno by za Jerzego śmierć zabójców pokarali.

— Co robić? Co robić? — narzekali żacy.

Byli wszyscy jak w sieci: gdzie się nie obrócić, aż oka jej trzymają złowionych.

Przeszło parę gorzkich dni. Dziwnie było Hieronimowi, jak się zakrzątnęli przyjaźnie około scholarzy ojcowie bernardyni i księża niektórzy, ubodzy i w wyświechtanych rokietach, ale pełni tęgości w języku. Mówili:

— Ani chybi, jeno Czarnkowskiego możni chcą osłonić. Trzyma się ta zaraza w Kościele za ręce, nie bój się. Juści biskup, nowinkarz, swego nie ruszy. Ale wy, scholarze, wy, przyszli księża, biskupi, tęgo się trzymajcie swego, a na tę swawolę nie pozwalajcie, by was za nos wodzono.

Hieronim nic już nie rozumiał. Osłuchał się ze wszech stron rad i postanowień. Próbował wyłuskać prawdę zrazu, gdy to chodzili jeszcze na zamek i na pierwszy termin. Teraz wszystko utonęło w gadaniu i srożeniu się wszystkich i w wyzierającej zewsząd gmatwaninie bezradnej.

Ale znać było, choć niewyraźnie rozdzielone, dwa obozy. Jeden gdzie twierdzono, że najlepiej po staremu trzymać się skargi na Czarnkowskiego. Ci scholarze byli w dobrej zgodzie z bernardynami i księżmi, którzy się do nich dowiadywali.

W drugim nie wiedziano, co robić: to była główna cecha. Właściwie mogliby tu należeć i ci z pierwszego obozu, i przeważnie też należeli. Ale owa bezradność, która w pierwszym obozie kończyła się utrzymaniem skargi na Czarnkowskiego, tutaj wyłoniła z siebie zarzucenie tej drogi, a kazała się streścić jedynie w żądaniu kary za zabójstwo, ktokolwiekby był jego sprawcą.

Dowiedział się Hieronim, że w środę scholarze nie staną na termin odroczony. Słuszne to było ze strony Samuelowego stronnictwa, porzucającego skargę na Czarnkowskiego. Ale w owem otumanieniu, i ci, co mieli go wciąż jeszcze za winnego, także znienacka uznali, że nie powinni stawać. Pierwsi podali przez rektora list do sądu, wyłuszczający ich nowe stanowisko: żądanie kary za zabójstwo, bez mianowania winnego. Drudzy, twierdząc wciąż swoje, że Czarnkowski winien, postępowali, jakby się jednoczyli z tamtymi.

Odbył się termin: biskup przyjął list do wiadomości, ale odpowiedział, że gdy raz skargę wniesiono na kanonika, nie może teraz już wstrzymać procesu, wszczętego przeciw niemu, i sprawa pójdzie dalej swoim torem. A ponieważ ustąpili oskarżyciele Czarnkowskiego, biskup z urzędu naznaczył instygatora przeciw niemu, i nie byle kogo, bo największego w Rzeczypospolitej pana, Jana Tarnowskiego, kasztelana krakowskiego.

Wiadomość za wiadomością przybiegała do scholarzy. Nie było jeszcze tak nieznośnego czasu w ich życiu. Teraz, gdy wiedzieli, że proces nie ukarze kanonika, z nowem rozżaleniem wzywali sprawiedliwości i kary. Po wszystkich zdarzeniach od owej pamiętnej środy po zabójstwie wrócili znów do punktu, z którego wyszli, i do pragnienia, z którem stali przed bursą, nim poszli na zamek: pomścić Jerzego z Pienian. Ale teraz wysunęło im się z rąk wszystko. Naporem swym ruszyli i puścili w chód prawo państwowe, i teraz szło ono dalej samo własną siłą i przepisaną koleją, jasno, sprawnie, martwo. Ale za późno spostrzegli, że nastawili je nie tak, jak trzeba było: i poszło w obojętną im stronę, a oni zostali ze swoją krzywdą, z niepomszczoną krwią Jerzego, ze zdeptanem swem prawem.

Bitwa na rynku krakowskim.

Lekcje się prawie nie odbywały. Rektor i koledzy, to jest profesorowie, mieszkający w kolegjach, jakby w ziemię się zapadli. Żacy, jak owce, tłukli się po mieście, pokrzepiani to przez bernardynów, życzliwie udzielających im rady i zachęty, to przez mieszczan, pełnych współczucia.

Tak nadeszła druga niedziela od czasu pamiętnej środy.

Hieronim i Pietrek wyszli po nabożeństwie z kościoła i czekali na Stacha.

— Cóż teraz czynić? — spytał Pietrek zniechęconym głosem. — Gdzie to te czasy, kiedy niedzieli doczekać się nie było można?

— Gdzie? — powtórzył Hieronim. — Przecieć to w przedostatnią jeszcze byliśmy z frantem u Pyrnusza.

— Prawda istna! — westchnął Pietrek — a zda się przed wieka-

mi! I Jerzy jeszcze przed dziesięcioma... nie, przed dwunastoma dniami był tu...

Stach wyszedł i powoli ruszyli we trzech ku rynkowi.

— Wiecie — rzekł Stach — co mówią?

— No, co? — spytali bez ciekawości.

— Ze trzeba stąd wędrować... Sprawa, mówią, wlecze się, zamotało, zabagniło się wszystko... Sprawiedliwości niema, kary na zabójców niema...

Obaj słuchający ożywili się.

— Acha! — zawołał Pietrek — i jam to myślał! Niema co, trzeba iść dalej po naukę!

— A kędy? — spytał Hieronim.

— Do Niemiec, czy do Włoch? — spytał Pietrek.

— E, do Włoch! — odrzekł Stach. — Niemiecki język i obyczaj grube są i naszym przeciwne. Nie mają tej w sobie ochotnej myśli, ani ogłady i lekkości, co u nas jest, albo u Włochów, albo-li u drugich podobnych narodów.

— Ale uczeni bywają — rzekł Pietrek.

— W tem, czego się od Włochów dowiedzą — odparł Stach. — Dziś mi to mówił Marcin bakałarz. Z Włoch teraz jeno wszyscy czerpią, jak ze źródła, bo to jest stara, łacińska krynica.

— To do Włoch idźmy... — zgodził się Pietrek ochoczo. — O, aż mnie już same nogi niosą! Kij w rękę, tobołek na ramię i w drogę!

— A ja już chyba do Andrzeja pójdę! — rzekł Hieronim.

— Do Andrzeja? — zawołał Pietrek — poco?... Idź z nami! Tyli świat nowy ujrzysz!

— Góry niesłychane przejdziemy — opowiadał mu Stach — i zejdziemy na włoską ziemię, gdzie zawsze jest wiosna...

— Wy się na księży uczycie... — odparł Hieronim, wzdychając — a ja na świeckiego. Nie mogę tak iść z kraju swego precz, brata nie zobaczywszy...

Weszli na rynek, i przestali mówić, uderzeni wielkiemi krzykami i rozruchem gdzieś na prawo od Brackiej ulicy.

— Pójdźmy zobaczyć! — zawołał Pietrek, gdy chwilę stali, słuchając.

— Pójdźmy!

Pobiegli w tę stronę.

Ujrzeli bijących się zapamiętale żaków. Cały kłębek ich zataczał się wśród widzów. Co który padł na ziemię, znów się zrywał, zaperzony jak kogut, i rzucał się do walki.

Na ziemi walały się czerepy pobitych garnczków. Wokół stali przechodnie, którzy się zatrzymali na chwilę: kobiety, mieszczanie, czeladnicy, studenci. Popatrzywszy, każdy ruszał ramionami i szedł dalej, takie bójki zdarzały się często.

Ale scholarze widzieli, że to będzie coś większego, i z zajęciem czekali i patrzyli. Tymczasem małych żaków nadbiegało coraz więcej, i odrazu wpadali w bitwę.

— A! — zawołał, przyjrzawszy się, Pietrek — to szkoła Panny Marji...

— Ze świętą Anną — dodał Hieronim.

— O co im poszło? — spytał Stach jakiegoś obok stojącego scholarza.

— A bo święta Anna żebrała w ich parafji—wyjaśnił mu scholarz.

— A czy oni nie żebrali u nas sto razy? — zawołał jakiś mały żaczek, który wypadł przed chwilą z bitwy, i popłakując, wycierał sobie opuchłe oko.

— A dziś my poszliśmy trochę na ich stronę, a oni zaraz na nas!... — wołał. — Ale czekajcie! — zaszlochał — zaraz naszych się też nazbiera! O-o-o! rozbójniki!

I rzeczywiście wrzawa była coraz większa i żacy zbiegali się zewsząd do walki, jak kurczęta na dziedzińcu do pośladu. Tak się od nich zaroiło, że widzowie zwolna ustępowali coraz dalej.

— Pewnie, że żebrać w cudzej parafji nie mieli żadnego prawa — odezwał się Stach — ale Panna Marja zawsze taka jest zawzięta, i na świętą Annę najwięcej napada.

Tymczasem bitwa rozgorzała w pełni. Panna Marja broniła zajadle swego prawa i chciała ukarać intruzów. Znany bowiem zwyczaj, poparty roztropną ustawą, mówił, że żebrać każdemu scholarzowi wolno tylko w swojej parafji. To też szkoła Panny Marji była w swojem prawie. Ale święta Anna nie myślała tchórzyć i zbiegła się na pomoc swoim. Pole bitwy zmieniało się zwolna.

Nie dlatego, by któraś ze stron już zaczęła ustępować, tylko kłąb walczących tak się rzucał i tak zataczał, jak cielsko jakiegoś dziwnego potwora. Tak, że zajęli zwolna cały wylot Brackiej, naprzeciw Sukiennic, potem dalej przetoczyli się przed ratusz, sięgając z jednej strony prawie do Wiślnej, z drugiej do Brackiej. W ciasnocie między kramami i tak trudno było przejść, ale teraz wszelkie przejście było zatamowane.

— Ba, ba! niech mnie wszyscy święci, jeśli z tych urwisów nie byliby lepsi żołnierze, niż klechy! — chwalił jakiś staruszek, wsparty na lasce, który pewnie pamiętał jeszcze czasy króla Olbrachta i króla Aleksandra.

Ale inni, nie tak starzy i nie tak pobłażliwi dla świata, wymyślali:

— Zażarte, jak psiaki! To rozpusta! Oj, polać zimną wodą!

Inni, starsi scholarze, studenci, przyglądali się z zajęciem i ożywieniem.

— Istna bitwa! — mówił Pietrek. — Patrzcie-no, patrzcie, jakby dwa wojska. Ale coś Panna Marja górą. Ich więcej.

— Śmiało, święta Anna! — zagrzewali inni.

— Nie dajcie się!

Święta Anna trochę zaczęła ustępować od strony Wiślnej, ale kilku mocniejszych, nadbiegłszy ze środka, wzmocniło słabe skrzydło.

— Górą święta Anna! — wołali otaczający.

Tymczasem z drugiej strony rynku, od Sławkowskiej, nadjechał jakiś konny orszak. Częsta to była rzecz w mieście, gdzie nikt, choć trochę bogatszy nie chodził w odwiedziny do przyjaciół piechotą, tylko jeździł konno, z pocztem sług tem większym, im był możniejszy.

Konni stanęli. Dwóch dworzan wysunęło się naprzód i pchali konie w tłum, gapiący się na zapasy żakowskie, chcieli otworzyć przejście dla reszty.

Hieronim stał z Pietrkiem i Stachem między dwoma kramami. Patrzył na konie, które wyrzucały łbami i nie chciały dać się wtłoczyć między ciżbę. Nagle ujrzał dziwną zmianę. Bitwa żaków zmąciła się i ustała. Coś krzyczeli, coś sobie pokazywali wszyscy. Po chwili już nie można było odróżnić żaków Panny Marji od żaków świętej Anny, tak się zmieszali. Hieronim myślał, że to dlatego, iż konni wtłoczyli się zwolna między tłum bijący się, krok za krokiem.

Wtem Pietrek, szarpnąwszy Hieronima za rękaw, krzyknął:

— Czarnkowski!

To samo wołali już wszyscy scholarze, dotąd stojący wokół i przyglądający się bezczynnie bitwie. I wszyscy ścieśnili się wokół żaków, którzy przestali się już zupełnie bić i coś krzyczeli do konnych.

Hieronim rzucił się także naprzód, by widzieć. Dojrzał Czarnkowskiego, na ładnym, mocnym koniu kasztanowatym z szeroką łysiną białą. Czarnkowski ruszył koniem, chcąc przebić się przez ciżbę. Zacy zakotłowali się. Wtem coś poleciało, i uderzywszy z boku w kulę siodła Czarkowskiego, prysnęło na ziemię.

— Garnkami w niego! — zaczęto wołać.

Poleciały garnki, sypnęły się razy. Żacy obskoczyli kanonika i jego ludzi. Cała nienawiść, którą do niego powziął naród scholarski od czasu zabójstwa Jerzego, wybuchła teraz swobodnie, nagle, jak ogień na słomie, niepohamowany i szybki jak wiatr.

Konie sług wspinały się, szarpały i płoszyły. Czarnkowski, którego parę razy już dosięgły pociski i pięści, zamyślał z początku bronić się, ale widząc mrowie żaków, i coraz gorsze swoje położenie, skrzywiony, skulony, z obrzydzeniem zaczął cofać konia, uchylając się jak mógł od razów.

Wrzawa zrobiła się piekielna. Wrzeszczeli żacy, słudzy kanonika, kwiczały konie, krzyczeli widzowie.

Nagle z ratusza wypadli pachołkowie miejscy, wielkie i mocne chłopy, z pięściami jak młoty. Rzucili się na żaków.

Odrazu wybuchły krzyki, jęki bitych. Czarnkowski, korzystając z chwili, zwrócił konia w bok i na Wiślną ulicę, ku swemu domowi. Słudzy za nim. A pachołkowie miejscy tłukli żaków boleśnie. Nie mogli na to patrzeć bezczynnie otaczający scholarze: skoczyli na pomoc młodszym towarzyszom.

Gdyby Hieronim, zagarnięty w rozruch walki, mógł widzieć i uważać, co się działo za nim, byłby spostrzegł dwu pachołków, którzy, ujrzawszy go, ze zdumieniem chwilę poszeptali i poczęli się skradać bliżej.

Żacy i studenci zbili się tymczasem w zwartą kupę i poczęli sprawnie walić miejską służbę garczkami i kamieniami. To pomogło; pachołkowie poczęli uskakiwać za kramy i cofać się. Pietrek w zapale walki był już gdzieś aż w środku tłumu. Hieronim, który zawsze brał się zuchwale wprost za bary z napastnikiem, nie dbając kto jest silniejszy, był z kraja. Obok niego Stach.

Nagle Hieronim uczuł dwie żelazne ręce, chwytające go ztyłu za łokcie. Nim zdążył krzyknąć, ktoś drugi zakrył mu usta. Spojrzał, poznał: Sebastjan!

Jąwszy go, wlekli teraz siłą co rychlej między kramy, by żacy, zajęci bitwą, nie zwrócili uwagi na to porwanie. Hieronim bronił się, jak mógł, kopał i wydzierał się jak ryba, zwinna i giętka, a twarda jak róg. Ale Szymek i Sebastjan także byli chłopi, co się zowie. Nie zważając na nic, ciągnęli go ze sobą.

Hieronim szalał z gniewu, z wściekłości, z upokorzenia. Chwycił zębami za rękę Sebastjana; ten w jednej chwili zarzucił mu jakąś szmatę na twarz i zakneblował usta, a to wszystko tak szybko, że nikt ani na to nie zważał, ani nie zatrzymał oczu na tej szarpaninie.

Stach miał dopiero co Hieronima tuż przy sobie. Obejrzał się nagle, jakby tknięty przeczuciem: nie znalazł go. Oglądał się tu i owdzie; wtem mignął mu Hieronimowy czarny topieniak między kramami i szerokie plecy jakichś ludzi obok niego.

W jednej chwili pobiegł zobaczyć. Dopadł, poznawszy odrazu Sebastjana i Szymka. Krzyknął przeraźliwie:

— Pietrek! Pietrek!

I rzucił się bez namysłu na pachołków. Ci, zmieszani na chwilę krzykiem, bo głównie im chodziło o to, aby rzecz zrobić bez hałasu i niczyjej uwagi, stanęli niepewni siebie. To wystarczyło. Hieronim wymknął się nagle z rąk Szymka, wyrwał knebel i krzyknął:

— Czekajcie! Popamiętacie!

Więcej nie mógł mówić ze wściekłości. I razem ze Stachem rzucili się w stronę żaków.

Sebastjan, widząc, że umyka mu z rąk pewna już nagroda za złowienie Hieronima, stracił głowę i popędził za uciekającymi. W tej chwili właśnie służba miejska cofała się ku otwartej bramie ratusza przed pociskami zwartego i wrącego ruchem zastępu żaków.

— Górą nasi! Chowajcie się, szczury! — krzyczeli żacy, uniesieni zwycięstwem.

Pachołkowie miejscy chwycili jednak kilku scholarzy z brzegu i chcieli ich zabrać ze sobą. Na to wzniósł się okrzyk stokrotny oburzenia i żacy rzucili się na pomoc.

Hieronim nie zdążył rozpoznać jeszcze o co idzie, gdy już Sebastjan dopadł go ztyłu.

Ale Stach rzucił się, jak lew na obronę. Padli wszyscy trzej na ziemię. Hieronim się zerwał pierwszy. Wtem wstał i Sebastjan, oburącz trzymając Stacha. Ujrzał straż miejską, bijącą się z żakami wokół jeńców i nagle bez namysłu, podniósłszy Stacha, jak snop w górę, cisnął go na głowy pachołkom miejskim. Ci, widząc żaka, zaraz go osaczyli. Hieronim, krzyknąwszy, jak podcięty batem, puścił Sebastjana, na którego już się rzucił i popędził na pomoc Stachowi.

Ale straż, jakby się nagle rozmyśliła, puściła jeńców i wpadła za mury ratusza, zatrzaskując za sobą bramę.

— Gdzie Stach? — krzyknął Hieronim.

— Dopierom go widział — odrzekł jakiś koło niego.

Hieronim obejrzał się śpiesznie. Żacy tłoczyli się jeden przez drugiego i otaczali odbitych. Nie sposób było w tej ciżbie nikogo dojrzeć wyraźnie o dwa kroki od siebie, tak migały głowy, twarze, czupryny, karki, czapki, ramiona.

Tłum scholarski zwolna ustępował z rynku, rozprawiając z gwarem. Ruszyli i widzowie, odetchnęli przekupnie. Scholarze zwolna rozbili się w gromady, w kupki coraz mniejsze i rozchodzili się po mieście.

Hieronim szukał usilnie Stacha, Pietrka, ale nie znajdując ani jednego, ani drugiego, a widząc spokój wszystkich i codzienne życie wokoło, przestał się niepokoić i poszedł w stronę bursy, obejrzawszy się jeszcze, czy go nie śledzi Sebastjan. Ale ani Sebastjana, ani Szymka nie dojrzał. Musieli odejść, albo szukali go gdzie indziej.

Skręcał właśnie na plac WW. Świętych, gdy ujrzał gromadę scholarzy, stojącą przed wejściem do bursy i żywo rozprawiającą. Przyśpieszył kroku, spostrzegłszy zdaleka Pietrka.

— A ja go kułakiem! — wołał Maciek Szydłowita. — On widzi, że źle...

— Ale! — krzyknął Pietrek — bo ja go z boku...

— Jest tu Stach? — spytał Hieronim.

Urwali, i rozejrzawszy się między sobą, zobaczyli, że go tu brak.

— No to niema co, tylko pachołkowie porwali go do ratusza — rzekł Hieronim.

— Jakto? — zawołali scholarze jeden przez drugiego.

— Może gdzie sobie poszedł, a zaraz kraczecie! — odezwał się któryś.

Hieronim nie chciał opowiadać wszystkiego, więc tylko powtarzał, że Stach był na pewno w rękach pachołków, zanim weszli do ratusza.

— A był! — potwierdził ten i ów.

— Aleśmy go odbili! — rzekł Maciek. — Jeszcze ja tego pachołka palnąłem w łokieć, a on na mnie tak... A ja go tędy...

Czekajmy choć do wieczora — poradził inny. — Pewnie przyjdzie.

— A choćby go wzięli, to co mu zrobią? — spytał któryś. — Jeno potrzymają mało i puszczą.

Ale natychmiast go zakrzyczano:

— Co, żeby już i żaków chwytano do więzienia? Żeby już nawet tego przywileju nie szanowano? Ostatnie bezprawie! Nigdy nie pozwolimy! Niktby nie śmiał! Jak świat światem, czyli od początku akademji za króla Kazimierza Wielkiego, lat temu trzysta, nic takiego się nie zdarzyło!

Tamten umilkł, jak zając w trawie, ale wzburzeni żacy naprawdę zaczęli rozważać, że musiano Stacha porwać do ratusza.

Ci i owi poszli pytać do innych burs, czy gdzie Stacha nie widziano. Nikt go nie widział, zato wieść się rozniosła, że na pewno jest w ratuszu.

Gdy nadszedł wieczór, nie było już wątpliwości. Nie czekając więc zachodu słońca, wszyscy żacy, którzy byli w bursie WW. Świętych, ruszyli do ratusza. Było ich z dziesięciu: Pietrek i Hieronim wśród nich.

Hieronim już opowiedział Pietrkowi swą przygodę z Sebastjanem i dzielną obronę Stacha. Tem goręcej teraz o niego się troszczyli. Wspominali jego dobroć, jego wierność w każdej rzeczy. I choć wiedzieli, że w ratuszu ludzi nie zabijają, mimowoli stawał im przed oczami blady

cień Jerzego i obijały się w pamięci straszne historje o więźniach, duszonych w ciemnicy.

Tymczasem doszli do ratusza i poczęli mocno kołatać wszyscy razem w zamknięte, szerokie, hojnie okute drzwi.

Znienacka drzwi się otwarły, aż żacy uskoczyli. Wyjrzał pachołek.

— Czego się tłuczecie?

— Trzymacie tu studenta! — krzyknął Hieronim.

— To co?

— Trzymają go! — zawołali żacy. — A łotry!

— Bezprawie! — zawołał Pietrek. — Puszczajcie go!

— Idźcie ta do rajców na salę — odrzekł po chwili pachołek, poradziwszy się cicho drugiego, który stał za nim.

Żacy ruszyli we drzwi.

Prędko przebiegli schody, wiodące na piętro, weszli do małej sali. Dwu rajców, zajętych przeglądaniem jakichś papierów, podniosło głowy.

— Panowie rajcy! — zawołał Hieronim zdyszany, hamując szybki oddech — studenta pachołkowie chwycili i więżą tu na ratuszu! Każcie go wnet puścić!

— Nie ty nam będziesz rozkazywał — odrzekł żwawszy z rajców, wysoki, tęgi, o barach szerokich, brodatej twarzy.

— Ale to student! — zawołał Hieronim. — Studenta, scholarza, pachołkowie chwycili! Nie wolno nikomu studenta imać, kromie rektora! Bezprawie nam się dzieje, wiecie sami. Puśćcie go, nic więcej, tylko puśćcie!

— Rozbijał na ulicy, napadał na kanonika — przerwał, pochrząkując, drugi, starszy rajca. — Taki przed biskupi sąd należy. Na duchowną osobę się targał...

— Nie rozbijał!... On nie bił! — krzyknął Hieronim, tem łatwiej się unosząc, że Stacha chwycono tylko dzięki walce z Sebastjanem, a nie przy napadaniu na kanonika.

— Ho, ho! — zaśmiał się pierwszy rajca. — To już sąd wymaca!

Hieronim czuł się, jak ryba na piasku. Nie wiedział już, jakim głosem do nich przemówić, co zrobić.

— Puśćie go! królewskie przywileje na to są!

— I na bicie kanoników? Idź precz; nie nasza tu sprawa, ani twoja, jeno biskupia.

— Dobrze! — zawołali żacy. — Idźmy do biskupa! — odzywały się głosy. Stali jeszcze chwilę, a potem odrazu ruszyli do drzwi.

— Nie ujdzie wam to płazem! — krzyknął Pietrek. Tę pogróżkę przezornie posłał im już od drzwi.

Pobiegli na Prądnik, do biskupiego pałacyku. Było już późno, biskup ich nie przyjął. Tylko przez dworzanina kazał im powiedzieć, że jeśli uwięziony student nie ma święceń, niech siedzi, jako schwytany na gwałcie.

A Stach nie miał święceń.

Wyszli na pełną kurzu drogę i wracali powoli do Krakowa. Gdy doszli na rynek i stanęli chwilę przed ratuszem, radząc pocichu, co czynić, Hieronim, pchnięty nagłą myślą, zawołał głośno:

— Stachu! Stachu!

Obejrzeli się rzadcy już przechodnie. Ale z ratusza żaden żywy głos się nie odezwał. Księżyc oświetlał jasno wysokie mury, framugi zalegał cień czarny. Nic nigdzie nie ruszyło się, nie drgnęło.

Scholarze wrócili do bursy. Na drugi dzień wieść się rozniosła w całym tysiącznym narodzie szkolnym o uwięzieniu Stacha. Nowe, a jeszcze prawie zjadliwsze ziarno wzburzenia padło w serca żaków. Bo gdy zabójstwo Jerzego było zbrodnią, uwięzienie Stacha było lekceważeniem. A to więcej rani.

Powrót Stacha.

Przeszło parę dni, a Stacha nie wypuszczano. Hieronim z Pietrkiem chodzili wieczorami pod ratusz, gdy już się uciszyły miejskie gwary i wołali Stacha. Ale nigdy nie odpowiadał.

— W lochu pewnie siedzi! — mówił Pietrek.

Wzdychając, odchodzili w milczeniu.

— Ech! dosyć tego! — powiedział pewnego dnia Hieronim.

Stali we dwu z Pietrkiem przed ratuszem. Pietrek spojrzał zdziwiony.

— A co zrobisz?

— Zbierzmy co najtęższych żaków i napadnijmy na ratusz.

Pietrek spojrzał na niego bokiem i dwoma palcami zrobił gest przy twarzy, który oznaczał, że Hieronim nie wie, co mówi.

— Takie mury! — rzekł Pietrek, skończywszy tę niemą odpowiedź. — A pachołki miejskie? A mieszczanie? Wszystkoby zaraz na nas się rzuciło.

Hieronim ruszył ramionami i spuścił głowę.

— No to co? — spytał po chwili z gniewem. — Będzie, co chce: a tak siedzieć i czekać aż go z lochu umarłego wyrzucą, nie będę.

Pietrek pomilczał trochę, ale widać było, że rozumowanie Hieromina uderzyło go.

— I jak to chcesz uczynić? — spytał. — Dniem, czy nocą?

— Nocą — odrzekł Hieronim, podnosząc głowę. — Zbrać ze trzydziestu najlepszych i pójść. Drzwi rozbijemy, albo nas puszczą, a potem...

Zastanowili się, jak potem szukać Stacha.

— Potem albo pachołka którego przyciśniem, by nas poprowadził, albo sami wszystko przeszukamy.

— Ale straże się pozbiegają z miasta i nas pobiją — rzekł Pietrek przezornie.

— Cicho to będziemy czynili.

— To pachołków trzeba przytrzymać, by nie pobiegli innych przestrzec.

Tak naradzając się, wrócili do bursy, aby zabrać się do wykonania swego planu, który był prawie niemożliwy do spełnienia.

Poszedłszy do znajomych, takich zwłaszcza, którzy mieli broń, zaprosili ich do bursy WW. Świętych. Pod wieczór zebrało się kilkunastu obcych, z poza bursy, co razem z bursarzami tworzyło liczbę odpowiednią. Siedzieli w największej izbie na dole i radzili nad tem, co robić, co słychać, ale bez zapału i bez zacięcia. Od czasu zamordowania Jerzego wszystko było jakby zwichnięte w życiu żaków i nie mogło wrócić do dawnego, porządnego ładu. Przywykli siedzieć i naradzać się, wałęsać się po mieście, przywykli do tego, że wszelka władza szkolna magistrów i doktorów ustała. Schodzili się chętnie jedni u drugich i toczyli bezowocne obrady. To też i teraz nie widzieli w tem nic dziwnego, że wezwano ich do bursy WW. Świętych. Przybył Samuel, Rafał z Sempolna, Szczepan i Marcin bakałarze, kilku dzielnych żaków z bursy Jerozolimskiej, z bursy filozofów.

— Stacha już piąty dzień trzymają — odezwał się Hieronim, chcąc rozwinąć swój plan przed zebranymi. — Będzie z nim tak, jak z zabójstwem Jerzego: zatłumią wszystko, a jego nie wypuszczą, aż kiedy zechcą.

— Odbić — odezwał się Rafał z kąta.

— Odbić! — zawołał Pietrek. — To jedno nam zostaje.

— Zebrać z pięćdziesięciu co lepszych i pójść do ratusza — powiedział gorąco Hieronim, czując, że sprawa bierze dobry obrót.

Wszyscy popodnosili głowy, patrzyli na niego i słuchali z zajęciem.

— Gwałt zawsze na koniec zostawiać — rzekł Samuel. — Prawo jest za nami: i przeciw zabójcom, i teraz przeciw ratuszowi.

— Wielkie rzeczy z tego nam przyszły! — zadrwił Marcin bakałarz. — Co tam prawo! Dla naszego prawa jeszcze nas więżą! Za twoje myto jeszcze cię obito. I nas tak, kto napotka, to nachyli, jak tę jabłonkę nad drogą, póki jak słup cicho stać będziemy i wszystko przyjmować a znosić.

— Czekaj! — rzekł Samuel — czekaj! Przyjdzie i dla nas pora.

— Kiedy?

— Ktoś kołace! — odezwał się Tomek Pacanowita.

Wszyscy umilkli, słuchając.

— Prawda. Idź który otwórz!

Poszedł najmniejszy z żaków. Inni w milczeniu czekali. Ale nikt nie wracał.

— A co tam? — krzyknęli wreszcie niektórzy.

Wrócił zmieszany żaczek.

— No cóż? — zapytano.

— Idzie! — odpowiedział mały.

— Cóżeś to oniemał? Kto?

W tej chwili we drzwiach ukazał się wybladły i obdarty Stach.

Przez chwilę jeszcze trwało milczenie i nieruchomość. I nagle wybuchły okrzyki i pytania:

— Puścili cię? Co ci zrobili? Dlaczego trzymali? Dawali ci jeść? Gdzie cię trzymali? A my chcieliśmy iść ciebie odbijać! A Pietrek i Hieronim codzień chodzili wieczór wołać na cię, nie słyszałeś? Cóżeś taki blady? O-o, patrzcie, jak mu topieniak podarli! O, zbóje! Bili cię?

Tak wszyscy wołali, otoczywszy go, a Stach się blado uśmiechał, i doszedłszy do ławki znużonym krokiem, siadł z westchnieniem ulgi.

— Cicho! Cicho! — wołali tymczasem inni, chcąc, by Stach opowiadał.

— Dajcie mu mówić! Cicho!

Uciszyli się. Stach uśmiechnął się i powiedział:

— Takim rad, żem już z wami, takim rad... Trzymali mnie w duchocie...

— W ciemnicy? — spytał któryś z przestrachem.

— Nie, była szczelina wysoko... Ale to nic... Tylko to, że kat...

— Kat!?

Po tym okrzyku wszyscy oniemieli ze zgrozy.

— I co?

— Przyszedł do mnie sam jeden, zawarł drzwi, powiada: „będę cię ogniem palił, albo powiedz: kto was przeciw kanonikowi judzi?"

— Tak powiedział! Palił cię?

— Nie! Groził jeno. To ogniem, to palców łamaniem — ale nic. A ciągle pyta: kto podjudza?

— A ty co?

— Co?... Nic... — Ruszył ramionami. — Mówię do niego: „a kto zabił Jerzego? Jeszcze judzenia trzeba? Mało, że nam towarzysza zabił?"

Nagle jeden mały żaczek w kącie zaczął płakać i szlochać głośno.

— Cicho tam! — rozkazywali mu inni, w gorączce słuchania.

Samuel przechylił się, by go dojrzeć, i rzekł:

— Leć do burs i każ niech się tu schodzą. Powiedz, że Stach wrócił.

Wszyscy, słysząc to, poczuli, że chwila jest do zrobienia czegoś ważnego. Żywiej uderzyły im serca i z jeszcze większem przejęciem czekali, co Stach powie dalej.

Gdy paru małych wyszło, Stach zaczął znów opowiadać:

— On nie chciał wierzyć, jakby nie słyszał, co mu mówię. Posłucha mało i znowu oczami łypnie: „będę cię ogniem palił" — powiada.

— I nie bałeś się?

— Cóż... jak myślałem, że naprawdę, tom się bał... Raz przyniósł latarnię z węglami czerwonemi i żelazo, i obcęgi... „Pal — mówię mu, ale ujrzysz, co ci moi towarzysze i wszyscy scholarze uczynią".

— O, bylibyśmy go ubili! I tak cię pomścimy! — zawołano.

— Gdzie to było? — spytał nagle któryś, jak o rzecz niesłychanie ważną.

— Na ratuszu, głupi! — odpowiedziano mu wkoło.

— A mogli go gdzie indziej przewieźć — upierał się tamten.

— Nie, na ratuszu mnie trzymali — rzekł Stach. — I tak siedziałem i myślałem, że mnie już nie puszczą nigdy...

— Nie byłby cię palił — odezwał się Mikołaj — grozić, to grozili, ale więcej nicby uczynić ci nie śmieli.

— I tego dość! — rzekł Samuel twardo.

Tymczasem nadbiegać poczęli scholarze z innych burs. Robiło się rojno i gwarno, jak za dni wielkich rozruchów po zabiciu Jerzego.

Hieronim i Pietrek tymczasem rozmawiali ze Stachem.

— A co Sebastjan? — spytał Stach.

— Nie było go od czasu, jak wtedy nas napadł. Aleś ty teraz jak cień! — odrzekł Hieronim.

— E, wnet się wzmogę — uśmiechnął się Stach.

— Ale teraz to już nie ostaniem po tej zniewadze — wmieszał się Pietrek. — Wszyscy mówią, że niema rady, jeno szkoły porzucić.

— To mało — rzekł z boku bakałarz Marcin — z miasta precz pójdziem. Kto woli, do domu, a kto woli, dalej na naukę, do Włoch, albo do Niemiec. Ale pójdziem wszyscy precz.

— Wtedy może wspomną naszą krzywdę — powiedział inny.

Był ścisk, wszyscy chcieli Stacha zobaczyć, dotknąć.

Ci, co nie mogli dotrzeć, cisnęli się przed bursą i dowiadywali się piąte przez dziesiąte szczegółów o kacie i o więzieniu, o pogróżkach, o wypytywaniu. Ledwie coś usłyszawszy, już każdy odgrażał się i jedni drugich słuchali z przekonaniem. Cały tłum był przejęty i gotów iść, pewien swego. Nikt nie przeczył, wszystko było spójne i myślało jednakowo.

Wśród hałasu podnosiły się tu i owdzie okrzyki:

— Precz idziem z miasta! Wtedy obejrzą się na naszą krzywdę!

— Na sejm pójdziem ze skargą! — wołał ktoś.

— Sami teraz będziem radzili o sobie! Nikt się za nami nie ujmuje, nikt nas nie broni! Zapóźno nas wspomną!

— Pożałują, że na nas nie zważali!

I coraz gęściej rozlegały się wołania:

— Do domu! Do domu!

— Koniec szkoły! — krzyknął jakiś głos piskliwy.

— Koniec! Niechaj w kościele nikt nie śpiewa, do mszy nie służy, do szkoły nie chodzi, pamiętajcie!

— Ładować sakwy! — wołał Samuel — gotować skrzynki, i idziem precz!

Taki zapał ogarnął scholarzy po tylu przejściach, po tylu upokorzeniach, że zdawałoby się, iż im teraz ziemia pali się pod stopami. Rozeszli się szybko po swoich bursach, aby się gotować do opuszczenia stolicy, niektórzy i kraju. Ale większość rozejść się miała po miasteczkach i wsiach, wracając do domu. Wszystkich czekała wędrówka daleka i losy niepewne.

Ostatnie dni.

Na drugi dzień od rana w bursie WW. Świętych pakowano się i gotowano do drogi, choć do dnia naznaczonego na opuszczenie miasta było jeszcze sześć dni. Ale wszyscy chcieli być gotowi.

Rano, jak zwykle, żacy wyszli żebrać z garnuszkami.

— Dziś — rzekł Pietrek do swych dwóch przyjaciół — że to Stach wrócił, zaprowadzę was do dobrej kuchni. Jak się trafi dobry dzień, to dadzą mięsa pełny garnek.

— Ale! nie może być — powiedział Hieronim, który przywykł do chudego krupniku bernardyńskiego.

— Obaczysz.

Poprowadził ich ciasnemi uliczkami i zaułkami na jakiś dziedziniec nieporządny, gdzie leżały kupy śmieci i chodziły kury, rozgrzebujące je z zajęciem. Rozglądali się po tem nieznanem im miejscu.

— Cyt! — rzekł Pietrek. — Tu nie trzeba ani śpiewać, ani prosić. Gospodyni sama wychodzi i daje, co ma dać.

Jakoż drzwi zwolna się otworzyły i wyjrzała gospodyni, matrona niemłoda, w czepcu szerokim i fałdzistym, jakie wtedy wszystkie kobiety nosiły, poczynając od królowej, kończąc na ubogich przekupkach.

— O! — rzekła — a pocoś tyle ich naprowadził?

— Daruj, jejmość — odpowiedział, kłaniając się, Pietrek — ale już niewiele czasu chleb tu jeść będziem, więcem tych przyjaciół swoich przyprowadził...

— Co? — przerwała — idziecie stąd?

— Idziemy — odrzekł Pietrek — i nietylko my: żaden żak tu nie zostanie w całem mieście.

— Bajki! — powiedziała, ruszając ramionami.

— Niech mnie Bóg skarze, jeśli łgam — rzekł Pietrek, uderzając się w piersi. — Jak tu stoję, tak za tydzień ani jednego żaka tu nie zostanie.

Gospodyni już nie odpowiedziała odrazu, aż po chwili:

— To o tego zabitego? Czekajcie, jeszcze może pokarzą zabójców.

— Ba! — rzekł Pietrek — o Panu Bogu to tak mówią, że nierychliwy, ale sprawiedliwy. Ale te ludzkie sądy choć nierychliwe, to niesprawiedliwe. Ale nie jeno o tego, co go zabili, nam poszło; o tego, co go więzili i kat go przepytywał; o tego także!

— Kat?! — zawołała. — A on co?

— A tu go masz, jejmość. — I Pietrek wskazał z zadowoleniem na Stacha.

Gospodyni obróciła oczy na Stacha z ciekawością i jęła go rozpytywać.

Pietrek tylko się uśmiechał, słuchając. I nie zawiódł się w swych rachubach. Gospodyni, wzruszona, wyniosła duży sagan, gdzie się przygrzewał wczorajszy bigos. Wielka łyżka drewniana tkwiła wewnątrz.

— Dajcie garnczki — rzekła.

Żywo wyciągnęli ku niej swoje gliniane garnki.

Nałożyła każdemu sowicie.

— A na drogę upiekę wam chleba — rzekła — i dam wędzonki. Jeno przyjdźcie!

— O! — zawołał Pietrek, gdy jego towarzysze dziękowali uprzejmej mieszczce — na pewno przyjdziemy!

— A co? — rzekł, gdy wyszli. — A co, jaka kuchnia?

Siedli na kamieniach pod murem, by zjeść to niespodziewane śniadanie.

— O-o! — westchnął Stach błogo — dawnom już, dawno takiego śniadania nie miał! Ale choćby mi i takie dawali w ratuszu, to wolę zeschły chleb na swobodzie.

— Jedzmy, póki jest! — rzekł Pietrek. — Kto wie, czy często będziemy jedli w drodze?

Gdy skończyli i wracali do bursy, wszędzie widzieli, jak mieszczki rozmawiały z sąsiadami o nowinie, o wyjściu żaków z Krakowa.

Gdy przechodzili przed domem medyka, Bietka zasmucona stała na progu, a u jej stóp próżne sagany, z których rozdała żakom jedzenie. Ci stali wokół, jedząc i rozmawiając z nią półgębkiem. Kiedy ujrzała trzech nadchodzących, zaczepiła ich:

— Idziecie z miasta i wy?

— Cóżbyśmy zostali? — rzekł Pietrek.

— Psotniście i nicpotem, prawie jak małpy. Ale żałować was będziem...

Hieronim spoglądał na nią i zobaczył, że dzisiaj ani się nie śmieje, ani nie ma tego rozpędu w sobie, co zawsze. Była zupełnie inna, bledsza, spokojna, i tylko lekko uśmiechała się kątami ust. Patrząc na nich, poznała Hieronima i powiedziała, uśmiechając się ledwie-ledwie:

— A, to ty z Samuelem chodzisz? Wtedy...

— Ja — skinął Hieronim głową.

— Zobaczysz go...

— Zobaczę, pewnie. To co? — spytał. — Rozczarowało go to. Jej chodziło o Samuela, a Hieronim myślał, że ma do niego interes, nie do Samuela.

— Powiedz mu... — rzekła Bietka i urwała. Przymknęła oczy, namyślając się. — E! — powiedziała wkońcu — nic mu nie powiedz...

Ale gdy podnosiła powieki, ujrzał, że miała oczy pełne łez.

— Ona go lubi! — pomyślał Hieronim i to go bardzo dotknęło.

Niewiadomo dlaczego wspomniał nagle matkę, od sześciu lat zmarłą, Margolę, dom.

Zrozumiał, że on Bietkę nic nie obchodzi. Tymczasem żacy, którzy od niej mieli jadło, przypominali jej:

— A upieczecie nam chleba na drogę?

— Upiekę — odpowiadała Bietka.

I schyliwszy się, podniosła oba puste sagany, przestawiła przez próg do sieni i weszła tam, zamykając drzwi za sobą.

— Dlaczego ona i mnie nie lubi? — z gniewem pomyślał Hieronim.

Nic go to nie obchodziło w gruncie. Ale wolałby, żeby go lubiła, a jak nie, to niech i tak będzie. Ruszył ramionami.

Poszli do bursy. Żacy schodzili się, wszyscy dobrze opatrzeni, radzi. Wszędzie prawie obiecano im upiec chleba, podpłomyków, placków na drogę, dać sera albo słoniny.

W bursie kurz napełniał izby. To pakowali się już niektórzy.

— Idę do domu! — wołał Maciek z Szydłowca, wyciągając swoje sakwy.

— A co tam będziesz robił? — zapytał go Pietrek — jak cię ojciec z łaciny o co spyta?

— Idź precz! Bo cię...

Pietrek uskoczył zręcznie, i wołał:

— Wóz? A Maciek na to: wozatus! Widły? widłatus! Gnój? gnojatus!

Ale Maciek nie mógł tego dłużej słuchać i popędził za Pietrkiem, by go ukarać.

— Nie wstyd to wam już się bić i jak wiły błaznować, gdyście co większego postanowili? — zawołał na nich bakałarz Mikołaj.

— Słyszysz? — krzyknął Pietrek — idź się pakować.

Ale Maciek sapał z gniewu i starał się go dosięgnąć poprzez stoły i ławki!

— Albo to naprawdę wyjdziemy? — odezwał się Tomek z Łagowic. — Krzyku tylko trzeba narobić, żeby jako nastraszyć kapitułę, biskupa, bo ja wiem? Zamek też i akademję...

— Nieprawda! — zawołał zapalczywie Tomek Pacanowita. — Zdrajca, kto nie wyjdzie z miasta! Nie oglądamy się na to, co o nas kto bądź powie. Czy się nastraszą czy nie, nam to za jaje stoi. Idziemy, bo zabijają bez kary, więżą bez prawa...

— A jak kto woli zostać? — spytał Hieronim, któremu ta myśl przychodziła już do głowy. Żal mu się robiło rzucać miasto: ruch wesoły, ścisk, stołeczny gwar, widok zajmujący ludzi, towarów, sztuk różnych, po to, by wędrować o głodzie w spiekocie czerwcowej, na piechotę, niepewnemi drogami do niepewnego celu.

— Co? — rzekł Stach, składający swoje ubogie manatki — tybyś został, po naszych wszystkich krzywdach?

— Do szkoły nie będę chodził — odpowiedział Hieronim — i bursę bym porzucił.

— Iść nam trzeba wszystkim! — twardo powtórzył Tomek Pacanowita.

— Gadają tylko — rzekł Stach. — A jak przyjdzie wtorek, to ani jeden nie zostanie.

— No, to pójdę! — westchnął Hieronim, i dodał: — żebym tak miał choć konika jakiego mocnego, wytrwałego...

Minęło parę dni i nadeszła niedziela. Całe miasto, w bliskich stosunkach zostające ze scholarzami, wiedziało, że tej niedzieli nie będzie już śpiewu zwykłego po kościołach. Był to jakby przedsmak tego, co będzie po zupełnem opuszczeniu miasta przez naród scholarski.

Rano, jak zwykle, kościoły napełniły się pobożnym tłumem. Rozpoczęto nabożeństwo. Żacy stali, wmieszani w tłum. Na chór nikt nie poszedł. Ksiądz sam śpiewał mszę z organistą. Ale pięknego chóralnego śpiewu uczniów nie było. Coraz to obracały głowę mieszczki i spoglądały mimowoli na chór — mieszczanie słuchali ponuro rozbitego na sylaby śpiewu księdza.

Za ludzkiej pamięci nie zdarzyło się nic podobnego w mieście, zawsze msze były pięknie śpiewane, i słynął Kraków z doskonałych chórów w każdym kościele, choćby najnędzniejszym. To też proboszczowie byli wściekli. Nie wiedzieli kogo się jąć: kapituły za jej zatargi z żakami i drażnienie ich, czy żaków za ich wycofanie się ze służby kościelnej.

Po nabożeństwie żacy rozsypali się po mieście. Ostatnia niedziela!...

Gdy Hieronim ze swymi przyjaciółmi wychodził z kościoła, wraz z tłumem mieszczan, ujrzał przed bramą kościelną Samuela, który nań czekał.

— Hieronimie! — zawołał Samuel, skoro tylko go ujrzał. — Pisane było, że ci żakiem nie być!

Przywitali się serdecznie, Samuel był strojniej ubrany, niż zawsze, a to czyniło go tak pięknym, że zdawał się raczej paziem królewskim, niż scholarzem. Widać było, że już wcale nie czuje się u siebie, że jest na odlocie, jak w przejeździe.

— A cóż ze sobą uczynisz? — spytał Hieronima.

— Nie chce iść z nami — rzekł Pietrek.

— Idę do brata — powiedział Hieronim jednocześnie.

— Na Ukrainę?

— Tak.

— Ha, to w jedną stronę ze mną! — zawołał Samuel. — Ja jadę pod Bochnię do domu, a twoja droga na Rzeszów. Pojedziemy razem.

— Pojedziemy? — powtórzył Hieronim. — Masz konie?

— Najmę. U nas wypoczniesz i pójdziesz dalej.

— Dobrze — zgodził się Hieronim.

Rozstali się. Naokoło mieszczanie postawali i rozmawiali z żakami. Lubiło miasto ten niesforny a wesoły żywioł, ten ruch, który wnosili scholarze. Przytem i żywiło ich samo, znało dobrze. To też teraz żal brał patrzeć, że się ta młodzież cała rozsypie, szkoły porzuci, może się zmarnuje, może już nigdy dalej uczyć się nie będzie, a wspólną swą wesołość, hardość, dziarskość rozniesie het daleko, po okruszynie, zatrze, zatraci w ciężkiem i smutnem życiu.

— Ej, nie śpieszcie się! — mówili mieszczanie.

— Jak nas zabijają! Jak nas więżą! — odpowiadali żacy.

Wrócili do bursy. Teraz nastrój się zmienił. Już nie tak wesoło

wybierali się w drogę. Wszędzie na tapczanach leżały gotowe, powiązane sakwy, skrzynki, węzełki.

— Jak Żydzi przed wyjściem z Egiptu! — rzekł Pietrek.

— Oj, szkoda ciebie, Hieronimie! — wzdychał Stach. — Dobrze razem było.

— Jeszcze się spotkamy — odrzekł Hieronim.

Nie było ani bójek, ani krzyków tego dnia w bursie. Wszyscy posmutnieli.

— Wiecie co — powiedział Pietrek — pójdźmy ostatni raz jeszcze, obejdźmy całe miasto.

— Idźmy! — zawołał Hieronim.

Stach, nic nie mówiąc, wstał, i poszli.

Jakby je pierwszy raz widzieli, tak piękne im się wydały domy, kościoły, niebo samo. Szli powoli i leniwie, ociągając się.

— A tu była ta bójka z pachołkami Czarnkowskiego, co to nas Jerzy przyprowadził pierwszego dnia — przypomniał im Stach.

— A twoja księga, Stachu? — spytał Hieronim.

— E! — rzekł Stach smutnie. — Może to kara, żeśmy ją ruszali, to wszystko, co się stało? Jak ma się drugi raz tyle złego na wszystkich spuścić, to wolę wcale jej nie ruszać i nigdy nic nie wiedzieć...

— O, ba! — zawołał Pietrek — ja, żebym wiedział, że to jest ta księga naprawdę, to choćby sto tysięcy biesów...

Wtem Hieronim chwycił go za rękę i syknął cicho.

— Co? — spytał Pietrek.

Ale już i sam zobaczył, że Hieronim patrzy pilnie na idących o kilkanaście kroków przed nimi ludzi.

— Jeden to Szymek — rzekł Stach cicho. — A drugi? To nie Sebastjan...

— Idźmy za nimi — szepnął Hieronim — zobaczymy, gdzie mieszkają. Pewnie u mego wuja.

Przeczekali chwilę, aby odstęp uczynić jeszcze większym między sobą a pachołkami, i puścili się ostrożnie w trop za nimi. Pachołkowie, nic nie podejrzywając, szli dalej, bez pośpiechu, gawędząc. Zatrzymali się przy kuźni i zawołali kowala.

— He! Maćku! Pójdźcie do nas, bo koń jeden chory.

A co mu zrobili?

— Okulawił się, czy na grudzie, czy na kamieniu i nie chce stać.

— Bodaj tak! Pewnieś go gnał, niecnoto — burczał kowal.

Kowal wyszedł po chwili z garścią obcęg i pilników w ręce, i poszli razem z powrotem. Żacy ledwie mieli czas skryć się w bocznej uliczce, aby nie nasunąć się przed oczy wracającym pachołkom. Potem ruszyli za nimi.

Wnet ujrzeli, że Hieronim się nie mylił, bo pachołkowie z kowalem weszli na dziedziniec okazałego dworu. Jakiś mały chłopak stał przed bramą.

— Kto tu mieszka? — spytał go Hieronim.

— Kanonik Zieleński — odrzekł chłopiec.

Żacy cofnęli się trochę, aby się naradzić. Chłopiec stał i przyglądał się im.

— Wiecie co — cicho mówił Hieronim — dobrzeby było, żebym mógł odebrać od nich jakiego konia. Mają dwa nasze konie z Sulisławowa.

Ten plan bardzo się podobał Pietrkowi.

— Żeby ich napaść, jak konie do wody powiodą? — powiedział.

— Wtedy za wielu ich jest, schwytaliby nas — odrzekł Stach.

Hieronim kiwnął na chłopca, który stał ciągle.

— Słuchaj — rzekł, gdy chłopiec przyszedł. — Znasz pachołków księdza kanonika?

— Znam dobrze! I jam jego pachołek! — odrzekł chopiec, prostując się.

— Znasz pachołka Sebastjana?

— Znam, ale jego już niema.

— Niema?! — zawołali trzej żacy razem.

— Uciekł — odrzekł chopiec. — Będzie dwie niedziele.

Stach i Hieronim spojrzeli na siebie. Było to więc w dzień bitwy na rynku i ostatniego spotkania z Sebastjanem.

— Acha! — mruknął Hieronim, nie bez zadowolenia. Pochlebiało mu to. Najwidoczniej Sebastjan zląkł się skutków swego postępowania, a ponieważ to postępowanie obrażało i dotyczyło głównie Hieronima, więc zląkł się Hieronima.

— Dobrze — rzekł Hieronim.

I wydobywszy szeląg, dał go zdumionemu chłopcu. Poczem zawrócił i odszedł z towarzyszami.

— Co, już nie chcesz porwać tego konia? — zawołał Pietrek.

— Chcę, ale jak? — rzekł Hieronim. — Naradźmy się. Trzeba, by pachołków kanonika nie było wielu, bo nie damy rady.

— Mówię: — powtórzył Pietrek — jak będą je prowadzić do wody.

Wtem posłyszeli człapanie końskie za sobą. Obejrzeli się co żywo. Ujrzeli człowieka jadącego na koniu i mającego drugiego konia za sobą, którego wiódł. Na siodle tego drugiego uwiązane były jakieś niewielkie tobołki. Wyglądało, że jedzie w daleką drogę. Był to Szymek.

— Co to jest? — nagle spytał Hieronim. — Nie nasze konie.

I nim Stach i Pietrek zrozumieli, co chce zrobić, zabiegł drogę konnemu i krzyknął:

— Szymek!

Gdyby piorun uderzył przed końmi, Szymek takby się nie wstrząsnął, jak od tego głosu. Ściągnął konia i z otwartemi ustami, pobladły, patrzył na Hieronima, nie wierząc swym oczom.

— Coś zrobił z końmi, łotrze? — krzyknął Hieronim, którego gniew nagle porwał, gdy wspomniał, jak go Sebastjan przy pomocy Szymka wlekli rynkiem, jak prosiaka.

— Ksiądz kanonik... — bąknął Szymek — tamte zabrał, bo mu do czwórki się nadały... a... a te... dał...

— Dobrze! — rzekł Hieronim krótko. — Tedy te są nasze.

Przystąpił i szybkiem spojrzeniem ocenił nogi i grzbiety podjezdków. Jeden był siwy, niezły, ale młody. Taki do drogi jest na nic. Drugi, na którym siedział Szymek, był cisawy, dobrej maści, z czarną grzywą i ogonem, z grubym karkiem, mocny, choć nieduży.

— Złaź — rzekł Hieronim.

Szymek, osłupiały jeszcze ciągle, nie wiedział, czy ma słuchać, czy nie.

— Złaź — powtórzył Hieronim ostro.

Szymek zlazł. Puścił trenzle i tak się poruszył, jakby chciał uciec z powrotem do dworu kanonika.

— Wara! — zawołał Hieronim.

Stach i Pietrek przyskoczyli.

— Trzymajcie go, bracia — powiedział Hieronim, siadając lekko na cisego. — Masz burkę jaką? — spytał Szymka.

— Tam, na siwym — wskazał Szymek.

Hieronim wziął tę opończę, położył przed sobą na siodle, i przytrzymując ją jedną ręką, a drugą zbierając uzdę, powiedział:

— Trzymajcie go tak jak najdłużej. A ty pozdrów Marcina.

— Dobrze, wiemy, wiemy! — odpowiedzieli żacy.

Szymek nic nie odpowiedział.

Hieronim trącił konia i popędził.

Czuł się jak ryba w wodzie, jak jaskółka w powietrzu. Jak dawno już nie siedział na koniu! Serce mu skakało w piersi i rozpierało ją tak

jakby chciało polecieć, jak ptak, wydzierający się z klatki. Gdyby słuchał tylko swego upojenia i radości, pomknąłby precz, w pola, na łąki, na błonia. Uczuł nagle mocną, gorącą miłość ziemi, słońca, wiatru.

— Mój Boże! Mój Boże! — wydzierały mu się słowa z ust uśmiechniętych. — Ty ziemio! Ty wietrze!

Ale przytrzymał konia i zawrócił w ulicę. Wprędce powziął myśl zostawienia tymczasem konia u Samuela. Gdy we wtorek będą jechali, konia zabiorą ze sobą, albo na przyprząż kę, albo uczepiwszy z tyłu do bryczki.

Samuel ucieszył się z tak dobrej przygody. Konia postawiono zaraz w stajni Waata, mieszczanina, u którego mieszkał Samuel.

Teraz Hieronim wrócił do bursy na piechotę, pełen najlepszej otuchy co do swej podróży.

W bursie zastał już Stacha i Pietrka.

— A co? — spytał.

— Opamiętał się, jakeś pojechał, powiedział, że nie ma poco wracać do kanonika. Jakeśmy myśleli, że już dość długo z nim stoimy, daliśmy mu siąść na siwego. Siadł i pojechał tak, jak do Sławkowskiej rogatki — opowiadał Pietrek.

— Do Marcina — rzekł Stach.

— No, nie chciałbym być na jego miejscu! — rzekł Hieronim.

A potem, przypomniawszy sobie swoją zdobycz, zawołał:

— Ale mam konia!.. Mam konia! A, jakem rad!

Hetman Jan Tarnowski.

Tymczasem na wysokościach zamku i kapituły ocknięto się z bezczynności. Wiadomość, że żacy nie tylko postanowili wyjść z Krakowa, ale zamierzają spełnić swój szalony zamiar, była tak nieoczekiwana, a taka prosta, że wszystkim wydała się odrazu bardzo prawdopodobna.

I wtedy nagle przypomniano sobie w wysokich izbach, gdzie już strona biskupa triumfowała, że zajaśnieje niewinność Czarnkowskiego, a strona przeciwna, skrycie drwiąc, cieszyła się, że choć co nieco szarpnięto opinję tego kanonika, i nagle przypomniano, że u źródła sprawy było zabójstwo małego żaka, litewskiego dziecka, i że za nim stała rzesza niesforna, ale przejęta krwią niewinnie przelaną, i że o wszystkiem pomyślano, co tyczyło się w złem i w dobrem kanonika Czarnkowskiego, ale o niczem, co tyczyło zabitego dziecka.

Powtóre przypomniano sobie, że uwięzionego bezprawnie scholarza nachodził kat z pogróżkami. I za tym scholarzem stała ta sama rzesza szkolna, zraniona w samo serce praw swoich; teraz wreszcie, nie licząc się już z niczem, gotowa na krok ostateczny.

Postanowiono zaradzić tak niesłychanemu krokowi scholarzy. Nagle gruchnęła wiadomość po wszystkich bursach i między wszystkimi żakami, że król nakazał zebrać się wszystkim scholarzom w poniedziałek, w kościele Franciszkanów, tuż przy bursie WW. Świętych.

Tłumy scholarskie napełniły szczelnie kościół i stały jeszcze przed nim na cmentarzu. Cały senat akademicki przybył na miejsce i zasiadł uroczyście przy wielkim ołtarzu.

— Uf, ciasno! — westchnął Pietrek, rozprężając się, by uzyskać nieco miejsca.

Hieronim był wybornej otuchy, jak cały tłum scholarski. Zaczęto się wkońcu z nimi liczyć.

— Jeśli nam karę dobrą na zabójców przyrzeką... — mówił jakiś żak.

— A nie dotrzymają!

— Pocóżby nas wołali? Jeno na układy!

— Na układy, a juści! Chcą nas zatrzymać i tyle.

— Nie weźmiemy się na plewy! Nie damy się!

— Nie dawajmy się, bracia!

Wszyscy dyszeli z gorąca, potnieli w ścisku.

Wtem uciszył się gwar, i przeszedł szybki pomruk: są, są!

Weszli dygnitarze dostojni i umieścili się w stallach, na pierwszem miejscu: Samuel Maciejowski, kanclerz, za nim jakiś pan świecki, już stary.

— Ten siwy kto to? — spytał cicho Hieronim, poznawszy biskupa.

— Pan krakowski! — odpowiedziało mu odrazu paru sąsiadów.

Tak nazywano przez skrócenie kasztelana krakowskiego.

Hieronim przyglądał mu się pilnie, z nagłem uwielbieniem i rozkoszą. Nasłuchał bo się też, nasłuchał od małego, co to za hetman, co za wódz niezwyciężony! Zwycięstwa sławne, boje dalekie, nieustraszone, zawsze szczęśliwe, zaroiły mu się w olśnionej pamięci. A teraz pochłaniał oczami niewysoką a rozrosłą postać starego hetmana, Jana Tarnowskiego. Był on niższy od wielu innych, ale w pierwszej tylko chwili to się widziało: wnet zatracało się to spostrzeżenie i wydawał się większym i potężniejszym od wszystkich. Gdy się ruszał, obracając się do biskupa lub do jego brata, Stanisława Maciejowskiego, widziało się, jak na jawie, jego lwią siłę. Cały był ogorzały i ciemny od słońca i wichru, tylko siwe włosy, bujne i gęste, rozświetlały jego głowę.

Hieronim spostrzegł, że to jest właśnie taki człowiek dorosły, do którego mocy chciałby dorosnąć. I jakby na swoje przeznaczenie patrzył, tak chciwie poznawał oczami każdy szczegół zachowania się kasztelana krakowskiego; jakby czytał księgę prawdy, tak dowiadywał się, jak się rusza, jak patrzy, jak mówi taki mąż w swej sile i chwale lwiej.

Kasztelan, wsparłszy się o rzeźbione oparcie niższych stall, spojrzał po czarnem mrowiu, w ciszy czekającem na jego słowa, wychylił się lekko i zaczął mówić.

Myśleli scholarze, i czekali tonu takiego, jakim przemawia władza do niesfornych swych poddanych: ale nie. Kasztelan mówił z wielką powagą, zwolna, patrząc ciągle na scholarzy, jak do rozumne rady.

Zaczął od uporu i zaciekłości, których radził poprzestać i nie wchodzić w rady, któremiby się wspaniałość królewska obrazić mogła.

— Nie będzie płazem puszczone zabójstwo, siedzą zabójcy...

Żacy zaszemrali: była to świeża nowina. Jedni nie wierzyli, drudzy, którzy to już byli słyszeli, upewniali ich, że uwięziono służbę Czarnkowskiego.

— Teraz o tem tylko myśleć wam należy, aby sobie prawnie począć i uspokoić się, a do życia waszego powrócić i do ćwiczenia w naukach, dla któregoście tu do Krakowa od rodziców wysłani. Tak

się to szaleństwo zakończy, dla zabójców karą, a dla was spokojnem znowu życiem i poczciwą pracą.

Skończył już i cofnął się od swego oparcia, siadł w stalli, a jeszcze scholarze, uspokojeni i słuchający, patrzyli nań i czekali.

Teraz powstał biskup i wystąpiwszy tak, by wszystkich lepiej widział, począł mówić zkolei.

I on także zalecał pozostanie i przedstawiał, ile trudów i nędzy, jaka niepewność losu czeka wychodźców. Potem przeszedł do toczącego się procesu i pochwalił wierne ujmowanie się scholarzy za zabitym towarzyszem.

— Chwali się to wam i dobrego przyrodzenia jest znakiem, iżeście zabitego towarzysza w niepamięć nie puścili...

Niepokój przebiegł przez zwarty tłum, jak szept wiatru po trzcinach.

— Nie stało się od dawnych czasów nic równie żałosnego w tej akademji naszej. Z boleścią to wszyscy widzimy, a o naprawieniu tego jako, wielce myślimy...

— Niema naprawienia! — odezwał się głos samotny.

Hieronim poznał Tomka Pacanowitę. Odrazu powiększył się szmer w tłumie.

— Do domu! Do domu! — powstawały coraz głośniej okrzyki.

— Jest kara na zabójców! Sprawiedliwość stanie się wszystkim — ciągnął dalej biskup, podnosząc głos wśród rosnącego niepokoju w kościele.

Ale już wydobywał się hałas na wierzch i brał górę. Wnet rozluźnił się tłum: co bliżsi drzwi, wybiegali na ulicę, wołając: do domu! do domu! I okrzyk ten z zewnątrz dochodził coraz mocniej, mieszając i mowę biskupa, i resztę uwagi scholarzy. Wreszcie pękło porozumienie: rzesze scholarskie, już nie słuchając dalej, wylały się z kościoła, powtarzając okrzyki:

— Do domu! Do domu!

Wtedy i Hieronim pierwszy raz zrozumiał, że już wszystko skończone i postanowione. Wtedy też jakby przestał żałować Krakowa. Już był daleko od niego myślą. Już przemyśliwał niebezpieczeństwa i trudy drogi. Dotknął ręką noża, ukrytego na piersiach, i wyszedł w tłumie wraz z innymi. Zebranie naznaczono na jutro rano w rynku.

Wyjście z Krakowa.

Od świtu, na drugi dzień (był to wtorek, 4-go czerwca), zewsząd ściągali scholarze na rynek. Szli studenci, żacy, z sakwami, z pudłami na plecach, z garnczkami, z któremi żebrali jedzenia. Roiło się od nich w całem mieście, szli bez końca, wciąż nowi. Później liczono, że wszystkich razem było ich siedem tysięcy.

Mieszczanie wychodzili z domów żegnać tych, których znali. Na każdym kroku widać było mieszczki, dające ostatni raz pożywienie swoim żakom i studentom, i pożegnania żałosne. Wszędzie popłakiwano.

Gwar był większy, niż od targu.

Hieronim trzymał się ze swoimi. Pietrek i Stach wybierali się iść do Włoch. Mieli porządnie związane sakwy na plecach i miny spokojne, już zapatrzone w dalekie strony.

Tymczasem słońce podniosło się ponad domy, i nieznacznie, powoli tłum ruszył ku Florjańskiej bramie. Wzmógł się płacz i wyrzekanie, mieszczaństwo ruszało razem, aby odprowadzić. A jeszcze wciąż napływali spóźnieni, i wreszcie zalał tłum wszystkie ulice, idące ku Kleparzowi.

Na wzgórku kleparskim zatrzymały się tłumy i zapełniły kościół akademicki św. Florjana. Tu już ostatni raz mieli scholarze krakowscy odśpiewać mszę wspólnie, nim się rozproszą po wszystkiej ziemi.

Później opowiadali mieszczanie jeszcze długo, że nigdy nie słyszeli nic równie pięknego, ani smutnego, jak była owa śpiewana msza do Ducha Świętego. Śpiewacy wiedzieli, że to koniec ich długiego i dobrego pobytu w stolicy, i ciągnęli śpiewy jak najczyściej i najrówniej.

Wyszli z kościoła i pożegnali się teraz już na dobre z odprowadzającymi mieszczanami. Ci wrócili się do Krakowa, a scholarskie tysiączne rzesze poszły drogą w stronę Prądnika, w tumanach kurzu.

Wnet idący przodem zaintonowali pieśń, dziwnie przypadającą do chwili: „Ite in orbem universum“ — Idźcie na wszystek okrąg ziemi.— Idąc w tłumie, powtarzali ją aż do najdalszych wszyscy. Niosła się daleko polami.

Wśród idących jechały stępa podwody, wynajęte przez niektórych. Razem tabor był ogromny, jak wojsko. Chłopi, robiący w polach, stawali i patrzyli, zdumieni.

Tymczasem zatrzymano się znowu, i nadciągające gromady stawały zkolei.

— A co tam? A co tam? — wołano.

I pobiegła odpowiedź od pierwszych szeregów:

— Rozstajne drogi!

Teraz poczęło się żegnanie przyjaciół i towarzyszy.

— Kiedy się znów obaczym?

— Może nigdy!

— Daj wam Boże szczęście!

— Daj Boże i wam!

— Wy kędy idziecie?

— Do Włoch! Do Niemiec! — odpowiadano.

— My do domu. Hej, Wielkopolska! Wielkopolska! Wszyscy razem, zbieraj się!

— Mazury do kupy!

— Litwa! Litwa!

— Ruś święta! Pójdźcie, bracia!

Zamieszanie się robiło ogromne, bo dotąd szli bursami, a teraz poczęli się gromadzić wedle wspólnej drogi.

Wśród ogromnej wrzawy nagle zabrzmiał głos od tylnych szeregów:

— Hej tam, heej! Posłaniec od króla!

Wszyscy ciekawie obrócili się w tę stronę. Już w pyle, wśród gromad studenckich przeciskał się konny dworzanin, aż dotarł do samego serca tłumu.

Stanął, obrócił konia przodem ku największej masie i zawołał donośnie:

— Rozkazuje wam król jegomość, byście, nie mieszkając, do miasta i szkół wracali!

— Ooo! to jak nas więzili, zabijali, to nic, a teraz...

— Pójdź precz! — wołali inni. — Niech wprzód zbójników w mieście pokarzą...

— Rozkazuje wam król jegomość, byście tej swawoli zaprzestali i zaraz do miasta się wrócili! — powtórzył dworzanin.

Powstało zamieszanie. Znać było wahanie w tłumie.

— Baczcie, byście królewskiego gniewu na się nie ściągnęli! Kto wróci, temu nie będzie nic. Kto nie wróci, niech się lęka pańskiego gniewu.

— Idziemy dalej! — wołano. — Nie dajcie się straszyć, bracia!

Ale niektórzy milczeli, spoglądając w bok.

Posłaniec, jeszcze się pokręciwszy tu i ówdzie, zsiadł z konia i począł chodzić między studentami. Potem siadł i pojechał z powrotem.

Gromady rozdzielały się dalej, ale to tego, to owego zbrakło i widać było, że wędrują drogą ku Krakowu.

— To tak jak z łyżki zawsze co nieco barszczu i kapusty poskapuje, nim do gęby doniesiesz — rzekł Rafał. — Hej, Kaliszanie, Sieradzanie, Wielkopolanie! Dalej, bracia, w świat!

Ale Mazury i Litwa zebrali się pierwsi i już ruszyli, śpiewając, ku północy. Po nich Wielkopolska wyszła drogą na Sieradz. A ci, którym najbliżej było, Ślązacy, Małopolanie, ci najdłużej marudzili. Już odeszły wielkie gromady tych, co się wyprawiali do Niemiec, już i włoska wyprawa stawała na nogi.

Hieronim z Pietrkiem, potem ze Stachem padli sobie w objęcia.

— Żegnajcie, przyjaciele! Ile razy się napotkamy, to przyjaciółmi.

— Nie zapominajcie! — mówił Hieronim. — Czem jeno będę kiedy mógł wam pomóc...

— Bywaj zdrów, przyjacielu! Bywaj zdrów, bracie! — odpowiadali Pietrek i Stach.

— Żywo, żywo! — naglił bakałarz Szczepan, który prowadził włoski oddział.

Poszli. Hieronim stał chwilę i patrzał za nimi, z ciężkiem sercem.

— No, Hieronimie! Czas i na nas! — zawołał Samuel.

Tu Wielkopolska ruszyła. Mnóstwo ich było, i jacyś z mniejszych. Z miejsca poczęli śpiewać psalm powszechnie znany, dziecinnemi, czystemi głosami:

Qui habitat in adjutorio Altissimi, in protectione Dei coeli commorabitur...

I bardzo im było potrzeba tego mieszkania w ochronie i cieniu Boga niebios, na tę drogę daleką i niebezpieczną.

— Siadajże! — zawołał Samuel ze swojej podwody, do której był przyprzężony i koń Hieronima.

Hieronim wsiadł. Wtem ujrzał przyglądającego się im Tomka Pacanowitę, ostatniego, który został z bursy.

— A ty, Tomaszu, do Pacanowa nie idziesz?

— Poco? — odrzekł ów, ruszając ramionami.

— To jedź z nami!

— Siadaj! — zaprosił Samuel.

Nie pytając ani dokąd jadą, ani co dalej będzie, Tomek wlazł na wóz.

— Żegnajcie, bracia! — zawołał Samuel do ostatnich scholarzy.

— Bądź zdrów, Samuelu!

Pachołek najemny popędził konie i wózek potoczył się żwawo w miękkim kurzu drogi.

— To ci i koniec szkolnego życia! — rzekł Samuel.

— Nie — odpowiedział Hieronim — teraz już nie odstąpię, aż się nauczę wszystkiego.

Obejrzał się jeszcze za siebie: i ujrzał jeszcze stary Kraków, zdobny tysiącem iglic, wież, wieżyczek, rzeźbionych i lekkich, rysujących się na niebie.

Zdjął czapkę, wionął nią kilkakroć:

— Żegnaj, miasto! Żegnaj, sławne!

— Jeszcze wrócimy! — rzekł Samuel. — I ty wrócisz.

— Pewnie, że wrócę! — odparł Hieronim z dumą. — Mojać to dziedzina!

I dodał po chwili z pełnego serca:

— I wszystek świat!

— Jeno uczyć się trzeba — odezwał się Tomek. — A teraz ani nauki, ani szkoły...

— Nie bój się — rzekł Samuel — wędrować to także szkoła!

Wózek biegł dalej i dalej, ku Bochni, ku Brzeziu, przez kraj zielony.

Tak się skończyła krakowska nauka Hieronima.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

	Str.
Po drodze	1
Oblężenie	8
Ucieczka	16
O plebanie i o wielkiej pani	21
Wejście do Krakowa	34
W winiarni	39
Sprzedaż noża	46
Mieszkanie	53
Sprawa z Kasprem	59
Bursa Wszystkich Świętych	68
Mistrz Paweł w oficynie	72
Księga Stacha	85
Gospoda Pyrnusza	92
Wyprawa po księgę	100
Zabójstwo	104
Sąd	125
Bitwa na rynku krakowskim	131
Powrót Stacha	140
Ostatnie dni	145
Hetman Jan Tarnowski	154
Wyjście z Krakowa	157